

# JOHN FLANAGAN

AUTOR BESTSELLEROWEJ SERII **ZWIADOWCY**



## POWRÓT TEMUDŻEINÓW



KSIĘGA ÓSMA

# POWRÓT TEMUDŹEINÓW

KSIĄŻKI JOHNA FLANAGANA  
W WYDAWNICTWIE JAGUAR:

## ZWIADOWCY

KSIĘGA 1: RUINY GORLANU

KSIĘGA 2: PŁONĄCY MOST

KSIĘGA 3: ZIEMIA SKUTA LODEM

KSIĘGA 4: BITWA O SKANDIĘ

KSIĘGA 5: CZARNOKSIĘŻNIK Z PÓŁNOCY

KSIĘGA 6: OBLĘŻENIE MACINDAW

KSIĘGA 7: OKUP ZA ERAKA

KSIĘGA 8: KRÓLOWIE CLONMELU

KSIĘGA 9: HALT W NIEBEZPIECZEŃSTWIE

KSIĘGA 10: CESARZ NIHON-JA

KSIĘGA 11: ZAGINIONE HISTORIE

KSIĘGA 12: KRÓLEWSKI ZWIADOWCA

KSIĘGA 13: KLAN CZERWONEGO LISA

KSIĘGA 14: POJEDYNEK W ARALUENIE

### WCZESNE LATA:

KSIĘGA 1: TURNIEJ W GORLANIE

KSIĘGA 2: BITWA NA WRZOSOWISKACH

## DRUZYNA

KSIĘGA 1: WYRZUTKI

KSIĘGA 2: NAJEŹDŹCY

KSIĘGA 3: POŚCIG

KSIĘGA 4: NIEWOLNICY Z SOCORRO

KSIĘGA 5: GÓRA SKORPIONA

KSIĘGA 6: NIEZNANY ŁĄD

KSIĘGA 7: KALDERA

KSIĘGA 8: POWRÓT TEMUDŹEINÓW

JOHN FLANAGAN



KSIĘGA ÓSMA

# POWRÓT TEMUDŹEINÓW

Tłumaczenie

Małgorzata Kaczarowska i Stanisław Kroszczyński



Tytuł oryginału: Brotherband. The Return of Temujai  
First published Random House Australia, an imprint of Penguin Random House  
Australia Pty Ltd, 2019

This edition published by arrangement with Random House Australia  
Wydanie pierwsze w tej edycji, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2018

Redakcja: Antonina Dembicka  
Korekta: Ewa Mościcka, Renata Kuk  
Skład i łamanie: Robert Majcher

Copyright © John Flanagan 2019  
All rights reserved.

Cover illustration by Jeremy Reston  
Cover design © [www.blacksheep-uk.com](http://www.blacksheep-uk.com)  
All rights reserved.  
Copyright for the Polish edition © 2019 by Wydawnictwo Jaguar

**ISBN 978-83-7686-790-8 (oprawa miękka)**  
**ISBN 978-83-7686-822-6 (oprawa twarda)**

Książka dla czytelników w wieku 11+

Adres do korespondencji:  
Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.  
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a  
01-527 Warszawa

[www.wydawnictwo-jaguar.pl](http://www.wydawnictwo-jaguar.pl)  
[youtube.com/wydawnictwojaguar](https://youtube.com/wydawnictwojaguar)  
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://instagram.com/wydawnictwojaguar)  
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://facebook.com/wydawnictwojaguar)  
snapchat: jaguar\_ksiazki

# Spis treści

## Część pierwsza. Fort Ragnak

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

## Część druga. Lodowa rzeka

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

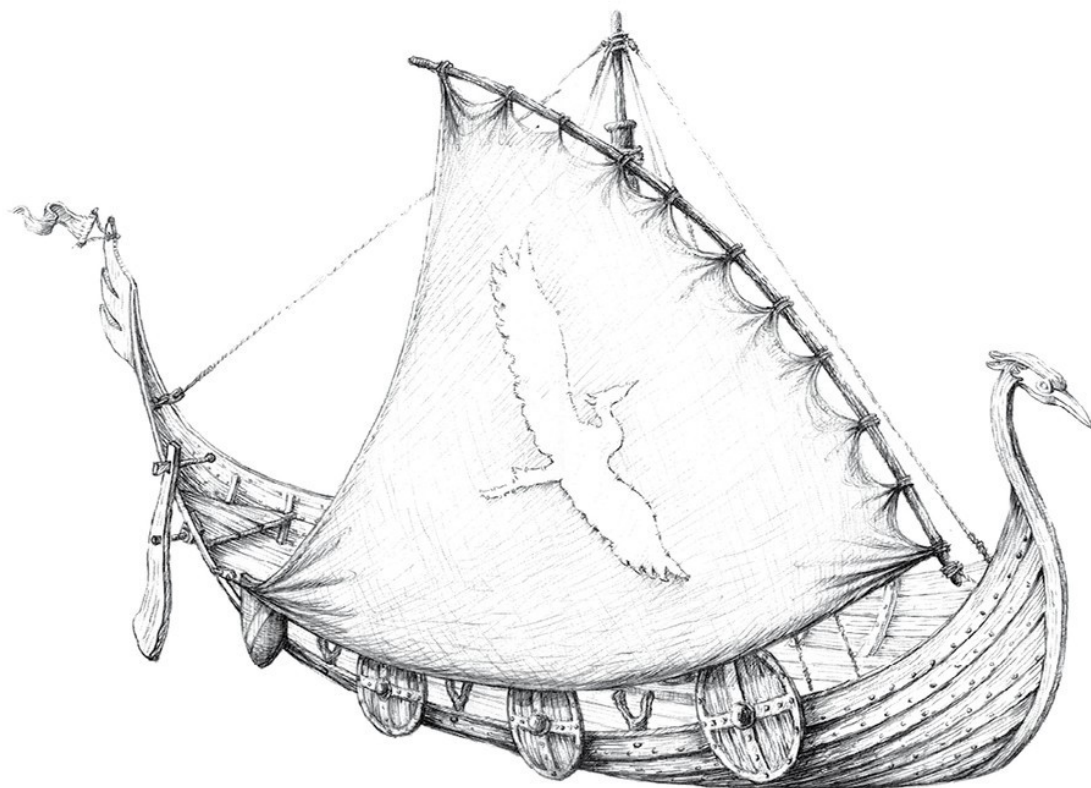
Rozdział 38

Rozdział 39

Epilog

O autorze

## Część pierwsza



## FORT RAGNAK



# Rozdział 1



**I**m bliżej byli granicznego fortu, tym węższa stawała się dolina. Strome, niemal pionowe ściany wznosiły się wysoko nad głowami wędrowców, zasłaniając słońce, mimo że zbliżało się już południe. Dno doliny spowijał cień, światło docierało tam tylko na kilka godzin dziennie. Zapewne dlatego ziemię ciągle pokrywała gruba warstwa śniegu, chociaż do rozpoczęcia wiosny pozostało zaledwie kilka tygodni.

Pomimo śniegu, grupa podróżnych poruszała się teraz szybciej – pokonali już strome podejście do wejścia doliny i znajdowali się znowu na płaskim terenie.

Mieli ze sobą dwa dwukołowe wozy, ciągnięte przez silne nieduże koniki i pełne równo ułożonych drewnianych elementów. Ponieważ droga nie prowadziła już tak ostro pod górę, większość drużyny Czapli wsiadła na wozy i umościła się wygodnie pomiędzy stosami desek i belek.

Hal i Stig jechali wierzchem na przedzie. Dla przywódców Czapli była to nowo nabyta umiejętność – Stig uznał, że powinni nauczyć się jazdy konnej.

– Ostatecznie – powiedział do swojego skirła – możemy kiedyś znaleźć się w miejscu, gdzie będą od nas oczekiwać, że pojedziemy konno. Czemu by się tego nie nauczyć? Oszczędzimy sobie mnóstwa chodzenia.

Hal zgodził się z nim, więc Stig poszukał trochę i znalazł dwa konie, które w przeciwnym wypadku byłyby skazane na ciągnięcie wozów do końca życia, teraz zaś awansowały na wierzchowce. Były to flegmatyczne koniki, spokojne i potulne, w niczym nieprzypominające groźnych

i potężnych koni bojowych czy smukłych i szybkich koni arydzkich z południowych pustyń. Jednakże oba bez protestów nosiły swoich jeźdźców – nawet Barney, który musiał dźwigać potężnie zbudowanego Stiga. W razie konieczności dawały się nawet namówić na powolny galop, a w ostateczności – na niezgrabny cwał.

Kiedy Stig je przyprowadził, Hal zatrudnił jednego z aralueńskich łuczników, obeznanych z końmi, żeby zapoznał ich z podstawami jeździectwa. Po serii nieuchronnych upadków, siniaków i drobnych kontuzji obaj stali się w miarę kompetentnymi jeźdźcami. Byli przecież sprawnymi i zręcznymi młodymi ludźmi, z dobrym wyczuciem równowagi i rytmu, koniecznym do zsynchronizowania ruchów z krokiem konia.

Z jednym wyjątkiem.

– Nie lubię kłusa – oznajmił Hal. – Wydaje mi się, że zawsze opadam w momencie, kiedy grzbiet konia się podnosi. To nienaturalny i bolesny sposób podróżowania.

Jego aralueński nauczyciel jazdę kłusem miał we krwi i nie wiedział, jak mógłby tego kogoś nauczyć. Wybrał zatem najprostsze rozwiązanie.

– Nie zawracaj sobie tym głowy – zwrócił się do młodego skirla. – Jeśli ci się spieszy, jedź galopem albo cwałem. Jeśli nie, wystarczy stęp.

Hal uznał, że to rozsądny pomysł, więc od tej pory po prostu ignorował istnienie kłusa. Od czasu do czasu czuł ukłucie zazdrości, gdy widział Stiga kołyszącego się miękko na kłusującym Barneyu. Korciło go, żeby zapytać, jak przyjaciel to robi, ale nie chciał się przyznawać do własnej słabości.

– Postanowiłem, że nie będę jeździł kłusem – odpowiadał, zaciskając uparcie zęby, ile razy ktoś poruszał ten temat.

Natomiast Thorn postanowił, że w ogóle nie będzie się uczył konnej jazdy, chociaż Stig proponował, że znajdzie wierzchowca także dla niego.

– Nie ufam tym zwierzętom – oznajmił stary wojownik, spoglądając podejrzliwie na dwa krępe koniki, na których jechali jego przyjaciele. – Nawet te małe ważą o kilkaset kilogramów więcej ode mnie. Mają też wielkie zęby i kopyta twarde jak maczugi. I są podstępne.

– Podstępne? – zapytał Hal, gładząc pieśczośliwie aksamitny nos Jake'a. – Wydają mi się całkowicie godne zaufania.

– Może tobie – odparł ponuro Thorn. – Ale nie mnie. Te zębiska potrafiłyby odgryźć kilka palców, a ja mam tylko jedną rękę.

Rzeczywiście, Barney i Jake wydawały się wyczuwać obawy i niechęć Thorna i odpłacały mu tym samym. Jeśli Thorn szedł zbyt blisko za

Barneyem, koń często wierzgał, starając się go trafić. Jake natomiast nie raz zdołał wykręcić szybko łeb i boleśnie skubnąć Thorna w ramię. Ale sprytnie jak zawsze konie nie robiły tego za każdym razem, kiedy miały okazję. Usypiały jego czujność, by potem znowu i bez ostrzeżenia kopnąć go lub ugryźć.

Nawet teraz, gdy stary wilk morski maszerował niestrudzenie za nimi przez śnieg, Jake próbował się do niego zbliżyć i szacował odległość pomiędzy swoimi zębami a zniszczoną, połataną kamizelką z baranicy, pod którą kryło się ramię Thorna, będące dla konia ulubionym miejscem podgryzania. Hal wiedział, co planuje wierzchowiec, więc przycisnął prawe kolano do jego boku, zmuszając go, żeby odsunął się od Thorna.

Thorn zauważył ten ruch i oburzone potrząśnięcie łbem, jakim Jake zareagował na pokrzyżowanie swoich planów.

– Widzisz? – odezwał się. – Mówiłem, że tym bestiom nie można ufać.

Stig domyślił się, że Thorn może zaraz zacząć kolejną przemowę o bezpieczeństwach końskiego rodzaju, więc pośpiesznie spróbował zmienić temat.

– Co właściwie ugryzło Eraka? – zapytał Hala. – Kroi się coś poważniejszego czy też starość zaczyna mu przyćmiewać rozum?

Hal uśmiechnął się.

– Spróbuj przy nim wspomnieć o tej „starości”, a rozwali ci łeb swoją wielką, okutą srebrem lagą, którą zawsze nosi. – Zastanowił się, po czym odpowiedział na pytanie. – Dowiedział się, że Temudżeini kręcą się przy granicy.

– Stale to robią – zauważył lekceważąco Stig.

Jednakże Hal potrząsnął głową.

– Teraz o wiele częściej niż zwykle – powiedział. – Dlatego Erak chce, żeby Lydia przeprowadziła zwiad, podczas gdy my sprawdzimy stan fortu.

Ponieważ ich okręt na zimę został wyciągnięty na ląd w celu przeprowadzenia napraw i konserwacji, Czaple miały sporo wolnego czasu. Erak, skandyjski oberjarl, wezwał Hala do swojej siedziby, znajdującej się w centrum Hallasholm. Młodzieniec był jednym ze skirli, których Erak darzył największym zaufaniem. Hal dowodził elitarną grupą wojowników należących do jego załogi, ale Erak wiedział, że ten młody człowiek sprawdza się nie tylko na polu bitwy. Hal był także inteligentny, a wielu kapitanom wilczych okrętów brakowało tej cechy. Potrafił spojrzeć na sytuację bystrym okiem, a takiego spojrzenia potrzebował teraz Erak.

– Przyjrzyj się granicznemu fortowi – polecił. – Sprawdź, czy jest zabezpieczony na wypadek ataku. I sprawdź, czy potrafiłbyś go jakoś dodatkowo zabezpieczyć.

Fort Ragnak strzegł Wężowego Przesmyku, wąskiej przełęczy na granicy ziem należących do Skandii, Teutonii i Temudżeinów. Była to jedyna droga pozwalająca przeprowić się przez góry i dotrzeć na nadmorską nizinę Skandii. Hal podszedł do wielkiej mapy wiszącej na ścianie komnaty Eraka, żeby przyjrzeć się przełęczy i położeniu fortu. Wiedział, że zbocza przełęczy są strome, a twierdza znajduje się w najwyższym punkcie, w którym przesmyk ma szerokość zaledwie dwudziestu metrów.

– Mamy tam łuczników? – zapytał.

Erak skinął głową.

– Piętnastu. Zmieniają się co trzy tygodnie, podobnie jak reszta obsady garnizonu, czyli trzydziestu wojowników. To zbyt zimne i zbyt ponure miejsce, żeby zostawiać ich na dłużej, chociaż w zimie czasem trudno jest tam dotrzeć zmiennikom.

Od czasu nieudanej inwazji Temudżeinów, która miała miejsce wiele lat temu, do Skandii rokrocznie ściągają setki łuczników, przysyłana przez ich sojusznika, królestwo Araluen.

Aralueńscy łucznicy pozwalali osiągnąć równowagę sił pomiędzy skandyjskimi wojownikami, uzbrojonymi w topory, włócznie i miecze, a konnymi łucznikami Temudżeinów. Dzięki temu Skandianie zwalczali ogień ogniem, szczególnie jeśli sami mogli liczyć na jakąś osłonę, na przykład taką, jaką zapewniał graniczny fort.

– Tak sobie myślę – zaczął powoli Hal – że może udałoby się ustawić zadymiarze na zboczach. Tutaj i tutaj. – Wskazał urwiska wznoszące się za fortem i po obu jego stronach. – Gdyby temudżeińscy jeźdźcy zaatakowali, czekałaby ich paskudna niespodzianka.

– Zadymiarze? – zapytał Erak. – Chodzi ci o tę wielką kuszę, którą wozisz na dziobie swojego okrętu?

Hal skinął głową.

– Możemy zbudować na zboczach platformy, z których to my ostrzelamy żołnierzy zbliżających się do fortu, zanim sami znajdziemy się w zasięgu ich łuków.

– Całkiem dobry pomysł – przyznał Erak i pomyślał, że właśnie dlatego wybrał do tego zadania Hala. Ten młody człowiek naprawdę potrafił wpadać na zaskakujące i nowatorskie pomysły, a Erak od razu uznał, że



dwie ogromne kusze stanowiłyby znaczące wsparcie dla sił obronnych fortu.

– Zaraz się tym zajmę – powiedział Hal, odstępując o krok od mapy. – Złożę zadymiarze tutaj, a potem rozmontuję na czas transportu i złożę ponownie, kiedy przygotujemy platformy. Będę musiał wziąć także deski.

Erak wzruszył ramionami.

– Tam nie brakuje drzew.

Hal potrząsnął jednak głową.

– Potrzebowalibyśmy czasu, żeby je ściąć i oheblować. Będzie lepiej, jeśli zabierzemy budulec ze sobą. Wydaje mi się, że wozy konne zdołają wjechać na przełęcz. Nie chcemy przecież, żeby Temudżeini zauważyli, że wzmacniamy obronę. Jeśli planują atak, mogliby go przyspieszyć.

– To prawda. Zrób tak, jak mówiłeś. Myślę, że mógłbyś poprosić tę waszą dziewczynę, żeby wybrała się na zwiad za granicę i sprawdziła, czy stacjonują tam jakieś oddziały Temudżeinów.

Obaj wiedzieli, że Lydia, jedyna kobieta w drużynie Czapli, była wytrawną zwiadowczynią. Będzie potrafiła przekroczyć granicę i dostać się na ziemię Temudżeinów tak, że wróg nie zauważy jej ani nie usłyszy. Hal bez wahania przyklasnął temu pomysłowi.

– Będzie wołała to od budowania platform – odparł i opuścił siedzibę Eraka, by zająć się gromadzeniem narzędzi i ekwipunku.

– No to jak myślisz? – zapytał Stig. – Czy Temudżeini naprawdę szykują się do nowej inwazji?

Temudżeini byli wojowniczym, nomadycznym narodem, wywodzącym się z gór stanowiących wschodnią granicę Skandii. Kroczyli drogą podbojów i dominacji, więc od dawna rzucali nieprzyjazne, chciwe spojrzenia na bogate krainy zachodu – Gallię, Teutonię, a nawet Araluen. Zanim jednak zdołaliby poszerzyć tak daleko swoje panowanie, musieli podbić Skandię i przejąć jej okręty. Wiele lat temu przypuścili zmasowany atak na Skandian, przedarli się przez górską przełęcz i zajęli wąską nadbrzeżną równinę, na której leżał Hallasholm. Skandianie, z pomocą niewielkiej aralueńskiej grupy i pospiesznie przeszkolonych łuczników, zdołali ich wtedy odeprzeć. W ostatnich czasach Temudżeini skierowali swoją uwagę gdzie indziej, podbijając i plądrując ziemię na wschodzie. Jednakże stale powracali na granicę Skandii, w miejsce swojej jedynej porażki, i sprawdzali, jak wygląda obrona Wężowego Przesmyku, czyli miejsca, w którym ongiś zdołali przekroczyć granicę.

Należeli do przeciwników okrutnych i bezlitosnych – niscy, zahartowani wojownicy byli wytrawnymi jeźdźcami i wyśmienitymi łucznikami, potrafiącymi strzelać w pędzie z końskiego grzbietu z łuków refleksyjnych. Ich armię cechowała ogromna mobilność, a ich dowódcy wykazali się wielkim doświadczeniem i przebiegłością. Z takimi wrogami należało się liczyć.

Obecność Temudżeinów i bezustanne zagrożenie dla bezpieczeństwa Skandii oraz jej mieszkańców stanowiły dla Hala i jego towarzyszy stały element codzienności. Pokolenie Hala dorastało w pełnej świadomości, jak agresywną postawę wykazują Temudżeini wobec ich ojczyzny. Przed najazdem należało się bronić i trzeba było pozostawać w nieustannej gotowości. Wiedzieli, że zagrożenia nie wolno ignorować. Gdyby tylko skandyjska obrona lub woła walki osłabła, Temudżeini przybyliby ze swojej wyżyny i zalali kraj jak złowieszczą powódź. Jednakże Hal, podobnie jak wszyscy Skandianie, doskonale znał swoją wartość i możliwości bojowe. Dopóki Wężowy Przesmyk pozostawał silnie broniony, a w Forcie Ragnak stacjonował cały garnizon, Temudżeini stanowili problem, z którym można było sobie radzić. Odpowiedzią na zagrożenie z ich strony była stała czujność. Skandii groziłoby niebezpieczeństwo, gdyby ta czujność kiedykolwiek osłabła lub gdyby Temudżeini znaleźli inną, niebronioną trasę pozwalającą na zejście z wyżyn na nadmorskie równiny.

Na razie nie zdarzyło się ani jedno, ani drugie. Od czasu do czasu Temudżeini sprawdzali możliwości obronne Fortu Ragnak, ale za każdym razem dochodzili do wniosku, że garnizon czeka w gotowości i dysponuje całkowicie wystarczającymi siłami, żeby odeprzeć ich natarcie.

Thorn walczył z Temudżeinami lata temu, kiedy dotarli aż na równinę.

– Zależy im na dostępie do morza – odpowiedział na pytanie Stiga. – Od samego początku o to chodziło. Chcą też naszych statków. Zamierzają podbić nasze tereny w całości.

– Czarujący ludzie – skomentował Hal.

– Wojna i podboje to coś, w czym są dobrzy. – Thorn wzruszył ramionami. – To powód ich istnienia. Przywódcy Temudżeinów wiedzą, że jeśli nie będą podbijać nowych ziem, zaczną walczyć pomiędzy sobą i sojusz plemion w końcu się rozpadnie. Są jak rekin, który musi stale pływać, żeby żyć. Muszą podążać przed siebie, walczyć i zdobywać.

– Czy oni naprawdę uważają, że pozwolimy im po prostu przyjść i wykorzystać nasze okręty? – zapytał Hal.

Thorn potrząsnął głową.

– Moim zdaniem zakładają, że gdyby udało im się nas najechać i podbić, zrobilibyśmy to, co nam każą. – Umilkł na chwilę i się uśmiechnął. – Oczywiście najpierw musieliby nas najechać i podbić.

– A żeby im się to udało, muszą się przedrzeć tutaj przez granicę. Mają twarde orzech do zgryzienia – zauważył Stig.

– My zaś postaramy się, żeby był jeszcze twardszy – zgodził się z nim Hal.

Wszyscy trzej umilkli, myśląc o czekającym ich zadaniu i jego znaczeniu dla bezpieczeństwa Skandii, a także innych okolicznych państw.

Thorn uniósł hak i pogroził Jake'owi, który znowu przysunął się bliżej.

– Tylko spróbuj, kosmata beczko – zapowiedział. – Jadałem już w życiu końskie mięso. Następnym razem mogę ci się odgryźć.



## Rozdział 2



**J**esper usadowił się tak, żeby jego biodro spoczywało wygodniej na stosie desek. Jazda na wozie nie była najgorszym sposobem podróżowania. Rytmiczny krok konia i to, że wóz opierał się na dwóch kołach osadzonych na pojedynczej osi, sprawiało, że w trakcie jazdy kołysali się lekko do tyłu i do przodu, co przypominało kołysanie na pokładzie statku. Oczywiście na wozie nie trzeba było bezustannie trzymać żagli ani co chwila podnosić i opuszczać rejki podczas halsowania.

– Dawaj jeszcze raz Thorna – powiedział do Stefana, który opierał się wygodnie o ścianę wozu.

Stefan doskonale potrafił naśladować różne dźwięki. W przeszłości Czaple często wykorzystywały jego talent, by zmylić lub zaskoczyć wroga. Kiedy Stefan usłyszał czyjś głos czy jakiś dźwięk, potrafił go powtórzyć niemal bez przygotowania. Przez ostatnie pół godziny zabawiał swoich towarzyszy, naśladowując między innymi Eraka, Thorna i Hala. Jesper słyszał to już wiele razy, a mimo to zaskakiwała go dokładność takiej imitacji. Kiedy zamykał oczy, byłby gotów przysiąc, że to naprawdę głos danej osoby.

– Jeśli ktoś inny powie „bierzmy ich”, rozwałę mu łeb maczugą – burknął Stefan, niemal idealnie naśladowując głos starego wojownika.

– Wyśmienite! – Jesper roześmiał się głośno i zaklaskał. – Brzmisz zupełnie jak on.

Edvin, który jechał na wozie wraz z nimi, także się roześmiał.



– Masz go opanowanego do perfekcji.

Stefan uśmiechnął się smętnie.

– Orlog jeden wie, jak często słyszałem tego starego nudziarza.

Jesper zamachał na niego, żeby poprosić o kolejny popis.

– Jeszcze raz! Niech tym razem się rządzi i komenderuje nami, tak jak zwykle. – Odchylił głowę i zadowolony zamknął oczy, żeby posłuchać popisu Stefana. Pomyślał, że to świetna metoda na zabicie czasu.

– Niedługo się zatrzymamy – usłyszał głos Thorn. – Najwyższy czas, żebyście ruszyli te leniwe zadki i poszukali drewna na ognisko.

Jesper roześmiał się głośno, nie otwierając oczu.

– Świetne! – oznajmił. – Brzmisz zupełnie jak on. Rzeczywiście, stary nudziarz! Nie daje mi chwili wytchnienia.

W następnej chwili poczuł, jak sękata dłoń łapie go za kark. Szarpnął się do przodu, podniósł powieki i spojrzał z bliska w brodatą twarz marszczącego brwi Thorn. Naprzeciwko niego Edvin i Stefan potrząsali ostrzegawczo głowami, ale było już za późno.

Thorn usłyszał dobiegające z tyłu śmiechy, odłączył się od Hala i Stiga i zbliżył się do wozów, żeby sprawdzić, co się dzieje. Stefan, który siedział tyłem do kierunku jazdy, nie zauważył go, dopóki Thorn nie znalazł się prawie nad jego głową. Jesper miał oczywiście zamknięte oczy, żeby lepiej bawić się słuchaniem naśladowującego głosu kolegi.

– O, cześć, Thornie – powiedział teraz, siląc się na ton pogodnej niewinności. – Właśnie rozmawialiśmy o tobie.

– Owszem, słyszałem – odparł Thorn. Popatrzył ze zmarszczonymi brwiami na Stefana. – Wiesz, to w ogóle nie przypominało mojego głosu.

– Nie, oczywiście, że nie – przytaknął posłusznie Stefan.

Niestety, w tym samym momencie Jesperowi wyrwało się:

– Przypominało! Brzmiał zupełnie jak ty! – W tej samej chwili zamarł, bo Thorn spojrzał na niego lodowato. Zapadła długa i zdecydowanie nieprzyjemna cisza.

Thorn zwrócił się do trzeciego pasażera wozu, by rozsądził sprawę.

– A co ty powiesz, Edvinie? Czy Stefan dobrze naśladuje tego „starego nudziarza”?

– Yyy... eee... – Edvin zawahał się, nie wiedząc, co będzie właściwą odpowiedzią. Popatrzył szybko na swoich dwóch kolegów, ale nie mógł liczyć na ich pomoc. – Yyy... raczej nie, Thornie. Nie... – odparł

z wahaniem. – To nie brzmiało jak ty – dodał pewniej, unikając oskarżycielskich spojrzeń Stefana i Jespera.

– Ale zgadzasz się, że jestem starym nudziarzem? – upewnił się Thorn.

Edvin podskoczył, jakby go coś ugryzło.

– Nie! Ależ skąd! Nic takiego nie powiedziałem!

– Ale też się nie sprzeciwiłeś – zauważył Thorn, a Edvin nie znalazł na to żadnej odpowiedzi. Stary wojownik popatrzył złowieszczo na całą trójkę i powoli potrząsnął głową. – Kiedy dotrzemy na granicę, wy będziecie zajmować się całą brudną robotą podczas budowania platform – zapowiedział. Następnie oddalił się, zostawiając ich przerzucających się szeptanymi oskarżeniami.

– Dlaczego mnie nie ostrzeżliście, że on tu jest? – zapytał z goryczą Jesper.

– Zobaczyłem go w ostatniej chwili! – Stefan rzucił gniewne spojrzenie Edwinowi. – Ty musiałeś widzieć, jak podchodzi. Siedziałeś twarzą w jego stronę.

Jednakże Edvin podniósł kłębek czarnej wełny, druty i częściowo skończoną czapkę Czapli.

– Nie patrzyłem – zaprotestował. – Pracowałem nad tą czapką.

– Ty i te twoje przeklęte robótki! – rozzłościł się Stefan. – Może powinieneś sobie znaleźć jakieś bardziej pożyteczne zajęcie, dopóki jedziemy na wozie.

– To twoja czapka – przypomniał chłodno Edvin. Zawsze irytowały go obraźliwe komentarze na temat robienia na drutach. – Już zapomniałeś? Kluf pogryzła twoją czapkę i prosiłeś mnie, żebym zrobił ci nową.

– Aha... – powiedział Stefan, mocno zbity z tropu. Naprawdę trudno było narzekać na robótki Edvina, który właśnie oddawał mu przysługę. Edvin nie kazał płacić swoim kolegom za czapki, które dla nich robił. – Cóż, w takim razie nie ma sprawy.

Thorn, który oddalił się od nich, żeby sprawdzić, co się dzieje w drugim wozie, uśmiechnął się pod nosem, słysząc przyciszoną kłótnię. Kiedy podszedł do wozu, zobaczył, że siedząca w nim Lydia obserwuje go z niemym pytaniem w oczach, przechylając głowę na bok.

– Pilnuję, żeby zawsze byli czujni – oznajmił pogodnie.

Uśmiechnęła się.

– Domyślałam się, że Stefan znowu cię naśladował?

Thorn skinął głową.

– Choć to w niczym nie przypomina mojego głosu. – Czekał, żeby Lydia się z nim zgodziła, ale ona jedynie uśmiechała się do niego bez słowa. – Naprawdę w niczym! – dodał z żarem.

Lydia tylko skinęła głową, a na jej twarzy zamiast uśmiechu zagościł wyraz niewinności tak bezgranicznej, że nie mogła być szczerą.

– Oczywiście, że nie – potwierdziła.

Thorn uznał, że nie będzie drażnić sprawy, i rozejrzał się po wnętrzu wozu, w którym siedzieli wygodnie także Ingvar, Ulf i Wulf. Kluf leżała na boku i opierała kudłaty łeb na kolanie Lydii. Na powitanie Thorną zabębniła krótko ogonem o deski. W wozie było więcej miejsca, ponieważ transportował tylko części do obu zadymiarzy.

– Wszystko tu w porządku? – zapytał Thorn, ponieważ uznał, że najbezpieczniej będzie zmienić temat.

Lydia skinęła głową, a pozostali mruknęli potwierdzająco.

– Jest aż za przyjemnie – powiedziała. Była z natury poważna i miała skłonności nie dowierzać niczemu, co było zbyt wygodne. – Chętnie bym wysiadła i rozprostowała trochę nogi.

Thorn machnął zapraszająco ręką.

– Proszę, nie krępuj się.

Jednakże Lydia poklepała wielki łeb Kluf.

– Nie chcę jej budzić. Jest taka szczęśliwa.

Kluf poczuła jej dotyk, wygięła grzbiet i wyciągnęła rozkosznie wszystkie cztery łapy z pomrukiem zadowolenia.

Thorn pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Domyślam się, że nie chcesz jej budzić. – Popatrzył na słońce, które pojawiło się teraz na wąskim pasku nieba widocznym z wąwozu. – Tak czy inaczej za jakieś pół godziny zatrzymamy się na południowy posiłek – oznajmił. – Do tego czasu możesz jej pozwolić pospać.

Odwrócił się i pomaszerował na przód niewielkiej kolumny. Kiedy mijął pierwszy wóz, ponownie skrzywił się ponuro i spojrzał ostrzegawczo na jego pasażerów.

Nie robili wprawdzie nic złego, ale – tak jak powiedział Lydii – uważał, że zawsze powinni mieć się na baczności.

Jesper i Stefan patrzyli za nim i czekali, aż znajdzie się poza zasięgiem słuchu.

– Zawsze mam wrażenie, że on wie, o czym myślę – odezwał się cicho Jesper.

– Wiem! – zawołał Thorn przez ramię, a potem przyspieszył kroku, żeby dogonić Stiga i Hala, jadących konno na czele grupy.

Minęło kilka minut, zanim Jesper, który rzadko kiedy potrafił usiedzieć spokojnie w miejscu dłużej niż parę chwil, szturchnął łokciem Stefana.

– Spróbuj jeszcze raz – poprosił.

Stefan potrząsnął tylko głową.

– Oszalałeś? On mnie usłyszy. Ma uszy jak sokół.

– Czy sokoły mają uszy? – zainteresował się Edvin.

Stefan wyjął wargi z irytacją.

– W takim razie ma uszy z tyłu głowy! – poprawił się, a pozostali dwaj popatrzyli na niego zaskoczeni, aż sam zauważył, jak absurdalne było to zdanie. – Wiecie, o co mi chodzi!

Jesper postanowił zmienić temat.

– Nie musisz naśladować akurat jego. Albo kogokolwiek innego. Możesz udawać jakieś zwierzę.

Stefan zastanowił się nad tym.

– Jakie na przykład?

– Pamiętasz, jak uczestniczyliśmy w zawodach? Udawałeś wtedy niedźwiedzia.

Stefan uśmiechnął się na to wspomnienie.

– Prawda, a Ingvar biegał wkoło i szeleścił w krzakach, żeby ludzie myśleli, że naprawdę jest tam niedźwiedź.

– Zrób to jeszcze raz! – namawiał Jesper.

Stefan namyślał się przez chwilę, a potem pochylił głowę i złożył dłonie przy ustach. Po kilku sekundach rozległo się naprawdę realistyczne naśladownictwo ostrzegawczego ryku bardzo rozzłoszczonego niedźwiedzia.

Efekt był piorunujący. Mały konik, drepczący sennie przed siebie, usłyszał nagle tuż za sobą pomruk niedźwiedzia. Spłoszył się i stanął dęba, wyrwał się z uprzęży i przewrócił wóz, z którego na śnieg wypadli pasażerowie i ładunek. Woźnica, także całkowicie zaskoczony, zdołał odskoczyć. Jesper, Stefan i Edvin zasłonili głowy rękami, gdy pękły sznury przytrzymujące deski i belki, które poleciały we wszystkich kierunkach.

– Ty durniu! – krzyknął Edvin. Odepchnął stos desek, które na nim wylądowały, i podniósł się na nogi. Stefan, zaskoczony i mocno skruszony, wstał, pocierając siniak na czole w miejscu, gdzie trafiła go jedna z cięższych belek.



Kilka sekund później słowa Edvina powtórzył Thorn, który rozglądał się po okolicy, odwrócony plecami, gdy usłyszał za sobą kwik przerażonego konia, a potem łoskot przewracającego się wozu.

– Kompletny dureń! – podsumował. Wskazał leżący na boku wóz i rozsypane deski. – Wy trzej, pozbieracie to i załadujecie z powrotem na wóz – polecił. – A my przez ten czas zjemy obiad.

– Ale ja nie miałem z tym nic wspólnego! – zaprotestował Edvin. Skulił się, gdy Thorn rzucił mu gniewne spojrzenie.

– W takim razie ty będziesz gotował obiad – zdecydował stary wojownik.



## Rozdział 3



**P**rozenocowali w wąwozie, a następnego dnia przed południem dotarli do fortu.

W miarę jak się do niego zbliżali, przesmyk stawał się coraz węższy, aż w końcu odległość między ścianami wynosiła niespełna dwadzieścia metrów. W najwęższym miejscu, gdzie został wzniesiony fort, urwiska po obu stronach pięły się niemal pionowo – nawet człowiekowi byłoby trudno je pokonać, a dla koni stanowiły przeszkodę nie do przebycia.

Konstrukcja Fortu Ragnak była bardzo prosta. Dwie drewniane palisady o wysokości czterech metrów i oddalone od siebie o dwadzieścia pięć metrów przecinały w poprzek przesmyk. Były zrobione z potężnych, wkopanych w ziemię bali i stanowiły zewnętrzną fortyfikację. W każdej z nich znajdowała się dodatkowo wzmocniona brama. Pozostałe dwie ściany tworzyły skały po bokach przesmyku.

W środku, dookoła całego fortu, biegło podwyższone przejście, z którego garnizon mógł odpierać atak napastników próbujących wdrzeć się na mury lub chcących wyłamać bramę taranem. Po północno-wschodniej stronie, w odległości kilku metrów, zrobiono rów mający dodatkowo utrudnić zadanie wrogom. Aby użyć tarana, musieliby najpierw zakopać ten rów, wystawieni na strzały łuczników, którzy strzegli zrobionej z bali przegrody.

Brama południowo-zachodnia, prowadząca na stronę skandyjską, miała podobną budowę, jednak nie znajdowała się – jak można by oczekiwać – dokładnie naprzeciwko bramy północno-wschodniej.

Gdyby atakującym udało się dostać do środka przez pierwszą bramę, stanęliby naprzeciwko ślepej ściany. Druga brama została umieszczona na wschodnim końcu palisady i skonstruowana w taki sposób, by wtapiać się w otaczające ją bale. Ta asymetria wydawała się mało istotnym szczegółem, ale mogła na moment zmylić napastników, którzy musieliby znaleźć drogę na zewnątrz, uwięzieni we wnętrzu fortu i wystawieni na strzały, włócznie i kamienie sypiące się z przejść po bokach.

Pod przejściami, pod zachodnią skalną ścianą, w parterowych budynkach znajdowały się baraki mieszkalne i jadalnia przeznaczone dla wojowników strzegących fortu. Erak uznał, że skoro jego ludzie mają przebywać na posterunku tak wysoko w górach, w śniegu i wietrze, powinni mieć zapewnione takie wygody, jakie tylko były możliwe.

Pod drugą ścianą wznosiły się dalsze budynki – stajnie, magazyny, a także warsztaty kowala i płatnerza.

Wszystkie te szczegóły nie były początkowo widoczne dla zbliżających się Czaplów – chociaż Hal wiedział o nich, uprzedzony przez Eraka – ale od razu zauważyli jedną cechę charakterystyczną fortu.

Skośny, pokryty drewnianymi gontami dach, wysunięty nad północno-wschodnią ścianę, osłaniał od środka zarówno przejście, jak i wnętrze fortu. Został on dodany do pierwotnej budowli po ostatniej inwazji Temudżeinów na terytorium Skandii. Wcześniej ściany i przejścia były osłonięte tylko płóciennymi daszkami, chroniącymi przed kapryśnymi pogody. Ten słaby punkt w obronie fortu został wykorzystany, gdy temudżeińscy łucznicy zsiadli z koni i wspięli się na urwiska w głębi przesmyku, a potem zasypali bezbronny garnizon deszczem strzał. Skandianie stracili w ten sposób większość swoich ludzi, a pozostali obrońcy nie wystarczali, by powstrzymać szturm na mury. Jeźdźcy ze Wschodu wdarli się do środka, wymordowali resztę garnizonu i całymi setkami przekroczyli granicę. Skośny dach miał zabezpieczyć przed podobnym atakiem.

Brama uchylła się, gdy niewielka karawana znalazła się bliżej. Hal widział twarze wyglądające znad palisady i przyglądające im się z ciekawością. Domyślał się, że poza zimną i ponurą pogodą to właśnie izolacja stanowiła jedno z największych wyzwań. Monotonia była poważnym problemem przede wszystkim dlatego, że mogła stępić czujność garnizonu. Życie tutaj biegło jednostajną sekwencją dni, które nie różniły się niczym poza pogodą. Potem jednak, gdy strażnicy najmniej się tego spodziewali, Temudżeini mogli zrobić nieoczekiwany wypad, by sprawdzić

ich gotowość obronną, a wtedy nudę zastąpiłby przypływ adrenaliny i strachu.

Ponieważ Hal obserwował fort, jego koń skorzystał z okazji, by się zatrzymać, opuścić łeb i pogrzebać kopytem w śniegu w poszukiwaniu czegoś, co dałoby się zerwać i pogryźć. Jako że Jake się zatrzymał, Barney zrobił to samo. Hal szturchnął wierzchowca piętami i skłonił go, by ruszył dalej przez otwartą bramę. Czuł, że wszyscy obserwują nowych przybyszy, którzy zatrzymali się na otwartej przestrzeni we wnętrzu fortu. Rozejrzał się i zobaczył wysokiego, siwego mężczyznę, który schodził właśnie po drabinie z przejścia po stronie południowej. Hal rozpoznał w nim jednego ze skirli i przywódców drużyn, Leksa Szczudłonogiego, więc uniósł dłoń w geście powitania.

– Leks! – zawołał. – Dobrze cię widzieć.

Leks zbliżył się, by uścisnąć mu rękę.

– Ciebie także – odpowiedział, a potem spojrzął na dwa wozy, na których rozpięrały się wygodnie Czaple. – Widzę, że przywiozłeś ze sobą swoją drużynę. Macie nas zmienić?

To ostatnie pytanie zadał, marszcząc brwi z zaskoczenia. Zazwyczaj drużyna liczyła trzydziestu mężczyzn. Leks wiedział, że drużyna Czapli, mająca znacznie mniejszy okręt, składa się z dziesięciu osób, co nie wystarczyłoby do obrony przejścia przez góry.

Hal pokręcił głową.

– Nie, musicie czekać na regularną zmianę. Czyli... Chyba jeszcze osiem dni, prawda?

Leks przytaknął.

– Owszem. Mają nas zmienić Villi Białobrody wraz z drużyną z „Wilczej Łapy”. Co w takim razie wy tutaj robicie?

Hal zeskoczył z konia, a Stig poszedł w jego ślady. Młody skirl przeciągnął się i przeszedł kilka kroków, by rozprostować nogi zeszywniałe po kilku godzinach jazdy.

– Erak chciał, żebyśmy rzucili okiem na umocnienia obronne. – Wskazał dwa wozy, czekające teraz na dziedzińcu fortu. – Przywieźliśmy także nową broń.

Leks uśmiechnął się.

– Bardzo mnie to cieszy. – Skinął na powitanie głową towarzyszom Hala.  
– Stigu, Thornie, witamy w Forcie Ragnak – oznajmił. Użył oficjalnej nazwy fortu, upamiętniającej poprzednika Eraka. Ragnak stał na czele

Skandian podczas poprzedniej inwazji Temudżeinów i zginął w samobójczym ataku na jeźdźców ze Wschodu, ratując życie araluńskiej księżniczki, która pomagała w obronie Hallasholm. Paradoksalnie sam zamierzał stracić tę dziewczynę zaraz po bitwie.

– Śliczne miejsce tu macie! – Thorn uśmiechnął się, przyglądając się ponurym kamiennym ścianom. W załomach i szczelinach skalnych leżały nadal resztki śniegu.

Leks także na nie spojrzął.

– Najlepsze w nim jest to, że niedługo je opuścimy – powiedział, ale zaraz wzruszył ramionami. – Właściwie nie można narzekać. Łóżka są miękkie, izby ciepłe, a jedzenie bardzo dobre.

– To świetna wiadomość – oznajmił radośnie Stig. Wysoki pierwszy oficer był w stanie znieść różne niewygody, pod warunkiem że mógł się najeść do syta.

Leks przyjrzał mu się badawczo.

– Cóż, jeśli masz tu zostać przez kilka dni, to cieszę się, że niedługo wyjeżdżamy – rzekł. – Nie jestem pewien, czy wystarczyłoby nam jedzenia.

– Przywieźliśmy ze sobą zapasy – wtrącił Hal. – Erak wie, że Stig jest workiem bez dna.

Stig uśmiechnął się – te przytyki do jego nadzwyczajnego apetytu nie dotykały go w najmniejszym stopniu.

– A skoro o tym mowa, to kiedy obiad? – zapytał.

Leks uniósł brwi.

– Obiad? Dopiero minęła jedenasta!

Stig potrząsnął głową.

– Gdzieś tam na świecie pora obiadowa dawno już minęła – poinformował dowódcę garnizonu.

Leks nie zamierzał się kłócić.

– Niech ci będzie. Zabierzcie konie i wozy do tamtej stodoły, żeby wypakować ładunek. Rozlokuję was w pokojach, a potem będzie...

– Obiad – powiedział Stig, zanim starszy mężczyzna zdążył dokończyć zdanie.

Leks westchnął.

– Skoro tak twierdzisz. Obiad – zgodził się z nim.



Posiłek był tak wyśmienity, jak zapowiadał to Leks. Poza innymi wygodami dostępnymi w forcie Erak przysyłał tam zawsze doskonałych kucharzy i pierwszorzędne zapasy, które mogli wykorzystywać. Szczególnie doceniał to Edvin, który odchylił krzesło i położył dłonie na lekko napęczniałym brzuchu.

– Jedzenie zawsze jest smaczniejsze, kiedy ktoś inny gotuje – powiedział w przestrzeń. Sam był świetnym kucharzem i odpowiadał za przygotowywanie posiłków, gdy załoga „Czapli” była na morzu lub podróżowała lądem, tak jak obecnie. To, że ktoś go wyręczał w tych obowiązkach, stanowiło miłą odmianę.

Stig uśmiechnął się do niego.

– Dla mnie zawsze ktoś inny gotuje – oznajmił. Pochłaniał właśnie trzecią okazałą porcję mocno przyprawionej potrawy z baraniny i kartofli, którą przyrządził dla nich kucharz, i odrywał potężne kawały chrupiącego chleba, by wycierać nimi pozostały na talerzu sos.

– I jest to robota na pełny etat – odparł Edvin, który z optymizmem myślał o pobycie w Forcie Ragnak i o tym, że przez ten czas nie będzie musiał się martwić o jedzenie dla wiecznie głodnego pierwszego oficera.

Hal rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy jego załoga skończyła posiłek. Wiedział, że musi teraz zagonić ich do roboty. Jeśli zgodzi się, żeby odpoczywali, połowa z nich zaraz zaśnie, a druga połowa zatonie w sennym odrętwieniu.

– Jesper, Stefan, zacznijcie segregować deski na dwie platformy – polecił energicznie.

Przez chwilę wydawało się, że Jesper zaprotestuje, ale zobaczył ponury wyraz oczu skirla, a także badawcze spojrzenie Thorna, czekającego na choćby słowo sprzeciwu. Westchnął i odsunął ławę od stołu.

– Chodźmy, Stefanie – odezwał się cierpiętniczym tonem. – Najwyraźniej mamy harować, podczas kiedy inni będą się obijać.

Obaj włożyli kurtki z baranicy, rękawice i czapki – Edvin zdążył skończyć nową czapkę dla Stefana – a potem otworzyli drzwi na dziedziniec. Kiedy to zrobili, do jadalni wpadł wiatr, podsycając na moment ogień. Po chwili zamknęli za sobą drzwi i pomaszerowali na drugą stronę, do magazynów, gdzie pod osłoną dachu czekały przycięte już odpowiednio deski.

W jadalni Hal popatrzył na Leksa.

– Możemy przez ten czas się rozejrzeć i zdecydować, gdzie dałoby się umieścić te dwie platformy – powiedział, a wysoki mężczyzna skinął głową. Podczas posiłku Hal wyjaśnił mu, że chce zbudować platformy strzelnicze, na których staną dwa zadymiarze.

Leks przyjął ten pomysł entuzjastycznie.

– Zgadzam się na wszystko, co będzie mogło zaskoczyć tych przeklętych Temudżeinów – rzekł. Wstał, skinął głową na Hala, zapraszając go, żeby mu towarzyszył, i podszedł do drzwi.

Stig także podniósł się z miejsca.

– Też się z nimi przejdę – powiedział i spojrzał na Thorna. – A ty, Thornie?

Stary wilk morski, który zajął miejsce na samym końcu stołu, w pobliżu buzującego ognia, potrząsnął głową i uśmiechnął się błogo.

– Jestem pewien, że ty i Hal poradzicie sobie beze mnie – oznajmił. – Ja dopilnuję, żeby ogień nie zgasł. To bardzo ważne zadanie.





## Rozdział 4



**R**zućmy najpierw okiem w górę doliny – zaproponował Hal. Leks poprowadził ich schodami na północno-wschodnie przejście. Gdy znaleźli się na szczycie palisady, Hal oparł łokcie na zaokrąglonych czubkach bali, tworzących naturalne blanki, za którymi mogli się przynajmniej częściowo ukryć obrońcy. Przyglądał się terenowi poniżej.

Osłonięta skalnymi ścianami dolina, w której się znajdowali, tworzyła przesmyk o długości jeszcze trzydziestu czy czterdziestu metrów, a potem zaczynała się rozszerzać, chociaż urwiste zbocza nadal pozostawały praktycznie niedostępne. Każdy wolny skrawek miejsca starały się wykorzystać wszędobylskie sosny, które rosły wzdłuż ścieżki i próbowały nawet wczepiać się w urwiska po bokach. Ciemnozielone gałęzie ugiwały się pod grubą warstwą śniegu.

– Czyżby tu ostatnio padało? – zainteresował się Hal.

Leks wzruszył ramionami.

– Często mamy śnieżyce, nawet o tej porze roku – odpowiedział. – Jesteśmy naprawdę wysoko. Ostatnio śnieg sypał dwie noce temu.

– To chyba utrudnia zorientowanie się, czy Temudżeini czegoś nie planują – zauważył Hal. Płaskie dno na środku przesmyku było wprawdzie oczyszczane z drzew, które rosły gęsto po bokach, pod skalnymi ścianami, ale należało się spodziewać, że w śnieżnej zadymce oddział nieprzyjaciela mógłby się zbliżyć niepostrzeżenie.

– Owszem. Kiedy śnieg zaczyna gęściej padać, na wszelki wypadek podnosimy gotowość bojową. Te przebiegłe diabły kiedyś spróbują

szczęścia.

– Czy mieliście do czynienia z jakimiś poważniejszymi atakami? – zapytał Hal.

Dowódca garnizonu potrząsnął przecząco głową.

– Nie, to bardziej rajdy nękające. Mają nas niepokoić i nie dać nam się wyspać. W tamtą stronę dolina zakręca po dwustu metrach, więc nie widzimy niczego dalej. – Leks wskazał przesmyk, który ostro oplatał się wokół skalnego występu. – Nie mamy pojęcia, czy nie gromadzą się tam większe siły, chyba że wiatr wiałby od północy.

To ostatnie zdanie sprawiło, że Hal zmarszczył brwi.

– Dlaczego to by miało robić różnicę?

– Z powodu hałasu. Jeśli zbierzesz w jednym miejscu kilkaset koni, nie utrzymasz ich w bezruchu. Brzęk uprzęży i stukot kopyt niosą się z wiatrem i mogą nas ostrzec.

– Erak zaproponował, że Lydia mogłaby się rozejrzeć – powiedział Hal.

– Sprawdzi, czy za załomem nie kryją się znacząca liczba Temudżeinów.

– Lydia? Ta dziewczyna, która z wami przyjechała? – zapytał zaskoczony Leks. – Czy to bezpieczne? Może się okazać, że w tej dolinie siedzi nawet kilkuset Temudżeinów. Co będzie, jeśli ją zobaczą?

– Ona doskonale potrafi być niewidoczna – rozległ się głos za nimi. – I niesłyszalna.

Zdumiony Leks okręcił się na pięcie i dostrzegł Lydię stojącą kilka metrów dalej. Wyszła za nimi z jadalni, a kiedy zobaczyła, że wspinają się po schodach na umocnienia, postanowiła do nich dołączyć. Jednak, jak zwykle, poruszała się tak cicho, że Leks nie miał pojęcia, iż dziewczyna znajduje się w zasięgu słuchu.

Hal uśmiechnął się do niego szeroko.

– Myślę, że sobie poradzi.

Lydia oparła się o szczyt palisady i przyjrzała się ścianie od zewnętrznej strony.

– Jak mam się stąd wydostać? – zapytała. – Macie tu jakąś furtkę?

Częstą praktyką było robienie w głównej bramie niewielkiej furtki, przez którą mogli wchodzić lub wychodzić pojedynczy ludzie.

Leks pokręcił głową.

– To byłby słaby punkt umocnień – wyjaśnił. – Nigdy też nie otwieramy bramy, jeśli nie mamy pewności, że w pobliżu nie kryje się nieprzyjaciel. Możesz użyć drabiny linowej, jeśli nie masz nic przeciwko.

Domyślał się, że nie będzie miała. Była atletycznie zbudowana i poruszała się niezwykle lekko.

Lydia wydeła wargi.

– To mi wystarczy – oznajmiła i spojrzała na Hala. – Dzisiaj jest już trochę późno. Wyruszę jutro przed świtem.

– To dobry pomysł – przyznał Hal. W zmiennym świetle przed wschodem słońca Lydia mogła opuścić fort i dotrzeć niezauważona do linii drzew. Potem będzie miała cały dzień, żeby przeczesać okolicę. – A my na razie znajdziemy miejsca, w których można będzie zbudować platformy – zwrócił się do Leksa.

Odwrócili się do schodów, ale Lydia została, oparta o palisadę.

– Pójdziesz z nami, Lydio? – zapytał Hal.

Dziewczyna pokręciła głową.

– To twoja działka. Ja zostanę tutaj i przyjrę się ukształtowaniu terenu.

Hal i Leks zeszli po schodach i przecięli dziedziniec. W południowej ścianie znajdowała się furтка, ponieważ od tej strony nie trzeba było aż tak zabezpieczać fortu. Leks przeszedł jako pierwszy – furтка nie była dostatecznie szeroka dla dwóch osób – a potem obaj ruszyli szybkim krokiem w głąb przesmyku, przyglądając się uważnie jego zboczom. Piętnaście metrów od fortu Leks zatrzymał się.

– Może tutaj – zaproponował, wskazując ścianę po wschodniej stronie. – Widzisz ten mały występ nad wyrastającym ze skały drzewkiem? Mógłbyś oprzeć na nim platformę i podeprzeć ją dodatkowo belkami od strony zewnętrznej.

Hal przymrużył oczy, żeby przyjrzeć się wskazanemu miejscu.

– Tak, to dobry pomysł – zgodził się. Skalna półka miała półtora metra szerokości, co wystarczyło, by zapewnić platformie solidne oparcie. – A po drugiej stronie?

Leks poprowadził go jeszcze kawałek w głąb przesmyku, aż wreszcie znowu się zatrzymał i wskazał zachodnią ścianę.

– W tym miejscu. Będzie wyżej niż tamta, ale dzięki temu będziesz mieć z niej dobry widok na przesmyk za fortem.

Ta półka skalna była wprawdzie węższa, ale i tak wystarczała, by umieścić na niej platformę. Tak jak powiedział Leks, znajdowała się trochę wyżej, jakieś dziesięć metrów nad ziemią. To jednak oznaczało, że rozciągał się z niej doskonały widok ponad palisadą fortu na część ziem należących do Temudżeinów.

Hal spojrział w niebo. Słońce przekroczyło już najwyższy punkt, a dno doliny skryło się w cieniu.

– Zostało jeszcze kilka godzin światła – ocenił. – Wezmę się do roboty i pozaznaczam pozycje, w których znajdują się podpory.

Po powrocie do fortu załadował swoje narzędzia i przenośny warsztat na jeden z wozów, dokładając jeszcze kilka zwojów liny. Potem polecił Ulfowi i Wulfowi, żeby złapali za hołoble i pociągnęli wóz do doliny.

– Czy my jesteśmy końmi? – narzekał bez szczególnego zacięcia Ulf. Prawdę mówiąc, lekki wóz z niewielkim ładunkiem nie był trudny do ciągnięcia.

Hal uśmiechnął się do niego.

– Ależ skąd. Konie są inteligentne.

Wulf prychnął pogardliwie.

– Jestem bardziej inteligentny od konia – oznajmił.

Jego brat nie potrafił się powstrzymać od odpowiedzi.

– To dlaczego ty ciągniesz wóz na tym zimnie, a konie siedzą sobie w zacisznej i ciepłej stajni?

Wulf nie wpadł na nasuwającą się replikę, że jego brat zajmuje się tym samym, więc również nie jest tak inteligentny jak koń. Hal pomyślał, że bliźniakom często zdarza się nie widzieć rzeczy oczywistych.

– Mimo wszystko uważam, że jestem bardziej inteligentny od konia! – powiedział Wulf.

Ulf spojrział na niego z ukosa.

– Znałem kiedyś konia, który umiał liczyć do osiemnastu.

Wulf odpowiedział mu natychmiast:

– Ja potrafię liczyć do osiemnastu!

– Owszem, ale on to robił kopytami! – odparł triumfalnie Ulf.

Wulf zmarszczył brwi, niepewny, jak potraktować tę uwagę. Hal także nie do końca rozumiał, co miała oznaczać, ale Ulf wydawał się wyjątkowo zadowolony z siebie. Młody skirl doszedł do wniosku, że w bezustannej i nonsensownej sprzeczce pomiędzy bliźniakami Ulf zarobił właśnie punkt na swoją korzyść.

– Potrzebujesz pomocy? – zapytał Stig, który podbiegł, żeby ich dogonić. Zauważył, jak wychodzą z fortu, i uznał, że Halowi może się przydać wsparcie przy robieniu pomiarów miejsc, gdzie miały się znaleźć platformy.

Hal uśmiechnął się z wdzięcznością. Dodatkowa para rąk do mierzenia i oznaczania punktów podparcia bardzo przyspieszy pracę – szczególnie

gdy trzeba to będzie robić kilka metrów nad ziemią.

– Nie mam nic przeciwko komuś, z kim można rozsądnie porozmawiać – oznajmił.

Stig spojrzął z uśmiechem na bliźniaków. Wulf poruszał niemo wargami, jakby poszukiwał odpowiednio zjadliwej odpowiedzi na komentarz Ulfa.

– Wiem, o co ci chodzi – powiedział pierwszy oficer.

Rozłożyli sprzęt pod pierwszym występem. Hal przypiął skórzany pas i przewiesił przez jedną pętlę młotek, a przez drugą nieduży oskard. W sakwie z przodu pasa znajdował się zapas żelaznych szpil. Stig zarzucił na ramię zwój liny, a potem dwaj przyjaciele zaczęli się wspinać na urwisko, bez trudu znajdując chwyt dla dłoni i oparcie dla stóp. Wyrastali w pobliżu gór i spędzili dzieciństwo, wdrapując się po niemal pionowych skałach. Zawsze dawało się znaleźć jakieś punkty podparcia, jeśli się wiedziało, czego szukać.

Pamiętali też, że podczas wspinaczki zawsze należało przytrzymywać się skały w trzech punktach.

W tym czasie Hal wbijał w szczeliny i pęknięcia skał kolejne szpile, a Stig przywiązywał do nich linę, żeby zostawić stałą poręcz dla wchodzących na górę, na wypadek gdyby ktoś się poślizgnął. Pierwsza półka była szeroka i równa. Stig usiadł i patrzył, jak Hal oznacza na skałach miejsca, w które miała się opierać drewniana platforma. Skała była dostatecznie twarda, by zapewnić stabilne podparcie konstrukcji, ale nie aż tak twarda, by Hal nie mógł robić w niej nacięć i znaków oskardem.

Kiedy wybrał już punkty zamocowania platformy od strony skalnej półki, zszedł na dół po przygotowanych linach i zaznaczył miejsca, w których rozpory miały się opierać o ścianę. Zręcznie zrobił w kamieniach nacięcia oskardem w taki sposób, by utworzyć stopnie, na których mogły spocząć ukośne podpory.

– Wystarczy na dzisiaj – orzekł. – Wracajmy do fortu.

Zeszli na sam dół, do czekających przy wozie Ulfa i Wulfa. Kiedy się zbliżyli, zobaczyli, że Wulf przytupuje prawą stopą o ziemię i jednocześnie liczy.

– ...piętnaście, szesnaście, siedemnaście, osiemnaście! – zakończył z wyraźnym triumfem. – Widzisz? Potrafię zrobić wszystko to, co zrobiłby koń.

– Możliwe – odparł Ulf. – Ale on nie pomagał sobie przy liczeniu palcami.

Wulf ponownie nie znalazł na to odpowiedzi.



## Rozdział 5



**C**ztery godziny po północy niewielka grupka zebrała się na zachodnim krańcu muru od strony północnej.

Gwiazdy świeciły jasno na zimnym nocnym niebie i na razie nie było widać żadnych oznak świtu. Lydia przyjrzała się zwiniętej drabinie linowej, która leżała na deskach pomostu. Rozwinęła kawałek i zobaczyła, że boki drabiny zrobiono z grubych lin, szczeble zaś z płaskich kawałków drewna, by zapewnić stopom lepsze oparcie. Przy co trzecim szczeblu zamocowano dodatkowe listwy, co pozwalało przytrzymać drabinę w odpowiedniej odległości od ściany. W ten sposób wygodniej było przesuwając ręce po bocznych linach i stawiać stopy na kolejnych szczeblach.

– Wszystko w porządku – oznajmiła, podnosząc głowę, żeby spojrzeć na Leksa.

Siwowłosa mężczyzna wskazał szczyt palisady.

– Zrzucić drabinę?

Lydia zaprzeczyła ruchem głowy. Odwróciła się do Hala.

– Czy ten kosz jest już przygotowany? – zapytała, a skirl przytaknął. Na jej prośbę przytachał żelazny kosz wypełniony drewnem opałowym i podpałką, który stał teraz przy drugim końcu ściany. – Doskonale – powiedziała Lydia. – Zapalcie go teraz. Ale nie spieszcie się nadmiernie z podpalaniem.

Płonący kosz z żarem miał odwrócić uwagę ewentualnych obserwatorów ukrytych pomiędzy drzewami od schodzącej po ścianie Lydii. Im więcej



czasu zajmie Halowi rozpalanie zawartości kosza, tym częściej będzie widać iskry na krzesiwie. To zaś oznaczało co najmniej kilka jasnych rozbłysków, doskonale widocznych w mroku przed wschodem słońca, które skutecznie przykują spojrzenie domniemanego obserwatora.

Hal odwrócił się, żeby przejść bliżej kosza. Za sobą słyszał Lydię, wydającą polecenia dwóm wojownikom, którzy czekali przy drabinie.

– Opuuszczajcie ją powoli – poleciła. – Nie przerzućcie jej po prostu przez ścianę, bo będzie słychać grzechot szczebli.

Mężczyźni skinęli głowami, po czym unieśli ciężki kłęb liny i drewna nad szczyt palisady. Lydia podniosła rękę i obserwowała Hala podchodzącego do kosza na końcu przejścia. Jaskrawy błysk światła oświetlił na moment jego przykucniętą sylwetkę, gdy uderzył ostrzem saksy o trzymany krzemień. Zaraz potem zaśnił następny błysk.

– Opuśćcie drabinę – poleciła cicho Lydia, potwierdzając te słowa gestem ręki w dół. Dwaj mężczyźni zaczęli stopniowo rozwijać drabinę, tak żeby jej koniec opadał cicho wzdłuż ściany. Kiedy dotknął ziemi, zawiązali pętle na szczycie drabiny, mocując ją do zaostrzonych czubków bali. Lydia lekko wspięła się na palisadę, przykucnięta, żeby nie ujawnić swojej obecności. Sięgnęła stopą do pierwszego szczebła, natrafiła na niego po omacku i zaczęła szybko schodzić.

Na drugim końcu palisady kolejne jasne błyski rozświetliły noc. Potem zastąpiła je pomarańczowa poświata, gdy podpałka zapłonęła, oraz cichy szum płomieni, kiedy Hal rzucił płonąca hubkę na nasączone olejem drewno w koszu. Natychmiast zajęło się ogniem, a żółte płomienie wystrzeliły wysoko w ciemność.

Lydia pomyślała, że to powinno przykuć uwagę każdego obserwatora. Jej prawa stopa dotknęła już pokrytej śniegiem ziemi. Zeskoczyła z drabiny i szarpnęła trzykrotnie prawą linę. Drabina zaczęła się podnosić, powoli i cicho, w odpowiedzi na ten ustalony wcześniej sygnał.

Lydia miała na sobie szarą wełnianą pelerynę z kapturem. Poprzedniego wieczoru pomazała ją popiołem i sadzą z paleniska w nieregularne wzory, żeby trudniej było zauważyć sylwetkę. Naciągnęła na głowę kaptur, by ukryć twarz, a potem owinęła się ciasniej peleryną i zaczęła oddalać się od fortu, przemykając tuż pod skalną ścianą przesmyku.

Bezgłośnie zagłębiała się w dolinę. Za jej plecami kosz płonął pogodnie żółtym światłem, a kilku strażników skwapliwie zgromadziło się dokoła niego. Serce Lydii biło odrobinę szybciej, wspomagane adrenaliną, jaka

towarzyszyła wkroczeniu na terytorium wroga. Pomyślała, że uczucie osamotnienia i bezbronności jest czymś nieuniknionym, gdy opuszcza się bezpieczne, chronione miejsce, takie jak twierdza, gdzie zawsze można liczyć na wsparcie i pomoc przyjaciół. Nie miała nic przeciwko samotności. Pod pewnymi względami nawet ją lubiła. Ale poczucie możliwego zagrożenia, świadomość, że każdy cień i każde drzewo mogą skrywać wroga, nigdy jej nie opuszczały.

Uznała, że to chyba dobrze. Dzięki temu zachowywała czujność.

Miała całkowitą rację. Każde jej włókno nerwowe, wszystkie zmysły były wyczulone w najwyższym stopniu. Czowała otaczającą ją przestrzeń tak samo, jak ją widziała i słyszała. Była świadoma każdego elementu składowego – widoków, dźwięków, zapachów. Miała pełny obraz tego, co ją otaczało.

Sosny rosły teraz gęściej, więc wślizgnęła się w ich cień, trzymając się nadal przy samej ścianie rozpadliny. Przestrzeń na środku była odsłonięta, ale ściany przesmyku zaczęły się od siebie oddalać, więc Lydię od krawędzi lasu dzieliły już trzy drzewa. Nie widziała teraz wyraźnie nieba, a ziemia pod gęstymi gałęziami sosen skrywała się w głębokiej ciemności. Poplamiona szara peleryna doskonale spełniała swoje zadanie – sylwetka dziewczyny była teraz nieregularnym, niedającym się zidentyfikować kształtem, przemykającym jak duch pomiędzy pniami drzew.

Usłyszała z lewej strony szelest, a potem miękkie pacnięcie. Znajdowała się właśnie pomiędzy dwoma drzewami, więc wszystkie jej nerwy wrzasnęły, że powinna schować się szybko pod najbliższym pniem.

Nie zrobiła tego jednak. Zamarła bez ruchu, a w uszach dzwoniło jej tak głośno, że wydawało jej się, że każdy stojący w pobliżu mógłby to usłyszeć.

Długoletnie doświadczenie podpowiadało Lydii, że zawsze w takiej sytuacji najbezpieczniej jest pozostawać w bezruchu, bez jednego drgnienia, obserwując otoczenie i badając je wyostrzonymi zmysłami, by ustalić, co spowodowało dźwięk.

Usłyszała go jeszcze raz przed sobą i znacznie dalej. Jej nerwy znowu napięły się niebezpiecznie, ale teraz domyśliła się jego źródła. To był śnieg ześlizgujący się z nadmiernie obciążonej gałęzi i spadający na ziemię: szur-pac. Odczekała kilkanaście sekund z jedną stopą wysuniętą do przodu, po czym ruszyła naprzód, wślizgując się pod osłonę najbliższego drzewa.

Zatrzymała się tam, żeby uspokoić nerwy. Zauważyła, że lekki wiatr zwiastujący nadejście świtu zaczął wiać z głębi doliny, od strony fortu.

Gałęzie wokół niej poruszały się lekko, kiedy nasłuchiwała przez chwilę cichego szmeru wiatru w igłach sosen. Zawsze dźwięk ten przypominał jej odległy odgłos fal uderzających o plażę. Wśród innych dźwięków usłyszała coś przypominającego głosy, rozmawiające cicho – za cicho, żeby rozumiała słowa. Znowu stężała, ale zaraz uspokoiła się, ponieważ uświadomiła sobie, że wiatr wiejący od strony fortu niesie do niej przyciszone rozmowy wartowników, skupionych wokół ciepłego kosza z żarem na palisadzie.

Skinęła głową z zadowoleniem. Szum wiatru, głosy i szelest poruszających się gałęzi skutecznie maskowały wszelkie dźwięki, których źródłem mogła być ona sama – chociaż wiedziała, że nie będzie ich dużo.

Ruszyła przed siebie, chowając się głębiej pośród drzew.



Hal i Leks odczekali jakieś trzydzieści minut od zniknięcia Lydii.

Leks przez ten czas wpatrywał się w niewyraźne cienie wypełniające dolinę. Widział poruszającą się Lydię przez jakieś dziesięć albo dwadzieścia metrów. Przesuwała się pod skalną ścianą, częściowo ukryta pod peleryną, która rozmywała się w słabym świetle. Potem jego uwagę odwrócił przelatujący nisko nocny ptak, więc spojrział w inną stronę. Później nie zdołał już dostrzec nawet śladu Lydii.

Powiedział o tym Halowi, ale młody skirl tylko uśmiechnął się w odpowiedzi. Doskonale znał umiejętności dziewczyny.

– Już jej nie zobaczysz – poinformował starszego mężczyznę. – Jak tylko przestaniesz na nią patrzeć, znika. Robi to przez całe swoje życie – wyjaśnił.

– No to dlaczego jeszcze tu jesteś? – zapytał Leks.

– Nasłuchuję. Gdyby wpadła w kłopoty, usłyszymy to, ale powiedziałbym, że na razie nie natrafiła na żadne przeszkody. Myślę, że wrócę teraz do łóżka.

W chłodzie przed świtem myśl o ciepłych kocach w barakach, tuż przy blasku kominka, wydała się nagle bardzo atrakcyjna. Hal skierował się do schodów.

– Idziesz? – zapytał.

Jednakże Leks, który nie pokładał w umiejętnościach Lydii takiej wiary jak Hal, potrząsnął głową.

– Zostanę tutaj – zdecydował. – Będę nasłuchiwać.

Hal wzruszył ramionami, ale rozumiał jego niepokój.

– Zrobisz, jak zechcesz – powiedział. – Do zobaczenia na śniadaniu.



Po śniadaniu – obfitym posiłku złożonym z kiełbasek, smażonych ziemniaków i przypiekanych podpłomyków, a popitym aromatyczną i gorącą kawą – Hal zabrał Stiga i bliźniaków w głąb doliny, do miejsca, gdzie miała powstać druga platforma strzelnicza. Podobnie jak wcześniej wspiął się na zbocze doliny i szybko oznaczył punkty podparcia platformy, wycinając w skale występy w miejscach, gdzie miały się znaleźć belki.

Kiedy skończył, przyjrzał się z satysfakcją wykonanej robocie.

– Resztą ty się możesz zająć – powiedział do Stiga. – Weź załogę i zbudujcie te platformy. Ja zacznę składać jednego z zadymiarzy. Chcę pokazać Damienowi, jak działają.

Damien był dowódcą piętnastu aralueńskich łuczników przydzielonych do załogi fortu. Spotkali się poprzedniego wieczoru i omówili plan Hala zamontowania na zboczach dwóch potężnych kusz, mających wzmocnić obronę twierdzy. To właśnie ludzie Damiena mieli je obsługiwać, więc dowódca nie mógł się doczekać, aż zobaczy nową broń w działaniu.

Hal i Stig wrócili do fortu, zostawiając bliźniaków odpoczywających na miejscu, gdzie miała stanąć wschodnia platforma. Stig przyprowadził z powrotem pusty teraz wózek, a potem zwołał resztę załogi i kazał załadować pozostałe materiały. Hal poszedł do magazynu, w którym leżały dwa rozmontowane zadymiarze, owinięte płótnem. Rozwiązał rzemienie, przytrzymujące płachtę na jednym z nich, i zwołał Ingvara.

– Ingvarze, ty zostaniesz ze mną. Będę potrzebował twojej pomocy przy demonstracji zadymiarza.

Ogromny młodzieniec skinął głową. Na pokładzie okrętu współpracował z Halem, zasiadającym za celownikiem Zadymiarza. To właśnie Ingvar obracał potężną broń, przepychając ją długą tyczką w prawo lub w lewo. Przywiezione teraz zadymiarze miały się opierać na trójnogach, żeby

stojący za nimi strzelec mógł je obracać samodzielnie. Jednakże siła Ingvara mogła się przydać przy przeładowywaniu wielkiej kuszy.

Hal zaczął szybko składać części, dopasowując je i jednocześnie sprawdzając, czy w drewnie nie pojawiły się jakieś skazy, szczeliny lub pęknięcia, które mogłyby sprawić, że kusza nieoczekiwanie – i z katastrofalnym rezultatem – pęknie, gdy zostanie naciągnięta.

Kiedy złożył już korpus, łuk i mechanizm spustowy, postawił kuszę, opierając ją kolbą o ziemię, i podniósł ciężką cięciwę z pętlami na obu końcach. Nałożył jedną pętlę na wcięcie z prawej strony drzewca i skinął głową na Ingvara, żeby wygiął łuk i umożliwił mu nałożenie pętli na drugi koniec. W zwykłych okolicznościach potrzeba by było do tego dwóch lub nawet trzech ludzi. Jednakże Ingvar z głośnym stęknieniem przygiął drzewce tak, żeby skirl mógł założyć cięciwę z drugiej strony.

– Cieszę się, że tu jesteś. – Hal popatrzył na niego z podziwem. – Nie mam pojęcia, jak bym sobie z tym sam poradził.

Ingvar uśmiechnął się lekko.

– Jestem pewien, że wymyśliłbyś maszynę, która robiłaby to za ciebie – oznajmił, pokładając absolutną wiarę w pomysłowość Hala.

Hal wzruszył ramionami.

– Możliwe. Ale jest mi o wiele łatwiej, kiedy ty to robisz – powiedział.



## Rozdział 6



**K**iedy zadymiarz był już gotowy, Hal oparł maszynę na ramieniu i skierował się do schodów na umocnienia. Ingvar poszedł w jego ślady, niosąc złożony trójnóg i płócienny worek z bełtami.

Damien, dowódca aralueńskich łuczników, czekał na nich u szczytu schodów. Towarzyszyło mu ośmiu jego ludzi – pozostali pełnili obecnie wartę i czekali w strażnicy mieszczącej się w niewielkiej wieżyczce po wschodniej stronie umocnień. Czterech ludzi Leksa stało na palisadzie i obserwowało dolinę, wypatrując jakichkolwiek oznak świadczących o zbliżaniu się wroga.

Łucznicy stłoczyli się z ciekawością wokół ogromnej broni, którą Hal położył na ziemi, opierając jednym końcem o palisadę. Przyglądali się jej z fachowym zainteresowaniem.

– Duże to, nie uważasz? – powiedział Damien, a Hal skinął głową.

Ingvar rozłożył trójnóg i także ustawił go pod ścianą. Skirl odwinął płótno, żeby wyjąć jeden z ciężkich drewnianych bełtów, który podał Damienowi.

– Jak się domyślam, kiedy to kogoś trafi, widok nie jest piękny – rzekł dowódca, obracając w dłoni ciężki pocisk, żeby przyjrzeć się sztywnym skórzanym lotkom i metalowemu grotowi.

– Zwykle nie poprzestaje na jednej osobie – poinformował Hal i cofnął się o krok, żeby Ingvar mógł podnieść zadymiarza na trójnóg, osadzić go i upewnić się, że jest solidnie umocowany. Obrócił go kilka razy w jedną i w drugą stronę, a potem jeszcze podniósł i opuścił, żeby przekonać się, że

broń porusza się płynnie. Następnie dokręcił śruby na obu trzpieniach, żeby kusza była umocowana solidniej, ale mogła się w razie potrzeby przesuwąć.

– Przygotowałem cele, tak jak prosiłeś. – Damien wskazał trzy drewniane tarcze wielkości człowieka, które jeden z jego ludzi rozstawił w dolinie.

– Doskonale – odparł Hal i ocenił dystans, mrużąc oczy. – W odległości pięćdziesięciu, stu i dwustu kroków, tak?

– Mniej więcej – odparł Damien. Odwrócił się, ponieważ na schodach pojawił się dowódca fortu, który także podszedł do nich. – Dzień dobry, kapitanie. Przyszedłeś obejrzyć pokaz?

Leks skinął głową i spojrzał z zaciekawieniem na zadymiarza.

– Nigdy go z bliska nie widziałem – powiedział do Hala. – Macie taki na waszym okręcie, prawda?

– Owszem. Kiedy przychodzi do walki, wróg ma zwykle nad nami przewagę liczebną, więc taka broń pozwala trochę wyrównać szanse – wyjaśnił Hal.

Damien wydał wargi z lekkim zainteresowaniem.

– Nigdy wcześniej nie słyszałem o uzbrojonym okręcie.

– Podobnie jak wielu spośród tych, z którymi walczyliśmy – odparł Hal. Spojrzał na Ingvara. – No dobrze, Ingvarze, załaduj bełt.

Łucznicy patrzyli, jak potężnie zbudowany młodzieniec pochwycił dwa lewary i pociągnął je do tyłu i do góry, a następnie umieścił w zaczepie grubą cięciwę.

– Wy pewnie będziecie musieli radzić sobie w dwie osoby – poinformował Hal, a łucznicy pokiwali głowami. Byli pod wrażeniem siły młodego olbrzyma. Hal stanął teraz za zadymiarzem, ale trzymał się trochę z boku, żeby nie zasłaniać Damienowi i jego ludziom widoku. Podniósł tylny celownik i pokazał przyrząd pozostałym. – W przypadku waszych łuków musicie sami ocenić kąt i kierunek strzału. Zadymiarz ma takie celowniki, które bardzo ułatwiają sprawę. – Wiedział, że doskonale wyszkoleni łucznicy bez trudu opanują wymyślony przez niego system. Aralueńscy strzelcy należeli do najlepszych na świecie i byli przyzwyczajeni do oceniania na oko kątów i odległości. Celowniki znacznie uproszą im to zadanie. – Podaj mi, proszę, bełt, Ingvarze – powiedział cicho. Zaczekał, aż jego towarzysz umieści jeden z ciężkich bełtów w wycięciu na wierzchu kuszy i przesunie go do tyłu tak, że płytkie wcięcie w osadzie będzie się opierać na grubej cięciwie. Hal przez kilka sekund



przyglądał się najbliższemu celowi. – Chyba jest ciut dalej niż pięćdziesiąt kroków? – zapytał.

Damien skinął głową, ukrywając uśmiech. Poleciał swojemu człowiekowi, żeby nie odmierzał odległości szczególnie starannie. Ciekawiło go, jak dobry jest ten młody skandyjski dowódca.

– Nie postarałeś się, Willis – zwrócił się do łucznika, który rozstawiał cele.

Willis uśmiechnął się szeroko.

– Przepraszam, szefie – odparł bez cienia skruchy w głosie.

Hal przyglądał im się przez kilka sekund. Wiedział, o co tu chodziło. Kiedy próbuje się zademonstrować wojownikowi nową broń lub technikę, ten zawsze robi wszystko, żeby ci się to nie udało. Taki styl postępowania należał do standardowych zachowań.

Specjalnie się tym nie przejął. Podszedł bliżej do zadymiarza, pochylił się i wsparł ramieniem o kolbę. Potem, pozornie niedbale, przesunął broń, aż muszka przedniego celownika znalazła się na wysokości celu, obrócił korbę regulującą wysokość, żeby V na tylnym celowniku znajdowało się odrobinę powyżej celu, a muszka przedniego celownika znajdowała się w samym środku tego V, i niemal obojętnie nacisnął spust.

TRZASK!

Otoczający go łucznicy drgnęli z powodu gwałtownego dźwięku towarzyszącego spuszczonej cięciwie. Bełt śmignął z palisady i trafił pierwszy cel w miejscu, gdzie zwężenie miało udawać coś w rodzaju głowy. Siła uderzenia roztrzaskała drewno, a cała tarcza przekoziółkowała w śniegu i zatrzymała się niemal trzy metry dalej.

– Na paznokcie Orloga! – wymamrotał Damien. To było lokalne przekleństwo, ale przez ten czas spędzony na północy bardzo je polubił. – To jest naprawdę niebezpieczne!

– Odrobinę – zgodził się z nim Hal i skinął głową na Ingvara, żeby załadował nowy bełt. Tym razem wybrał drugi z kolei cel. Oceniał, że znajduje się on trochę bliżej niż zapowiadane sto kroków, więc wycelował w podstawę tarczy w kształcie ludzkiej sylwetki. Strzałowi znowu towarzyszył potężny trzask, a w powietrzu śmignął kolejny bełt. Ten rąbnął w sam środek celu, rozsypując na wszystkie strony drzazgi i rozszepiając tarczę na połowy, które złożyły się pod własnym ciężarem.

Trzeci strzał, do najdalszego celu, poszedł trochę w bok i zahaczył drewnianą tarczę tylko z jednej strony. Znowu poleciały drzazgi, a cel

zaczął się szybko obracać pod wpływem energii uderzenia. Z boku pozostała wybita ogromna dziura.

Hal odsunął się od broni i popatrzył na łuczników. Po pierwszym strzale nie odzywali się, ale mógł dostrzec, że są pod wrażeniem siły i precyzji wielkiej kuszy.

– Macie ochotę spróbować? – zapytał cicho, a oni natychmiast się ożywili. Każdy chciał postrzelać z tej niszczycielskiej nowej broni.

Damien uciszył ich niemal natychmiast.

– Ja będę pierwszy – oznajmił. Spojrzał z ukosa na Hala i uśmiechnął się.  
– Po to jest się dowódcą, żeby czasem wykorzystać swoją pozycję.

Hal gestem zaprosił łucznika, by zajął miejsce za kuszą, którą Ingvar załadował dla niego. Obserwował, jak Damien ustawił oba celowniki na cel w odległości pięćdziesięciu kroków. Nie było konieczności mówić mu, co ma robić, ale mimo to Hal mógł udzielić dodatkowej rady.

– Nie szarp spustu. Naciśnij go – odpowiedział.

Pochylony nad celownikiem Damien skinął głową, nie odrywając wzroku od tarczy. Jego strzał wbił się w cel leżący na boku w śniegu, tam gdzie wcześniej upadł.

Łucznik odsunął się, skinął głową na jednego ze swoich ludzi, by zajął jego miejsce, a potem spojrzał prosto na Hala.

– Niesamowite – oznajmił. – Takie coś naprawdę wstrząśnie tymi jeźdźcami, jeśli znowu spróbują szczęścia.

– Chciałbym ci pokazać coś jeszcze – powiedział Hal. – Tylko zaczekajmy, aż twoi ludzie oddadzą kilka strzałów.

Wszyscy łucznicy chcieli spróbować nowej broni, ale Damien potrząsnął głową. Wybrał trzech z nich, którzy mieli ćwiczyć strzelanie z zadymiarza, a potem obsługiwać obie kusze. Pozostali narzekali, lecz przyjęli decyzję stosunkowo pogodnie, zwłaszcza gdy dowódca przypomniał im:

– Jeśli wszyscy będziecie strzelać, za chwilę zabraknie nam bełtów.

Musieli przyznać mu rację.

Kiedy każdy z trzech wybranych łuczników wystrzelił trzy razy, Hal sięgnął do worka i zademonstrował zebrany inny pocisk. Ten zamiast ostrza z metalu miał na czubku pękatą glinianą główicę. Gdy Damien przyjrzał mu się uważniej, zobaczył wystający ze środka sznurek.

– To coś nowego – poinformował Hal zgromadzonych. – Nie używamy tego na naszym okręcie, ponieważ byłoby zbyt niebezpieczne, ale na stałym

ładzie, tak jak tutaj, powinno się dobrze sprawdzić. Ma za zadanie zasiać panikę wśród atakujących, szczególnie jeśli mają konie.

Wskazał glinianą głowicę.

– To zbiornik, w którym znajduje się mieszanina oleju i smoły – wyjaśnił. – Tutaj widzicie lont. – Wskazał postrzępiony sznurek wychodzący ze środka. – Należy wycelować, podpalić lont i wypuścić pocisk. Kiedy uderzy o ziemię, o skałę lub o tarczę jeźdźca, roztrzaska się, rozlewając lepki olej ze smołą, który zajmie się ogniem od lontu i sprawi, że nagle wybuchną płomienie – Hal umilkł na chwilę. – Słyszałem z pewnego źródła, że konie tego nie lubią.

Kilku łuczników mruknięto potwierdzająco. Damien uśmiechnął się złowrogo.

– Chyba też bym czegoś takiego nie lubił – przyznał. – Zobaczmy, jak to działa w praktyce.

Hal ostrożnie wyciągnął korek ze zbiorniczka w pocisku i upewnił się, że jest pełen łatwopalnego oleju ze smołą, a lont mocno w nim siedzi.

– Jest trochę cięższy od standardowego żelaznego bełtu – wyjaśnił. – Dlatego musicie celować trochę wyżej. Za to nie trzeba być aż tak precyzyjnym, ponieważ kiedy zbiornik się rozbije, płomienie obejmą większy obszar.

Zaczekał, aż Ingvar przechyli zadymiarza i umieści nowy pocisk w płytkim korytku, obracając go w taki sposób, by lont znalazł się na górze. Hal rozejrzał się po dolinie i wskazał skalny występ na północno-zachodnim zboczu.

– Ta czarna skała doskonale się nada – uznał. Przykucnął za zadymiarzem i ustawił go, celując odrobinę powyżej wybranego punktu, żeby wziąć poprawkę na cięższy pocisk i dodatkowy opór powietrza, jakiemu będzie poddany pękaty gliniany zbiorniczek. Ingvar wyjął płonące polano z kosza. Rozpalili ogień wcześniej rano, a potem podsycali, by zapewnić ciepło strażnikom na murze. Zanim jednak zdążył zapalić lont, Hal podniósł rękę, żeby go powstrzymać.

– Chwileczkę, Ingvarze – poprosił i odwrócił się do łuczników czekających w napięciu w półokręgu. – Powinienem wam powiedzieć o jednej rzeczy – uprzedził. – Testowaliśmy to urządzenie zimą i stwierdziliśmy, że strzał wychodzi średnio trzy razy na pięć. Może się zdarzyć, że lont nie zdoła podpalić oleju i smoły albo zgaśnie pod wpływem

podmuchu powietrza. Dlatego nie zdziwcie się, jeśli nie za każdym razem się powiedzie.

Skinął głową na Ingvara, a potężny młodzieniec podszedł, żeby podpalić polanem żarzący się lont. Odczekał sekundę czy dwie, aż sznurek zajął się z sykiem.

– Pali się! – krzyknął Ingvar.

Hal jeszcze raz poprawił cel i nacisnął spust.

TRZASK!

Zadymiarz szarpnął się w tył na trójnogu, gdy ramiona kuszy wystrzeliły do przodu. Pocisk poszybował w powietrzu, zostawiając za sobą cienką smugę szarego dymu. Potem uderzył z impetem o skałę.

Rozległ się donośny trzask, kiedy gliniana głowica eksplodowała, rozlewając swoją zawartość. Po jakiejś sekundzie olej i smoła zapaliły się z głośnym szumem, a w powietrze wystrzeliły płomienie, którym towarzyszyły kłęby czarnego, gryzącego dymu.

Zgromadzeni łucznicy ponownie wyrazili podziw dla skuteczności nowej broni.

– Kto to wymyślił? – zapytał jeden z nich.

Hal milczał, ale Ingvar z dumą szturchnął go łokciem, aż młody skirl omal nie spadł z przejścia.

– To on – oznajmił Ingvar. – On ma mnóstwo dobrych pomysłów.

Hal machnął skromnie ręką, gdy pozostali stłoczyli się, żeby mu pogratulować. Byli tu sami doświadczeni wojownicy i potrafili docenić kogoś, kto umiał wymyślić skuteczniejszy sposób walki z wrogiem.

– Wyobraźcie sobie, co się stanie, gdy taki pocisk wybuchnie wśród jadących blisko siebie jeźdźców – odezwał się Damien. – Ich konie będą wierzyć jeszcze przez połowę drogi powrotnej na stopy.

Jeden z młodszych łuczników podszedł bliżej i przyjrzał się uważnie zadymiarzowi, przesuwając dłonią po gładkim drewnie i metalu.

– Prawie chciałbym, żeby spróbowali nas zaatakować – oznajmił. – Tylko po to, żeby zobaczyć, jak bardzo ich to przerazi.

Starsi żołnierze potrząsnęli głowami, słysząc słowa entuzjastycznego młodzika.

– Uważaj, Simonie – przestrzegł jeden z nich. – Możesz dostać to, o co prosisz.



## Rozdział 7



**L**ydia przemykała się nadal pomiędzy drzewami. Dolina stawała się coraz szersza, a jej dno coraz równiejsze. Dziewczyna trzymała się strefy porośniętej drzewami, ale cały czas była blisko otwartej przestrzeni.

Od czasu do czasu widziała dowody świadczące o tym, że jeźdźcy ze wschodu zapuszczali się w tę okolicę. Zazwyczaj miały one postać końskiego nawozu pozostawionego na śniegu. Lydia wyszła spomiędzy drzew, podeszła do takiej kupy i przykucnęła, żeby rozgarnąć ją patykiem. Nawóz był przemarznięty i praktycznie suchy w środku. Najwyraźniej leżał tutaj od wielu dni.

Kiedy rozgarnęła odchody patykiem, ostry zapach wypełnił jej nozdrza. Podniosła się, żeby rozejrzeć się po okolicy.

Nie było widać żadnych śladów konia, który pozostawił odchody, ani też jego jeźdźca, ale Lydii nie dziwiło to w najmniejszym stopniu. Trudno, żeby jeździec siedział tutaj od kilku dni. Kiedy szła dalej, ukryta pomiędzy drzewami, widziała coraz więcej ciemnych stosików. Część z nich była lekko przyprószona śniegiem. Większość musiała pochodzić co najmniej sprzed kilku dni, ale zauważyła ze dwie jeszcze wilgotne. Poza tym na śniegu widać było ślady kopyt. Kiedy przyjrzała im się uważniej, doszła do wniosku, że zostawiły je nieduże, niepodkute konie.

Z ciekawością oglądała te ślady. Nigdy wcześniej nie zetknęła się z Temudzeinami, ale Thorn przekazał jej wszystko, co o nich wiedział.

– Nie próbuj nawet ryzykować – uprzedził. – To bezwzględni wojownicy i wyborowi łucznicy. Rodzą się na końskim grzbiecie, a następnego dnia po urodzeniu dostają do ręki łuk.

– Czy są tak dobrzy jak aralueńscy łucznicy? – zapytała.

Thorn wydał wargi z namysłem.

– Nie tak dobrzy jak zwiadowcy, tacy jak Gilan – odpowiedział. – Ale w zasadzie dorównują pozostałym Aralueńczykom. Każdy oddział konnicy ma przydzielonego strzelca wyborowego, który góruje nad pozostałymi przeszkoleniem. Jest wybierany na podstawie ponadprzeciętnego talentu i dobrego oka, a jego zadaniem w czasie bitwy jest wypatrywać wrogich dowódców i strzelać do nich.

Lydia zmarszczyła nos.

– To urocze.

Thorn wyciągnął lewą rękę i mocno ścisnął jej nadgarstek.

– Postaraj się nie ryzykować – polecił. – To chyba najgroźniejsi wrogowie, z jakimi mogłabyś mieć do czynienia.

Mówił całkowicie poważnie, więc dziewczyna skinęła głową.

– Czy są dobrymi tropicielami?

Thorn ponownie zastanowił się nad odpowiedzią.

– Nie tak dobrymi jak ty – odparł. – Ale mają w tym wprawę. Dlatego...

– Postaraj się nie ryzykować – dokończyła za niego Lydia.

Starszy wojownik zaczerpnął oddech, żeby odpowiedzieć, ale Lydia poklepała go uspokajająco po przedramieniu.

– Dziękuję, Thornie. Wiem już, czego się spodziewać – zapewniła.

Przyglądał jej się przez kilka sekund, ale doszedł do wniosku, że mówiła serio, więc skinął głową z satysfakcją.

– Pamiętaj o tym – przykazał szorstko. Był bardzo przywiązany do tej dziewczyny, którą kilka lat temu uratowali z tonącego skifu. Drużyna Czapli polegała na jej umiejętnościach tropicielki i zwiadowczyni, a także bezwzględnej celności, z jaką wypuszczała strzałki ze swojego atlatlu.

Lydia, przykucnięta teraz w śniegu na otwartej przestrzeni w dolinie, zamarła, ponieważ usłyszała przytłumiony dźwięk.

Brzmiał metalicznie – ciche pobrzękiwanie dobiegało z północy, mimo że lekki wiatr wiał od południa. To oznaczało, że ktokolwiek był źródłem tego dźwięku, musiał się znajdować blisko, a ona pozostawała całkowicie odsłonięta. Pochylona podbiegła pod osłonę drzew, rzucając niespokojne spojrzenia w dolinę, by sprawdzić, skąd wzięło się to pobrzękiwanie.



Potrzebowała chwili, żeby je zidentyfikować – taki dźwięk mogły wydawać metalowe elementy końskiej uprzęży – ogłowia lub sprzączki na pasach podtrzymujących strzemiona. Zdążyła wpaść w cień drzew, zanim zbliżający się z północy jeździec znalazł się w polu widzenia. Lydia przysunęła się do drugiego rzędu sosen i położyła na brzuchu, wczółgując się po śniegu za grubo pień.

Potem czekała z sercem podchodzącym do gardła.

Przez kilka sekund nie widziała nic. Potem jej wzrok przykuł ruch na odległym o czterdzieści metrów zakręcie. Wyłonił się zza niego ciemny konik, trzymający się pod drzewami po stronie przeciwnej do tej, gdzie ukrywała się Lydia. Jeździec był ubrany w strój ze skóry i futra. Nad jego prawym ramieniem wystawał czubek łuku refleksyjnego, a na prawym biodrze miał kołczan pełny strzał.

Lydia nadal leżała bez ruchu, ledwie odważając się oddychać. Mężczyzna podjechał bliżej. Pod stożkową futrzaną czapką widać było jego oczy – rozglądał się bacznie wkoło, obserwując dolinę i drzewa po bokach. Kiedy jego wzrok przesunął się po dziewczynie, była praktycznie przeświadczona, że musiał ją zauważyć. Mimo to leżała bez ruchu, chociaż wszystkie włókna nerwowe żądały, by poderwała się do ucieczki.

Powiedziała sobie, że to najgorsze, co mogłaby zrobić. Więc dlaczego zawsze miała na to ochotę?

Podjeżdżała, że tak działa naturalny instynkt walki lub ucieczki, któremu zaprzeczały lata jej treningu i doświadczenia. Ten sam instynkt sprawiał, że głuszczyk lub inny nieduży ptak łowny zrywał się z ukrycia – zazwyczaj z fatalnym dla siebie skutkiem.

Szczęk uprzęży stał się teraz głośniejszy; Lydia słyszała także miękki stukot końskich kopyt na śniegu oraz skrzypienie skórzanego siodła, przesuwanego się lekko po grzbiecie wierzchowca pod ciężarem jeźdźcy. Zdążyła naciągnąć kaptur i osłonić twarz, więc mogła obserwować mężczyznę, nie podnosząc głowy nawet minimalnie.

Poczuła nagły przyływ paniki, gdy przyszła jej do głowy pewna myśl: co będzie, jeśli on zobaczy na śniegu jej ślady?

Kusiło ją, żeby się rozejrzeć i sprawdzić, jak dobrze są widoczne. Musiały pozostać małe wgłębienia tam, gdzie wyszła z lasu, żeby obejrzeć odchody, a także głębsze i większe odbicia stóp pozostawione, gdy uciekała, by ukryć się wśród sosen. Pomyślała, że sama nigdy nie przeoczyłaby tak wyraźnych oznak czyjejś obecności.

Żeby jednak spojrzeć na odciski stóp, musiałaby pochylić głowę, a wiedziała, że każde poruszenie mogłoby ją zdradzić. Leżała bez jednego drgnienia, z oczami ukrytymi głęboko w cieniu kaptura i wbitymi w samotnego jeźdźca, kierującego się w głąb doliny.

Ale on nie zwracał uwagi na ślady. Był świadomy, że wśród drzew po obu stronach doliny mogą się kryć nieprzyjaciele – gdyby sam planował zasadzkę, wybrałby właśnie to miejsce. Jechał przed siebie, obracając bezustannie głowę i przeczesując wzrokiem okolicę.

W końcu oddalił się, a Lydia mogła się poruszyć bez obawy, że zostanie dostrzeżona. Przesunęła się wokół nasady pnia, nie podnosząc się z ziemi, i ulokowała się w taki sposób, żeby drzewo zasłaniało ją przed jeźdźcem. Odgłos końskich kopyt stał się prawie niesłyszalny. Bardziej przenikliwy brzęk uprzęży jeszcze do niej dolatywał. Wreszcie jeździec minął zakręt doliny i zniknął z pola widzenia.

Lydia usiadła, żeby się zastanowić, oparła się plecami o pień drzewa i strzepnęła sypki śnieg z kurtki i kolan.

– Dokąd się wybierasz? – zadała retoryczne pytanie. Odpowiedź nie była trudna. Mężczyzna miał rzucić okiem na to, co dzieje się w forcie.

Przeniosła spojrzenie na drugą stronę, ku północy.

– A skąd przychodzisz? – zapytała najcichszym szeptem.

Ponownie odpowiedź wydawała się oczywista. W pobliżu musiał się znajdować obóz Temudżeinów, z którego dowódca mógłby wysłać zwiadowców, takich jak ten jeździec sprzed chwili, żeby obserwowali fort i jego obrońców.

To nasuwało kolejne pytanie: dlaczego mieliby obserwować fort?

Jedną z możliwych odpowiedzi było to, że przywódcy Temudżeinów planowali wypad zbrojny, a może nawet frontalny atak na przejście graniczne. Oczywiście mogli też wysłać jeźdźca po prostu dla zaspokojenia ciekawości, ale po tym, czego dowiedziała się o Temudżeinach, poważnie w to powątpiewała. Musieli mieć jakieś bardziej istotne powody.

Następne pytanie: czy planowali rajd czy też szturm na większą skalę?

To już zależało od tego, jak duże siły temudżeińskie kryły się w okolicy. Jeśli liczyły mniej niż setkę, należało się spodziewać, że chodzi o zwykły wypad, sprawdzający, czy uda się zaskoczyć garnizon, który nie zdoła się przygotować na ich odparcie. W forcie stacjonowało czterdziestu pięciu ludzi – doświadczonych wojowników i wytrawnych łuczników. Twierdza była też dobrze zaprojektowana i umiejscowiona, praktycznie nie do

zdobycia dla żołnierzy uzbrojonych tylko w łuki, miecze i lance. Atakujący nieprzyjaciel, jeśli nie mógł liczyć na element zaskoczenia, potrzebowałby machin i wież oblężniczych, żeby mieć jakieś szanse.

Albo miażdżącej przewagi liczebnej.

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Rajd czy szturm?

Lydia rozejrzała się raz jeszcze, żeby mieć pewność, że jeździec na dobre zniknął jej z oczu, a potem popatrzyła na północ.

– Cóż – powiedziała sama do siebie. – Stamtąd przyjechałeś, więc pewnie tam właśnie znajdę odpowiedź.



Platforma po stronie wschodniej została ukończona wcześniej niż jej odpowiedniczka po stronie zachodniej. Tak jak ocenił wcześniej Hal, skalna półka od wschodu była szersza i nie wymagała dodatkowego podparcia.

Złożył drugiego zadymiarza – pierwszy znajdował się nadal przy palisadzie, gdzie wybrani przez Damiana łucznicy wraz z pomocnikami trenowali strzelanie. Obracali i ładowali wielką broń, a także pracowali nad celnością i szacowaniem zasięgu. Przez całe popołudnie w regularnych odstępach w dolinie odbijały się echem głośne trzaski towarzyszące wypuszczaniu pocisków. Hal z ulgą zauważył, że łucznicy dużo czasu poświęcają także na ćwiczenie ładowania i celowania, a nie tylko na samo strzelanie. Przywiózł sporo bełtów, ponieważ wiedział, że żołnierze będą potrzebowali czasu, by uzyskać taką dokładność, jakiej od nich oczekiwał, jednak ten zapas nie był nieskończony. Oszczędzanie amunicji miało kluczowe znaczenie. Obecność dwóch zadymiarzy straci sens, jeśli nie będzie czym z nich strzelać. Ponadto, kiedy maszyny zostaną ustawione na platformach, konieczne będą dodatkowe ćwiczenia, ponieważ strzelcy muszą na nowo nauczyć się oceniać zasięg i kąt strzału. Zadymiarze miały strzelać z wysoka, ponad palisadą, co oznaczało, że bełty z nich wypuszczone polecą dalej.

Hal i Ingvar zanieśli gotową broń razem z trójnogiem w głąb doliny i ustawili poniżej ukończonej platformy. Hal wspiął się na tę platformę po skale. Ulf i Wulf, pracujący tutaj wraz z Edvinem i Stefanem, zrobili mu miejsce, kiedy wspinał się na szorstkie deski podestu. Obserwowali go z niepokojem, gdy krążył po platformie, sprawdzając jej trwałość – tutaj

tupnął z całej siły, tam podskoczył na pół metra i wylądował na obu stopach. Po kilku minutach skinął głową z satysfakcją, a oni dyskretnie odetchnęli z ulgą. Nigdy nie mieli pewności, jak solidna była ich robota, dopóki nie sprawdził jej Hal.

– Dobrze się spisaliście – rzucił krótko, a oni wymienili uśmiechy. Potem gwizdnął na Ingvara i zrzucił na dół koniec liny, żeby potężny młodzieniec mógł przywiązać do niej zadymiarza i trójnóg. – Ciągnijcie! – polecił bliźniakom i niesymetryczny ciężar wzniósł się w górę wzdłuż ściany. Przez ten czas Damien wspiął się po przygotowanych linach, żeby przyjrzeć się stanowisku strzeleckiemu. Zmarszczył brwi i wskazał kciukiem dolinę rozciągającą się po drugiej stronie fortu. – Nadal jesteś tutaj w zasięgu – ocenił. – A ci jeźdźcy doskonale strzelają.

Hal skinął głową.

– Zbudujemy od tej strony osłonę z desek – powiedział. – Do samej kuszy można przymocować drewnianą tarczę, żeby chronić strzelca.

– Doskonale – odparł Damien. Patrzył z zainteresowaniem, jak Ingvar, który właśnie do nich dołączył, zajął się osadzaniem trójnogu w przygotowanych otworach. Potem zamontował na nim potężną broń i poruszył całą konstrukcją, żeby sprawdzić, czy jest odpowiednio wyważona. Stefan zszedł na dół i zaczął porządkować bełty, wiążąc je po dziesięć, a potem mocując do liny, żeby Ulf i Wulf mogli wciągnąć amunicję na górę i przygotować do użycia. – Twoi chłopcy wiedzą, co mają robić – zauważył Damien.

Hal uśmiechnął się.

– To dobra załoga – przyznał. Czterej młodzi ludzie usłyszeli go i także się uśmiechnęli. Lubili być doceniani przez swojego skirla.

– Damien! – rozległ się krzyk z dołu. Jeden z ludzi Damiena spoglądał na nich, zadzierając głowę. Kiedy zobaczył, że udało mu się zwrócić ich uwagę, machnął ręką, żeby zeszli do niego. – Powinieneś coś zobaczyć. I zabierz ze sobą Hala.



Przeszli pospiesznie do fortu, gdzie wspięli się na palisadę po stronie północno-wschodniej. Przerwano ćwiczenia w strzelaniu, a żołnierze wpatrywali się w głąb doliny, osłaniając oczy dłońmi.

– Tam. – Łucznik, który ich przyprowadził, wskazał ręką kierunek.

W odległości może stu dwudziestu metrów, spod drzew niedaleko zakrętu doliny obserwował ich pojedynczy jeździec na ciemnym koniu.

– Jak długo tam jest? – zapytał Damien.

Jeden z łuczników wzruszył ramionami.

– Możliwe, że już od jakiegoś czasu. Dopiero co go zobaczyliśmy, a wtedy natychmiast przerwaliśmy strzelanie z wielkiego łuku.

Hal skinął głową z aprobatą.

– Nie ma sensu mu pokazywać, do czego jest zdolna ta broń.

Inny łucznik, jeden z młodszych w oddziale, zbliżył się do nich niecierpliwie.

– A może wypróbujemy to na nim? – zapytał, wskazując zadymiarza na trójnogu. – Tak mi się zdaje, że całkiem nieźle opanowałem już ocenę odległości.

Hal spojrzał na niego chłodno.

– Tak jak mówiłem, nie ma sensu demonstrować mu, do czego jest zdolny zadymiarz – powtórzył. – A tyle właśnie osiągniesz, jeśli spuścisz, co jest bardzo prawdopodobne.

Młodzieniec otworzył usta, żeby zaprotestować, ale zastanowił się nad słowami skirla „Czapli” i uświadomił sobie ich słuszność. Cofnął się, wyraźnie pokorniejszy.

– Jak myślisz, skąd przyjechał? – zapytał Damien.

Hal wskazał w kierunku północnym.

– Gdzieś z głębi doliny. Podejrzewam, że rozbili tam obóz.

Na twarzy Damiena odmalował się niepokój.

– Nie wydaje ci się, że mógł spotkać tę twoją zwiadowczynię?

Hal miał mu właśnie odpowiedzieć, ale uprzedził go Ingvar, który przyszedł tutaj wraz z nimi.

– Gdyby tak było, już by nie żył – oznajmił spokojnie.



## Rozdział 8



**U**rwiste ściany przesmyku stopniowo stawały się coraz niższe i mniej strome, aż w końcu przeszły w łagodne, pokryte drzewami wzgórza rozciągające się po obu stronach płaskiej równiny, która miała w tym miejscu szerokość trzystu, może czterystu metrów. Nie rosły na niej żadne drzewa, tylko szorstka trawa, wyłaniająca się spod topniejącego śniegu kępkami i płatami ciemnej, szarawej zieleni.

Lydia wędrowała na północ długimi krokami, bacznie obserwując okolicę. Dostrzegła liczne oznaki potwierdzające, że przechodziły tędy konie – pojedynczo lub w parach, a czasem w większych grupach. Stawało się jasne, że w pobliżu muszą się znajdować znaczne siły Temudżeinów, więc dziewczyna zdecydowała się podejść bliżej krawędzi lasu. Uznała, że nie może dać się zaskoczyć na otwartej przestrzeni.

Ledwie ta myśl przyszła jej do głowy, usłyszała stłumiony tętent kopyt na pokrytej śniegiem ziemi.

Wiedziała, że tym razem nie jest to pojedynczy jeździec, ale cała ich grupa. Tuż przed sobą zobaczyła płytkie zagłębienie, więc upadła w nie jak długa na brzuch, przykrywając się peleryną. Tak jak poprzednio miała naciągnięty głęboko kaptur, żeby ukryć jasny owal swojej twarzy.

Tętent stał się głośniejszy, a chwilę później zza wzniesienia wyłonił się oddział konnych, jadący w dwóch kolumnach. Wstrzymała oddech, gdy galopowali na skos przez odsłoniętą przestrzeń. Na szczęście ich trasa prowadziła w tym momencie spory kawałek od zbawczego zagłębienia. Na

stukot kopyt o ziemię nakładało się brzęczenie uprzęży i parsknięcia koni. Mężczyźni zachowywali milczenie.

Nieoczekiwanie, na znak dany ręką przez mężczyznę jadącego na czele lewej kolumny, jeźdźcy zatoczyli szeroki łuk w prawą stronę, żeby zawrócić tam, skąd przyjechali. Odgłosy kopyt i uprzęży stopniowo cichły, gdy znikali za niewysokim wzgórzem.

Lydia ostrożnie wstała i podążyła za nimi, trzymając się jeszcze bliżej dających osłonę drzew.

– To pewnie tylko musztra – mruknęła. Często mówiła do siebie, kiedy była sama. Nabrała tego zwyczaju jeszcze jako dziecko. Dźwięk własnego głosu potrafił być dla niej bardzo uspokajający.

Kiedy zbliżyła się do łagodnego wzniesienia, opadła na kolana i na czworakach ruszyła dalej po śniegu. Istniało ryzyko, że jeźdźcy zatrzymali się za wzgórzem, a ona nie chciała wpaść na nich nieoczekiwanie. Powoli uniosła głowę i spojrzała na drugą stronę. Bezdrzewny pas terenu przed nią opadał łagodnie, a potem zakręcał ostro w prawo, kończąc się lasem. Nie było widać śladu jeźdźców, za to uwagę Lydii zwróciło coś innego.

Odór. Mieszanina zapachów – koni, potu, nawozu i dymu z ogniska. Ten ostatni był tak nieprzyjemny i gryzący, że dziewczyna zmarszczyła nos. Pamiętała, jak Thorn jej opowiadał, że jeźdźcy ze wschodu używają jako opału wysuszonego nawozu końskiego i bydłęcego. Jego woń była ostrzejsza i bardziej śmierdząca niż w przypadku dymu z palonego drewna, więc niosła się daleko w górskim powietrzu. Była także dość niespodziewana na tym obszarze, w odróżnieniu od dymu drzewnego, który mógłby pochodzić z niewielkiego pożaru od pioruna lub niedużego ogniska. Jednakże taki dym z co najmniej tuzina ognisk stanowił jasny sygnał, że w okolicy znajdowali się obcy. Lydia uniosła brew.

– Powinni coś z tym zrobić, jeśli nie chcą, żebyśmy wiedzieli o ich obecności – mruknęła pod nosem.

Przykucnęła i rozejrzała się na wszystkie strony, nasłuchując przy tym uważnie. Nie było słychać żadnych odgłosów przemieszczających się koni lub ludzi, żadnego szmeru – choć żołnierze tak dobrze wyszkoleni jak Temudżeini potrafili unikać takich błędów. Na ile była w stanie stwierdzić, miała wolną drogę. Podniosła się i – nadal pochylona – przebiegła do drzew po przeciwnej stronie. Wiedziała, że stamtąd będzie miała lepszy widok.

Jej zmysły wyostrzyły się niemal do przesady, nasłuchując choćby najśłabszych oznak tego, że ktoś jest w pobliżu lub że została zauważona.

Nie słychać było jednak żadnych okrzyków, żadnego tętentu kopyt rzucających się w pościg. Dziewczyna z ulgą wślizgnęła się w cień drzew i skierowała ku północy, w stronę zakrętu.

Trzymała się trochę głębiej, tak żeby od otwartej przestrzeni dzielił ją wąski pas drzew. Słońce prześwitujące między gałęziami sosen skutecznie maskowało jej ruchy, na wypadek gdyby pojawił się jakiś nieoczekiwany obserwator.

Zapach dymu stał się silniejszy, a Lydia słyszała teraz z oddali także rzenie i odgłosy grzebania kopytami, gdy konie szukały jedzenia pod cienką warstwą śniegu. Domyśliła się, że musi się zbliżać do końskich zagród.

W końcu znalazła się za zakrętem i nagle zobaczyła przed sobą cały obóz nieprzyjaciela.

Tak jak się spodziewała, najbliżej znajdowały się zagrody i ogrodzone liną padoki dla wierzchowców i luzaków.

Aż westchnęła na widok liczby koni na tych padokach. Kiedy się zbliżyła, dostrzegła, że padoki podzielono na cztery mniejsze części. Uznała, że to ma sens – w ten sposób łatwiej zadbać o całość ogrodzenia. Jednakże w środku musiało się znajdować co najmniej pięćset zwierząt, grzebiących w poszukiwaniu trawy, wpadających na siebie i od czasu do czasu pokazujących zęby lub nawet kopiących towarzysza, który naruszył coś, co uważały za swoją osobistą przestrzeń.

Kiedy przyjrzała się uważniej, doszła do wniosku, że musi ich być więcej niż pięćset, jak początkowo szacowała. Znajdowało się tutaj sześćset lub siedemset koni.

Uśmiechnęła się ponuro, gdy przypomniała sobie stary dowcip Thorna, kiedy rozmawiali o tym, jak ocenić liczebność konnicy.

– To łatwe – oznajmił. – Liczysz nogi i dzielisz przez cztery.

Oczywiście stale poruszająca się grupa koni praktycznie uniemożliwiała dokładne policzenie. Ale nawet sześćset koni oznaczałoby sześciuset jeźdźców, co stanowiło naprawdę duży oddział.

Zaraz jednak poprawiła swoje wyliczenia. Przypomniała sobie, że każdy jeździec miał ze sobą jednego lub dwa zapasowe wierzchowce. To by oznaczało, że oddział składa się z około dwustu ludzi, co jednak nadal oznaczało liczącą się siłę.

Zbliżyła się ostrożnie, żeby przyjrzeć się obozowi. Dym z dziesiątków ognisk – ten sam gryzący dym, który czuła od jakiegoś czasu – unosił się spomiędzy niechlujnych brązowych namiotów. Były okrągłe jak wielkie ule



i pokryte jakimś grubym materiałem – uznała, że mógł to być filc. Był rozpięty na szkielecie, by zachować kształt, i przytrzymywany krzyżującymi się linami.

To właśnie te wiązania nadawały namiotom niechlujny wygląd. Gruby, bezkształtny filc wydymał się pomiędzy sznurami. Lydia wydeła pogardliwie wargi na widok takiej niedbałości. Życie na „Czapli” nauczyło ją znaczenia porządku. Żagle musiały być równo zwinięte i związane. Zwoje lin musiały wisieć na drewnianych kołkach. Włócznie i wiosła musiały być przechowywane na stojakach biegnących wzdłuż burt, nad pokładem. Wszystko miało swoje miejsce, a pokład pozostawał na tyle uporządkowany i pusty, na ile to było możliwe.

Zaraz jednak zrewidowała swoją opinię, tak jak wcześniej w przypadku koni. Ciepły filc pokrywający namioty stanowił konieczność, by chronić wnętrze przed lodowatym wiatrem na stepach, z których pochodzili Temudżeini. Brezent lub płótno by nie wystarczyło. Ciężki materiał wymuszał odpowiednie wiązanie dające wrażenie niestaranności. Ten sam lodowaty wiatr mógłby porwać wszystko, co nie było dostatecznie mocno przywiązane.

Lydia uznała, że namioty Temudżeinów wprawdzie mogą wyglądać niezgrabnie, ale dobrze spełniają swoją funkcję. Thorn mówił jej także, że ci ludzie są nomadami, więc namioty nie stanowiły dla nich tylko tymczasowego schronienia, jak dla Skandian. Były ich domami.

Żołnierze mogli wytrzymać niewygody lub chłód w przewiewnych brezentowych namiotach w trakcie kampanii wojennej, ale zupełnie inaczej sprawa się przedstawiała, gdy mowa była o stałych siedzibach.

Dziewczyna uważnie obserwowała kręcących się ludzi. Byli nieuzbrojeni i wyraźnie zrelaksowani. Zauważyła jednak wartowników, rozstawionych co pięćdziesiąt metrów wokół obozu i wyposażonych w krótkie łuki refleksyjne oraz kołczany pełne strzał. Rozglądali się po okolicy, zachowując czujność. Lydia pomyślała, że temudżeińska armia jest naprawdę zdyscyplinowana – chociaż tego należało się spodziewać.

Usłyszała dźwięk kopyt po przeciwnej stronie odsłoniętego pasa, więc zamarła bez ruchu. Poczekala, aż jeździec minie ją powoli i skręci do obozu. Uznała, że to ten sam, którego widziała wcześniej, kierującego się na przełęcz. Miał podobną czerwoną łatę na lewym rękawie.

Jeden z żołnierzy stojących na warcie zawołał coś do niego, a jeździec odpowiedział swobodnym machnięciem ręki. Oczywiście rozpoznawali go,

więc pozwolono mu wjechać do obozu. Minął zagrody dla koni i skierował się do środkowego namiotu, trochę większego od pozostałych. Tam zeskoczył ze swojego wierzchowca i wszedł do środka.

– Składasz raport – mruknęła pod nosem Lydia. – Ale co właściwie raportujesz?

Uświadomiła sobie, że poświęciła już dostatecznie dużo czasu na samo przyglądanie się obozowi. Niedługo będzie musiała sama złożyć raport Halowi i lepiej, żeby miała mu coś konkretnego do powiedzenia. Doszła do wniosku, że najlepiej zrobi, szacując liczebność oddziału na podstawie liczby namiotów. Były łatwiejsze do policzenia niż konie albo ludzie, którzy bezustannie poruszali się, chodząc tu i tam.

Zaczęła liczyć dziwne przysadziste ule zrobione z filcu. Nie wzniesiono ich w sposób uporządkowany ani w równych rzędach, co ułatwiłoby jej zadanie. Nie miała też dobrego widoku na przeciwną stronę obozu z powodu odległości i unoszącego się dymu. Doliczyła się pięćdziesięciu ośmiu namiotów i uznała, że może być jeszcze z tuzin takich, których nie widzi wyraźnie.

– Powiedzmy, że siedemdziesiąt – odezwała się do siebie. – Najwyższy czas sprawdzić, czy nie ma mnie gdzie indziej.



– Siedemdziesiąt namiotów? – zapytał Hal.

Lydia wzruszyła ramionami, ponieważ nie chciała podawać dokładnej liczby.

– Może siedemdziesiąt pięć. Może mniej – odpowiedziała. – I wydaje mi się, że na padokach było z pięćset koni. – Leks drgnął niespokojnie, słysząc tę liczbę, więc dodała pospiesznie: – To nie oznacza pięćuset jeźdźców.

Thorn skinął głową, zgadzając się z nią.

– Temudżeini są stale w ruchu. Każdy jeździec ma zapasowe konie. Zwykle jednego, a jeśli może sobie pozwolić, to nawet dwa.

– Jak myślisz, ilu żołnierzy może mieszkać w takim namiocie? – zapytał Hal.

Lydia zastanowiła się nad odpowiedzią. Znajdowała się w sporej odległości od namiotów, ale widziała wchodzących do środka ludzi. Czasem dwóch, choć zdarzało się, że trzech.

– Najwyżej trzech – odpowiedziała. – Pośrodku obozu znajdował się większy namiot dowódcy. Widziałam, jak jeździec wchodził do środka i nie musiał się przy tym schylać. Pozostałe były niższe.

– Czyli powiedzmy, że trzech żołnierzy na namiot i siedemdziesiąt pięć namiotów? – powiedział Leks pytająco.

Lydia przytaknęła – to się wydawało dobrym oszacowaniem.

– Czyli dwustu... – Leks zawahał się. Obliczenia w pamięci nie były jego mocną stroną.

– Dwustu dwudziestu pięciu – odezwał się szybko Thorn. Wszyscy popatrzyli na niego z nieukrywanym zaskoczeniem. Zauważył ich spojrzenia i zareagował oburzeniem. – Co się tak gapicie? Myślicie, że nie umiem liczyć? Wiecie, straciłem rękę, a nie mózg.

Hal machnął przepaszająco ręką.

– Wybacz, Thornie. Nie była to umiejętność, jakiej się po tobie spodziewaliśmy.

– Jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że tłuczesz wrogów, a nie, że ich liczysz – wtrącił Stig z szerokim uśmiechem.

Thorn pociągnął nosem, odrobinę udobruchany ich przeprosinami. W gruncie rzeczy zawsze się cieszył, gdy udało mu się czymś zaskoczyć swoich towarzyszy.

– W takim razie podsumujmy – powiedział Leks, odczuwający ulgę, że jego własne wahanie przy obliczaniu sił wroga pozostało w zasadzie niezauważone. – Jeśli założyć, że Lydia mogła nie widzieć wszystkich namiotów... – Spojrzał na nią, a ona skinęła głową, potwierdzając jego słowa. – To by znaczyło, że jest tam dwustu czterdziestu albo dwustu pięćdziesięciu ludzi.

– A to by pasowało do liczby koni – dodał Hal.

Thorn odchrząknął, więc znowu na niego spojrzeli.

– Temudżeini tworzą sześćdziesięcioosobowe oddziały.

Leks od razu wtrącił:

– Nazywają je ałumami.

Thorn wzruszył ramionami.

– Mniejsza z tym. Czyli można przyjąć, że mają około dwustu czterdziestu jeźdźców.

Pozostali zastanawiali się przez chwilę nad tą liczbą.

– To więcej niż potrzeba do przeprowadzenia wypadu nękającego – ocenił Hal.

– Lecz nie dosyć, jeśli by planowali inwazję – dodał Stig.

– Możliwe, ale to będzie naprawdę poważna operacja – uznał Leks. – Sporo wody upłynęło, odkąd Temudżeini zaatakowali nas tak licznymi siłami. Może uważają, że przyszedł czas, żeby na serio sprawdzić siłę naszej obrony. Jeśli nas pokonają, otworzą drogę dla kolejnych oddziałów, które będą mogły dołączyć do nich, żeby zaatakować Skandię na większą skalę.

– Ale jeśli im się to nie uda – powiedział ponuro Stig – stracą mnóstwo ludzi.

Leks potrząsnął głową.

– To nigdy nie stanowiło przeszkody dla temudżeińskich generałów – oznajmił. – Mają mnóstwo wojowników do dyspozycji.

Hal zabębnił palcami po stole, żeby zwrócić ich uwagę.

– Przejdźmy do rzeczy – zdecydował. – Myślę, że lada dzień możemy się spodziewać ataku. Mogą spróbować nas dopaść, zanim odpowiednio ustawimy zadymiarze. Ten szpieg pewnie dokładnie się przyjrzał temu, co robiliśmy. – Odwrócił się do Stiga. – Zbierz załogę, żeby jeszcze dzisiaj wieczorem dokończyć platformy i wciągnąć zadymiarze. Jutro rano możemy ich już potrzebować.



## Rozdział 9



**N**iewielki garnizon był na nogach przed świtem następnego dnia, ale nie zobaczył nawet śladu Temudżeinów.

Pojawili się na drugi dzień w pełnej liczebności. Skandianie i ich aralueńscy sojusznicy ponownie wstali przed wschodem słońca. Kiedy pierwsze promienie zaczęły rozjaśniać niebo, usłyszeli zbliżającego się nieprzyjaciela.

Był to hurgot przypominający przytłumiony grzmot burzy – odgłos setek niepodkutych kopyt na stwardniałej i ubitej ziemi.

Jechali podzieleni na ałумы, w dwóch kolumnach. W sumie były to trzy oddziały liczące po sześćdziesięciu jeźdźców.

– Jest ich tu prawie dwustu – powiedział Damien do Thorn. Ponieważ Hal i Stig obsługiwali dwie ogromne kusze, jednoręki wilk morski dowodził Czaplami na palisadzie. – Nie aż tylu, ilu się spodziewaliśmy.

– Zawsze dobrze jest przeszacować siły wroga – rzekł Thorn. – W ten sposób nigdy nie spotka nas rozczarowanie. Ale wydaje mi się, że to jeszcze nie wszyscy.

Kiedy ostatni jeźdźcy z trzech ałumów minęli zakręt, obrońcy zobaczyli mniejszą grupę piętnastu czy dwudziestu Temudżeinów jadących na trzech wozach. Przewożony ładunek wyglądał jak długie drewniane belki.

– Drabiny – poinformował Damien. Wszyscy dowódcy garnizonów byli dokładnie zapoznawani z taktyką wykorzystywaną przez Temudżeinów podczas ataku.

Thorn uniósł brew.

– Nie używają żadnego tarana? – zainteresował się.

Damien pokręcił głową.

– Mają lekkie konie kawaleryjskie, które nie sprawdzają się jako zwierzęta pociągowe. Nie poradziłyby sobie z ciężkimi machinami obłęźniczymi, a jeźdźcy uważają, że taka fizyczna praca jest poniżej ich godności. Spróbują wspiąć się na mury, ale najpierw będą nas chcieli trochę zmiękczyć.

Trzy ałumy zmieniły wcześniejszą formację – teraz każdy z nich tworzył dwa rzędy szerokie na trzydziestu konnych. W wąskiej dolinie Temudżeini ustawili się w szyku schodkowym w taki sposób, że każdy oddział częściowo zachodził za poprzedni, żeby zapełnić całą dostępną przestrzeń.

Czwarta grupa podprowadziła wozy bliżej i zatrzymała je tuż za czekającymi ałumami. Damien odwrócił się do Lydii, która stała w odległości kilku metrów i obserwowała te przygotowania z ciekawością.

– Wypatruj ich strzelców wyborowych – polecił. – Mają czerwone dystynkcje na ramieniu i zazwyczaj trzymają się za ostatnim szeregiem.

Lydia skinęła głową i przymrużyła oczy, wypatrując tych najlepszych łuczników, których zadaniem było zestrzelenie wrogiego dowódcy. Na razie nie zauważyła żadnego z nich. Usłyszała wykrzyczany rozkaz i zobaczyła poruszenie w oddziale na lewym skrzydle. Sześćdziesiąt strzał zostało wyciągniętych z kołczanów i nałożonych na cięciwy. Na kolejny wykrzyczany rozkaz łuki uniosły się. Napinaniu cięciwy towarzyszyły skrzypiące dźwięki. Nie było oddzielnej komendy zezwalającej na oddanie strzału – każdy łucznik robił to we własnym tempie, gdy znalazł odpowiedni cel. Tak się jednak składało, że zazwyczaj ten sam moment wybierali jego towarzysze. Wojownicy na palisadzie usłyszeli szeleszcząco-brzęczący dźwięk, gdy strzały wyfrunęły z licznych łuków.

– Kryć się! – krzyknął Leks, a obrońcy przykucnęli za palisadą z sosnowych bali.

Kilka sekund później rozległ się klekot strzał uderzających o drewno oraz świst tych, którym udało się przelecieć powyżej i wbić pod kątem w ziemię na dziedzińcu.

– Ktoś dostał?! – zawołał Leks. Nikt mu nie odpowiedział.

Thorn uśmiechnął się do siebie – udział w bitwie zawsze sprawiał mu przyjemność.

– Niech się odezwą ci, którzy zostali zabici – rozkazał, na co odpowiedziały mu śmiechy wojowników przykucniętych na przejściu.

W dolinie drugi ałum napiął łuki, wypuszczając kolejną falę strzał. Znowu rozległo się klekotanie o sosnowe bale i świst nad głowami Skandian. Potem, niemal natychmiast, wystrzeliły strzały z trzeciego ałumu.

– Nikogo w ten sposób nie trafiają – zauważył Thorn.

Leks ponuro skinął głową.

– Możliwe, ale nie dają nam się ruszyć z miejsca. Popatrz. – Spojrzał przez szczelinę między dwoma zaostrzonymi balami. Thorn zrobił to samo i zobaczył, że trzy wozy podjechały bliżej, przeciskając się pomiędzy ałumem po lewej stronie a skalną ścianą przesmyku. Dłoń Leksa chwyciła go za ramię i ściągnęła w dół dokładnie w momencie, gdy pierwszy oddział Temudżeinów wypuścił kolejną salwę. Strzała śmignęła przez wąską szczelinę, gdzie jeszcze kilka sekund wcześniej znajdowała się głowa Thorna.

– Nie podnoś się na zbyt długo – ostrzegł go dowódca.

Thorn uśmiechnął się z wdzięcznością.

– Są całkiem niezli, prawda? – powiedział i zanotował w myślach, że należy się stosować do wskazówki Leksa i nie obserwować nieprzyjaciela przez dłuższy czas.

– Zwykle trafiają w to, w co celują – odpowiedział siwowłosy dowódca.

Kawałek dalej Damien wykrzykiwał rozkazy. Słyszał turkot wozów i wiedział, że niedługo znajdą się na pozycjach – o ile on czegoś nie zrobi.

– Podnieść tarcze! – polecił, a jego łucznicy wykonali rozkaz. Na przejściu za nimi leżał tuzin drewnianych tarcz dwumetrowej wysokości. Aralueńczycy unieśli je i oparli o palisadę na pewnej długości w taki sposób, że wystawały ponad drewnianymi balami. Pomiędzy tarczami zostawili wąskie szczeliny. – Trzeci szwadron! – rozkazał Damien. – Przyjrzyjcie się im.

Pierwszy oddział właśnie szykował się do kolejnej salwy, kiedy tuzin łuczników wyrzwał szybko pomiędzy tarczami, żeby poznać i zapamiętać pozycję trzeciego ałumu. Usłyszeli serię szelestów i brząków, gdy pierwszy ałum wypuścił strzały. Zanim nadleciały, żeby wbić się w palisadę i drewniane tarcze, łucznicy byli już bezpiecznie schowani za umocnieniami.

Znowu zabrzmiały syk i klekot. Zbłąkana strzała wdarła się w szczelinę pomiędzy tarczami i sprawiła, że jeden z łuczników z okrzykiem bólu poleciał na deski podestu.

– Zmiana! – krzyknął Damien i jeden z żołnierzy czekających w rezerwie wybiegł, by zająć miejsce rannego. Przygotował łuk i przykucnął pod osłoną palisady.

Kolejna salwa świsnęła i zaklekotała wokół obrońców. Wtedy Damien wydał własne rozkazy.

– Prawa strona. W trzeci szwadron. Strzelać!

„Strzelać!” było komendą oznaczającą, że łucznicy mają wypuszczać strzały we własnym tempie, gdy wybiorą już cel. „Prawa strona” informowała, z której strony tarcz mieli się wyłonić. Damien zamierzał zmieniać rozkazy przy każdym strzale, żeby utrudnić Temudżeinom obronę. Kiedy jego ludzie wyprostowali się, nałożyli na cięciwy prawie metrowe strzały i naciągnęli łuki tak, że lotki dotykały ich policzków, Damien dołączył do nich. Stał przy jednej ze szczelin, naciągnął swój łuk, wycelował i wystrzelił niemal natychmiast.

Seria szelestów i brzęknięć cięciwy towarzyszyła wypuszczeniu strzał przez pozostałych łuczników w odstępach może dwusekundowych.

Damien nadal stał, żeby zobaczyć efekty tej salwy, ale cofnął się o jakiś metr od szczeliny pomiędzy tarczami. Temudżeini właśnie podnosili łuki, kiedy dosięgły ich strzały obrońców, spadające z sykiem z nieba jak tuzin jadawitych węży.

Osiem strzał trafiło w cel i ośmiu jeźdźców w pierwszej linii zostało wysadzonych z siodła pod wpływem impetu uderzenia. Część z nich leżała na ziemi nieruchomo, pozostali próbowali się odczołgać pomiędzy nogami koni w drugim szeregu. Konie nieoczekiwanie pozbawione jeźdźców wpadły w panikę i zaczęły wierzgać i stawać dęba. Wpadały na sąsiednie zwierzęta, które poirytowane kłapały na nie żółtymi zębiskami lub obracały się, by kopnąć je tylnymi nogami.

W efekcie salwa Temudżeinów stała się chaotyczna, a większość strzał poleciała na boki. Co gorsza, równy szyk został złamany przez skaczące, wierzgające konie, starające się unikać siebie nawzajem. Jeźdźcy uwiesili się z wściekłością na wodzach, próbując opanować zwierzęta. Przez ten czas Damien polecił oddać drugą salwę w rozproszonych jeźdźców.

Tym razem zostało trafionych jeszcze sześciu przeciwników, a chaos w szeregach oddziału wzmógł się dodatkowo. Dyscyplina zniknęła bez śladu. Dowódca, świadomy tego, że nie uda mu się przywrócić porządku, dopóki znajdują się pod tak celnym ostrzałem, wykrzyczał rozkaz i cały ałum zawrócił w prawo, tworząc dwie kolumny – ale już bez wcześniejszej



precyzji. Odjechali galopem z pola bitwy, by na nowo sformować szyk, pozostawiając dziesięciu ludzi na ziemi. Pozostali zrzuceni z koni żołnierze pokuśtykali za swoimi kompanami.

Właśnie w tym momencie pierwsza drabina uderzyła o ścianę fortu, a wrzeszczący Temudżeini zaczęli się po niej wspinać na górę. Wykorzystali przeciągający się pojedynek pomiędzy swoimi łucznikami a Aralueńczykami, żeby przesunąć się na pozycje u stóp palisady i pokonać rów, niosąc drabiny. Teraz, gdy zaczęli się przy nich tłoczyć, pierwszy ałum przygalopował bliżej rowu. Żołnierze zeskoczyli z koni, wyciągnęli zakrzywione miecze i podbiegli, by dołączyć do towarzyszy na drabinach.

Temudżeini ćwiczyli ten manewr raz za razem przez ostatni tydzień. Drugi i trzeci ałum prowadziły stały ostrzał szczytu palisady, zmuszając obrońców do kucania za drewnianymi balami i dając swoim towarzyszom czas na wspięcie się po drabinach. Byli doświadczonymi łucznikami, więc większość strzał przelatowała górą. Nieliczne zbaczały z kursu i trafiały atakujących ludzi, którzy spadali z wrzaskiem na ziemię.

Dla temudżeińskiego dowódcy taka sytuacja była niefortunna, ale nie do uniknięcia. Ostatecznie wojna miała swoje prawa.

Kiedy pierwsi wojownicy zaczęli przeskakiwać przez palisadę, deszcz strzał zamarł i obrońcy mogli stanąć do walki. Jednak ta zwłoka okazała się zbyt długa – pół tuzina Temudżeinów zdążyło wedrzeć się na szczyt palisady, siekąc i dżgając dokoła. Wchodzili po dwóch ustawionych blisko siebie drabinach i natychmiast po zejściu z nich tworzyli klin, żeby zaatakować obrońców.

– Bierzmy ich!

Tradycyjny okrzyk bojowy drużyny Czaplí rozległ się w ogólnym zamieszaniu, gdy Thorn poprowadził własny klin, lśniący stalą, przeciwko napastnikom.

Chociaż brakowało im trzech najlepszych wojowników – Hal, Stig i Ingvar znajdowali się na platformach strzelniczych – stanowili niepowstrzymaną siłę. Potężna maczuga Thorna zmiażdżyła wojownika na czubku wrogiego klina. Pod mężczyzną ugięły się nogi, a kiedy upadł, został stratowany przez Thorna, a potem przez idących za nim Ulfa i Wulfa. Ogromna maczuga zatoczyła w powietrzu poziomy półokrąg, roztrzaskując drobnych Temudżeinów. Jesper, Stefan i Edvin szli w ślad za bliźniakami i jednorękim wilkiem morskim, zrzucając wrogów z umocnień. Temudżeini

byli niewysocy i lekko zbudowani, Skandianie masywni i muskularni. Byli w stanie dosłownie spychać nieprzyjaciela na drugą stronę palisady.

Obok Leks ze swoimi ludźmi powstrzymywał atakujących, odrzucając drabiny od umocnień długimi pikami, tak że wspinający się po nich wojownicy spadali z krzykiem na ziemię.

Damien i jego łucznicy na wschodnim krańcu, z dala od drabin, wymieniali śmiertelne strzały z pozostałymi dwoma ałumami.

Hal nie zdążył jeszcze wziąć udziału w bitwie. Z zachodniej platformy widział, jakie zamieszanie taktyka Damiena spowodowała w jednym z ałumów. Teraz, gdy atakujący byli spychani z palisady, spodziewał się, że morderczy deszcz strzał spadających na ludzi Damiena za chwilę zacznie się na nowo.

– Zdenerwujmy ich trochę – powiedział do Ingvara. Zadymiarz był już załadowany, więc Hal obrócił go w stronę drugiego ałumu. Przykucnął przy celowniku, chroniony tarczą z litego drewna sosnowego, która została przymocowana z przodu maszyny. Ingvar, z tyłu za nim, krył się za osłoną otaczającą platformę.

Hal gwizdnął przeraźliwie, żeby zwrócić uwagę Stiga. Jego pierwszy oficer siedział przy zadymiarzu po stronie wschodniej. Był tam sam – miał dostatecznie dużo krzepy, żeby w pojedynkę obracać wielką kuszę, a Hal nie chciał osłabiać sił pozostawionych na palisadzie bardziej, niż to było konieczne. Kiedy Stig spojrział na niego, skirl wskazał dwa ałumy, wypuszczające kolejne serie strzał ponad palisadą. Dał znać, że zajmie się grupą po prawej. Stig machnął ręką potwierdzająco i także pochylił się nad celownikiem.

Zadymiarz znajdował się pod małym kątem w stosunku do jeźdźców. Hal uznał, że to nawet lepiej. Wystrzelony bełt roztrącił ich, trafiając dwóch lub nawet trzech wrogów.

**TRZASK!**

– Przeładuj! – zawołał do Ingvara, nie czekając nawet, żeby śledzić tor lotu bełtu. Zauważył nagle zamieszanie w pierwszym szeregu ałumu, gdy jeden z jeźdźców został wysadzony z siodła przez ogromny pocisk. Niemal zaraz potem jeździec za nim, po lewej stronie, szarpnął się w strzemionach, gdy bełt trafił w niego, przebijając lekką skórzaną zbroję.

Dwa konie, nerwowe i płochliwe, a teraz znienacka pozbawione jeźdźców, stanęły dziko dęba i zaczęły młócić przednimi kopytami. To sprawiło, że sąsiednie wierzchowce poszły w ich ślady, rzucając się

i wierzgając. Zanim panika została opanowana, Hal wypuścił drugi bełt, celując w dalsze miejsce w pierwszym rzędzie.

Tymczasem pierwszy strzał Stiga uderzył w ałum po prawej stronie, także budząc panikę i wywołując zamieszanie.

– Daj mi ognisty pocisk – polecił Hal, gdy Ingvar odciągnął dwa bliźniacze lewary. Potężny wojownik miał właśnie załadować zwyczajny bełt, więc pochylił się, żeby wyjąć jeden z glinianych pocisków ze stojącego za nim kosza. Z tyłu platformy miał już przygotowane żarzące się węgle w zrobionej z brązu misie. Zanurzył w nich nawoskowany knot, podmuchał na węgle, żeby zajął się płomieniem, a potem spojrzał na Hala, który skinął głową, dając znać, że jest gotowy.

Ingvar przyłożył knot do lontu i zaczął, aż sznur zacznie się palić i dymić.

– Pali się – powiedział. Hal wycelował zadymiarza, podniósł go trochę do góry, żeby wziąć poprawkę na dodatkowy ciężar gliny, i wystrzelił.

TRZASK!

W słabym świetle poranka nie dostrzegali dymu ciągnącego się za pociskiem, ale widzieli sam pocisk, wznoszący się, a potem opadający po paraboli. Wylądował w samym środku łamiącego się szyku konnicy. Nastąpiła chwila ciszy, a potem...

SZUCH!

W samym środku ałumu pojawiły się czerwone języki płomieni, którym towarzyszyła kolumna czarnego dymu.

To było zbyt wiele dla przerażonych jeźdźców i koni. Już wcześniej znajdowali się niemal w stanie paniki, a teraz szyk załamał się do reszty, gdy jeźdźcy pogalopowali na wszystkie strony, starając się jak najszybciej przedrzeć przez własne szeregi i uciec w głąb doliny. Początkowo udało się to tylko pojedynczym konnym, potem inni ruszyli ławą, aż wreszcie cały ałum rzucił się do odwrotu. Zderzyli się ze swoimi towarzyszami ze zdziętkowanego trzeciego oddziału, wśród których właśnie udało się przywrócić względny porządek. Oba oddziały zaczęły teraz uciekać. Ich towarzysze zobaczyli, że zostali porzuceni, więc zawrócili konie i pogalopowali za nimi.

Co najmniej dwudziestu napastników pozostało na polu bitwy, całkowicie nieruchomych.



## Rozdział 10



**M**ówisz, że odeszli? – zapytał Erak, a Hal skinął głową.  
– Następnego dnia Lydia udała się na zwiad – relacjonował. – Ich obóz był opuszczony, a Temudżeini zniknęli. Szła ich śladem kilka kilometrów i stwierdziła, że kierują się na północny wschód.

– Czyli tam, skąd przyszli – podsumował Erak i potarł z namysłem brodę. – Ale na jak długo?

– Nie sądzę, żeby w najbliższym czasie próbowali nowego ataku na Fort Ragnak – zapewnił Hal. – Stracili wielu ludzi, a mimo to nie mieli szansy przełamać obrony.

– Mówiłeś, że wdarli się na palisadę – przypomniał Erak.

Hal wzruszył ramionami.

– Kilku z nich, a Thorn i moi chłopcy zrzucili ich niemal natychmiast. Temudżeini po prostu nie są przygotowani do atakowania tego rodzaju umocnionych pozycji. Nie mają odpowiedniego sprzętu ani opracowanej taktyki. Wolą walczyć na otwartej przestrzeni, wykorzystując swoją szybkość i zwrotność, a także łuki. Strzały nie sprawdzają się przeciwko ścianie z bali.

Siedzieli przy kominku w siedzibie Eraka, wypełnionej łupami, które zgromadził przez lata napadów. Największą uwagę wśród nich zwracał kryształowy żyrandol, „pozyskany” dawno temu w Gallii. Sufit w Wielkiej Sali był zbyt niski, by zawiesić go jak należy, więc żyrandol został oparty o ścianę i położony na stole, gdzie setki wypolerowanych kryształków odbijały blask płomieni.

Od bitwy w Wężowym Przesmyku minął tydzień. Kiedy Lydia wróciła ze zwiadu z wiadomością, że Temudżeini odeszli, Hal i drużyna Czaplí postanowili ściągnąć z gór do Hallasholm. Teraz młody skirl składał raport Erakowi.

– Dwa zadymiarze kompletnie ich zaskoczyły – ciągnął Hal. – Szczególnie skuteczne okazały się ogniste pociski.

– Ale następnym razem będą na to przygotowani – zauważył Erak.

Hal zmarszczył brwi.

– Zakładasz cały czas, że spróbują ponownie.

Erak wypił duży łyk ciemnego piwa z kufła stojącego przed nim na stole. Z grzeczności kazał podać młodemu skirlowi kawę, ale sam był wilkiem morskim starej daty, więc jego ulubiony napój stanowiło piwo.

– Spróbują ponownie – potwierdził. – Nie mają innego wyjścia. Skandia blokuje im drogę. Jesteśmy dla nich kluczem do podbicia zachodniej części świata. Muszą dotrzeć na wybrzeże i przejąć nasze okręty. Wtedy mogliby zaatakować Gallię, Teutonię, Araluen i inne kraje.

– Dlaczego to dla nich takie ważne? – zapytał Hal. – Podbili przecież na wschodzie tereny liczące setki tysięcy kilometrów kwadratowych. Czy to nie wystarczy?

Erak pokręcił głową.

– Tak agresywny i kochający wojnę naród jak Temudżeini nigdy nie ma dosyć. Muszą stale podbijać nowe terytoria. Może to ze względów religijnych, nie mam pojęcia. Ale wiem, że bezustannie próbują znaleźć sposób, by uzyskać dostęp do morza. A to oznacza, że muszą nas pokonać.

– Ale nawet gdyby zdołali się wdrzeć w głąb Skandii, nigdy nie oddamy im okrętów. A jeśli by je zajęli, potrzebowaliby nas jako załogi.

– Nie zdają sobie z tego sprawy. Przywykli, że podbite narody podporządkowują się im i robią to, co każą. Poza tym jeśli nie dostaną naszych statków, zostaje im jeszcze flota Sonderlandu.

Sonderlandzkie statki były wielkie, niezgrabne i toporne – w niczym nie przypominały szybkich i zwrotnych wilczych okrętów Skandian. Prawdopodobnie jednak lepiej nadawały się do transportowania dużej liczby konnych wojowników przez morze.

– Sonderlandczycy nie będą mieli żadnych oporów przed udzieleniem im pomocy – rzekł Hal. Podobnie jak wszyscy Skandianie miał kiepską opinię o zachodnich sąsiadach, potwierdzoną wieloletnimi doświadczeniami.

– Właśnie tak. Dlatego tak czy inaczej Temudżeini będą starali się dostać na nasze wybrzeże.

– W Wężowym Przesmyku mogą próbować do woli. – Hal wzruszył ramionami. – Będą po prostu tracić coraz więcej ludzi.

Erak milczał przez kilka sekund, a potem zmienił temat.

– Podobno Aralueńczycy dzielnie się spisali w bitwie? – zapytał.

– Okazali się bezcenni. – Hal z przekonaniem pokiwał głową. – Strzelali równie celnie jak Temudżeini, a ich łuki miały nieco większą siłę i nośność. To dziwne. Temudżeini polegają na łukach jako na podstawowej broni i wydają się przyzwyczajeni do koszenia szeregów wroga deszczem strzał. Nie wiedzą jednak, co robić, gdy ktoś odpłaca im pięknym za nadobne. Thorn powiedział, że rzadko mieli okazję walczyć przeciwko łucznikom.

– Domyślam się, że nie jest łatwo, jeśli się przyzwyczaisz, że stoisz w odległości kilkuset kroków i strzelasz do wrogów jak do kaczek, a ktoś zaczyna stosować tę taktykę przeciwko tobie. To cenna informacja. W przyszłym roku musimy odnowić przymierze z Aralueńczykami i zastanawiałem się, czy warto to robić.

– Z pewnością warto – potwierdził Hal. – Sama świadomość tego, że granicy strzeże oddział łuczników, będzie działać na tamtych zniechęcająco.

Erak dopił resztę piwa i odwrócił się do drzwi, by zawołać o dolewkę. Szybko jednak zmienił zdanie. Ostatnio prowadził głównie siedzący tryb życia i zaczął się robić szerszy w pasie. Nie przeszkadzało mu bycie zwalistym, dopóki za taką budowę odpowiadały mięśnie. Teraz jednak wchodził w wiek, gdy mięśnie zaczynał zastępować tłuszcz.

– Pozostaje więc pytanie, gdzie teraz spróbują – powiedział cicho, niemal do siebie.

Hal zmarszczył brwi z namysłem.

– A mają inne miejsce? – zapytał. – Wężowy Przesmyk to przecież jedyna możliwa droga do Skandii, przynajmniej jeśli zamierzają wprowadzić większą liczbę żołnierzy.

Erak wstał, podszedł do wiszącej na ścianie mapy Skandii i sąsiadujących z nią krajów. Przyglądał jej się przez chwilę, a potem zadał pozornie całkowicie oderwane pytanie.

– Czy „Czapla” jest gotowa do wyjścia w morze?

W miesiącach zimowych Hal i jego załoga, podobnie jak większość skandyjskich drużyn, zajmowali się naprawami i konserwacją statku.

Wyprawa do Fortu Ragnak przerwała prace, ale były one już na ukończeniu.

– Jeszcze dzień i będzie gotowa. Trzeba wymienić część takielunku – wyjawiał Hal. – Pytasz z jakiegoś konkretnego powodu?

Nie potrafił powstrzymać dreszczu emocji w oczekiwaniu na odpowiedź. Oberjarl nabrał zwyczaju wzywania drużyny Czapli, gdy miał do wykonania jakąś misję specjalną. Dzięki temu życie Hala i jego załogi zawsze było interesujące.

Erak nie odpowiedział od razu. Postukał w miejsce na wybrzeżu, oddalone trochę od Hallasholm.

– Lodowa Rzeka – powiedział w końcu.

Hal podniósł się i dołączył do niego przy mapie. Znał oczywiście Lodową Rzekę – spływającą z góry dolinami i wpadającą do morza. Niewiele wilczych okrętów zapuszczało się w jej głąb. Tak jak wskazywała nazwa, przez co najmniej pół roku pokrywał ją lód, miała też kilka stromych bystrzyn, przez które nie dałoby się przepłynąć.

– Zastanawiałem się – zaczął Erak – gdzie jeszcze Temudżeini mogliby spróbować przedrzeć się do morza? Przyszło mi do głowy, że jednym z takich miejsc jest Lodowa Rzeka.

– Trudno powiedzieć – przyznał Hal. – Nigdy jej nie widziałem, jeśli nie liczyć samego ujścia. Mijałem je kilka razy, ale to wszystko.

– No właśnie – odparł Erak. – Wiemy o tej rzece bardzo mało, ponieważ nikt nigdy jej nie zbadał. Ale sądząc z mapy, być może dałoby się wzdłuż niej przejść przez góry. Rzeka wyłobiliła dolinę i niewykluczone, że konni żołnierze mogliby nią przejechać.

Przesunął palcem po wąskim brzegu po zachodniej stronie rzeki.

– Wygląd na mapie i faktyczna droga wzdłuż rzeki to oczywiście dwie różne rzeczy – odezwał się Hal. – Szczególnie jeśli mówimy o trasie dostępnej dla armii. Te trzy stromizny mogą okazać się nie do przejścia.

Wskazał trzy miejsca, gdzie rzeka zwężała się, a rysownik mapy zaznaczył wodospady.

– Mimo wszystko wydaje mi się, że gdybym był dowódcą Temudżeinów i patrzył na tę mapę, uznałbym to za miejsce, w którym można próbować zejść na nizinę – ciągnął Erak, mimo że Hal spoglądał na niego sceptycznie. – Temudżeini już wcześniej przedostawali się trasami, które inni uznawali za niedostępne.



Przesunął palcem wzdłuż doliny rzeki aż do górskiej wyżyny, gdzie na mapie rozciągała się pusta przestrzeń.

– Nikt nigdy nie zbadał tych terenów – rzekł. – Ale to terytorium Temudżeinów.

– Chcesz, żebyśmy się tam dostali? – zapytał Hal z lekkim niedowierzaniem w głosie. – Nie możemy żeglować pod górę.

– Będziecie musieli zrobić przenoskę w tych trzech miejscach – powiedział Erak, wskazując najbardziej strome fragmenty doliny. – Każde z nich ma niecały kilometr długości, a na brzegu jest dość miejsca, by przeciągnąć łódź.

„Przenoska” oznaczała wyciągnięcie okrętu z wody i przeniesienie go po suchym lądzie. Była to ciężka praca, której Skandianie nienawidzili z całego serca.

– Przez resztę drogi możecie wiosłować, kiedy tylko lód puści.

Erak popatrzył na młodego skirla. Zaciśnięte usta Hala stanowiły jasny dowód jego opinii o planie oberjarla. Erak mówił dalej, bardziej uspokajającym tonem.

– Chodzi o to, Halu, że musimy się dowiedzieć, czy ta droga jest możliwa do pokonania. Zawsze zakładaliśmy, że będzie niedostępna, ale obecnie nie możemy się opierać na takich założeniach. Jeśli Temudżeini nie mają szans w Wężowym Przesmyku, muszę wiedzieć, czy istnieje inna trasa, którą mogliby zejść z gór na wybrzeże. Ta góraska rzeka może się okazać sztyletem wymierzonym w serce Skandii. Poza tym sam chciałbym wiedzieć, jak wygląda ta rzeka na wyżynie. Chciałbym wiedzieć, jak wyglądają te tereny. Czy są porośnięte drzewami? Czy też trawiaste równiny rozciągają się aż tak daleko na południowy zachód? Jeśli tak by było, sha’shan mógłby z łatwością zgromadzić tam swoją armię.

– Sha’shan? – zapytał Hal. Nie znał tego tytułu.

– To przywódca Temudżeinów – wyjaśnił Erak. – „Shan” oznacza przywódcę, więc „sha’shan” to przywódca przywódców albo najwyższy przywódca.

Oberjarl poruszył się niespokojnie. Zazwyczaj, gdy zlecał Czapłom misję, opierał się na czymś bardziej konkretnym niż mgliste uczucie niepokoju. I zazwyczaj było to zadanie odrobinę ciekawsze od wciągania łodzi na górę.

– Przykro mi, że ciebie tym obciążam, Halu – powiedział. – Ale potrzebuję pary oczu, której mógłbym zaufać. Chciałbym także poznać

opinię Thorna o ukształtowaniu terenu w Dolinie Lodowej Rzeki. Naprawdę muszę wiedzieć, czy powinniśmy być przygotowani na odparcie ataku w tym miejscu.

Thorn był doświadczonym wojownikiem. Jego ocena, czy Temudżeini mogliby przeprowadzić swoje oddziały Doliną Lodowej Rzeki, byłaby niezwykle wartościowa. Thorn nigdy nie powiedziałby, że jakiś problem jest „za trudny”. Zawsze szukał sposobu na jego rozwiązanie.

Hal milczał, wpatrywał się w mapę i próbował sobie wyobrazić dzikie, zarośnięte tereny, oznaczone mało mówiącymi symbolami i adnotacjami.

– Czy twój hilfmann mógłby przygotować dla mnie kopię tej mapy? – zapytał.

Erak ledwie dostrzegalnie odetchnął z ulgą. Było mało prawdopodobne, że Hal odmówi podjęcia się misji, ale nie dawało się tego wykluczyć. Erak widział, że młody skirl przygląda się teraz pierwszemu miejscu przenoski.

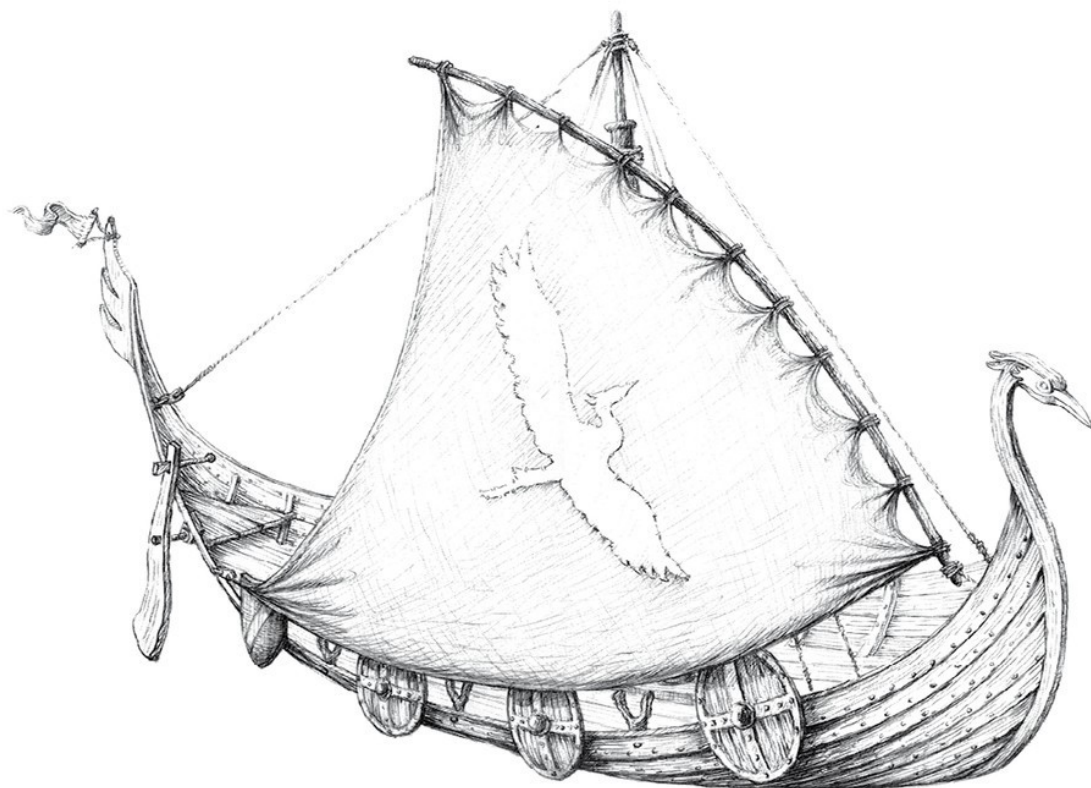
– Jest jeszcze jeden powód, dla którego proszę o to ciebie – dodał. – Twój okręt jest najmniejszy w naszej flocie, więc łatwiej będzie go przetranszować na stromiznach.

Hal skinął głową, myśląc o tym, jak trudno będzie przeciągnąć piętnastometrowy wilczy okręt po pełnym zakrętów górskim szlaku. W przypadku „Czapli” czekało ich niełatwe wyzwanie. W przypadku pełnowymiarowego wilczego okrętu byłoby to praktycznie niemożliwe.

– Lepiej uprzedzę chłopców – westchnął. – Będą zachwyceni, kiedy się dowiedzą, jaka to łatwizna.

Erak pozwolił mu mieć ostatnie słowo. Uznał, że Halowi się to należy.

## CZĘŚĆ DRUGA



## LODOWA RZEKA

## Rozdział 11



**D**obrze było znowu znaleźć się na morzu. Od brzegu wiał rześki wiatr, więc „Czapla” płynęła przed siebie z imponującą prędkością. Pokonywała fale jak mewa, unosząc się i opadając. Od czasu do czasu nieregularna fala uderzała o dziób okrętu w momencie, gdy jeszcze zsuwał się z grzbietu poprzedniej. „Czapla” wbijała się w nią, zamiast przepłynąć górami, a wtedy na pokład spadał deszcz srebrnych kropli.

Hal jak zawsze rozkoszował się pędem okrętu żeglującego szybko wzdłuż wybrzeża. Dla niego „Czapla” nie była tylko połączeniem drewna i płótna. Uważał ją za żyjącą istotę – wyczuwał duszę w rytmicznych poruszeniach pokładu pod stopami, lekkich wibracjach steru, na który napierało morze, stawiając opór jego dłoni. Byłby gotów wierzyć, że okręt z nim rozmawia. Miecz wibrował lekko w miejscu, gdzie przechodził przez wodoodporną uszczelkę skrzyni mieczowej, i sprawiał, że po całym kadłubie rozchodziło się niskie brzęczenie, ponieważ pusta w środku drewniana konstrukcja działała jak pudło rezonansowe. Hal wiedział, że przyczyną jest jakiś błąd konstrukcyjny skrzyni mieczowej, ale uważał go za fortunną pomyłkę. Roześmiał się na głos.

– To lepsze od jazdy konnej – zauważył Stig, stojący o metr od niego i opierający się o stewę rufową.

– I lepsze od chodzenia – dodał Thorn ze swojego miejsca nieco bardziej z przodu.

Hal uśmiechnął się radośnie do obu przyjaciół.

– Cieszcie się, dopóki możecie – powiedział. – Niedługo będziemy wiosłować.

– „My”? – powtórzył Thorn, unosząc szyderczo jedną brew. Hal jako skirl nie miał obowiązku wiosłować, chociaż przyjaciele wiedzieli, że chętnie w tym pomagał, przekazując ster Edwinowi i zmieniając jednego z wiosłarzy. Jednakże podczas tej podróży zapuszczali się na nieznane obszary, więc było raczej pewne, że Hal będzie cały czas stał przy sterze, gotów reagować na niespodzianki.

Fala rozprysnęła się przed dziobem, a krople załśniły w powietrzu, zanim spadły na pokład. Kluf zaszczekała i zaczęła kłapać na lecącą wodę – jej potężne szczęki zaciskały się jak wnyki na niedźwiedzie, gdy próbowała pochwycić słony deszcz. Siedziała koło Hala, tłukąc go po nogach grubym ogonem, którym zamiatała na boki (był to ruch zbyt gwałtowny, by nazwać go zwykłym machaniem).

– Spokojnie, mała – przemówił do niej Hal. Jeszcze kilka razy walnęła go ogonem. Najwyraźniej udzielił jej się radosny nastrój, która ogarnęła wszystkich na pokładzie. Hal popatrzył na niebo, intensywnie błękitne, z białymi obłoczkami przemykającymi wysoko w górze. Na razie pogoda była piękna, ale na lądzie, ponad górami, gromadziły się ciemne chmury. Hal pomyślał, że mogą zwiastować spóźnioną śnieżycę, mimo że zima już się skończyła.

– Rzeka na horyzoncie! – zawołał Jesper ze swojego miejsca na oku.

Hal wychylił się od strony sterburty i wyciągając głowę, wypatrywał, co jest przed nimi. Zielona linia znajdowała się niedaleko, ponieważ płynęli równoległe do brzegu. Przed nimi, w odległości mniej więcej kilometra, Hal dostrzegł przy brzegu białe grzywy załamujących się fal. To musiało być ujście rzeki. Z całą pewnością oddzielała ich od niego mielizna powstała z piasku naniesionego przez rzekę do morza. Będą musieli przeprowadzić rekonesans, żeby znaleźć bezpieczną trasę omijającą tę naturalną przeszkodę, zanim podejmą próbę wpłynięcia w ujście rzeki.

– Widzę linię przyboju! – zawołał Jesper, potwierdzając ocenę Hala. Skirl odkrzyknął, a potem lekko napał na ster, kierując statek w stronę wybrzeża. Ulf i Wulf odpowiednio trzymowali żagle.

Ślizgali się w stronę brzegu. Kiedy od linii przyboju dzieliło ich już tylko kilkaset metrów, Hal polecił załodze zrzucić żagle i usiąść do wiosł. Na razie używali tylko dwóch par, przy których zasiedli Ulf, Wulf, Stefan i Ingvar.

– Powoli – rozkazał Hal. – Chcę zobaczyć, jak głęboka jest woda na mieliznie. – Gestem poprosił Stiga, by przejął rumpel. – Idę na dziób – powiedział.

Wioślarze skierowali statek wzdłuż linii przyboju, w odległości jakichś czterdziestu metrów od niej. Płynęli powoli, równolegle do załamujących się fal; Hal przeszedł na nadburcie przy dziobie, przytrzymał się sztagu i wychylił, żeby popatrzeć na zieloną wodę skrywającą mieliznę. Była pora przypływu, więc nad piaskiem znajdowało się dostatecznie dużo wody – przynajmniej dla niewielkiego okrętu, takiego jak „Czapla”. Hal wrócił na rufę i przejął ster.

– Woda jest wystarczająco głęboka – powiedział do Stiga. – Mamy co najmniej dwa metry pod kilem. – Skinął głową Thornowi. – Podnieś miecz, Thornie – polecił.

Przypominająca miecz płetwa wystawała metr poniżej łodzi. Kiedy zostawała podniesiona, „Czapli” wystarczał zaledwie metr wody pod dnem.

– Przepłyniemy na fali, żeby nie ryzykować – zapowiedział Hal i skierował okręt szerokim łukiem w stronę mielizny, by podejść do niej pod odpowiednim kątem. – Thornie, Stigu, usiądźcie do wiosł.

Dwaj dodatkowi wioślarze przeszli wzdłuż ławek i osadzili w dulkach długie białe wiosła z dębowego drewna.

– Wiosła skróć – polecił Hal, więc wioślarze wyciągnęli na chwilę wiosła. Okręt unosił się i opadał łagodnie, gdy fale przechodziły pod jego kilem. Hal rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy wszyscy są gotowi. Lydia przykucnęła koło Kluf na sterburcie. Uśmiechnęła się, kiedy Hal na nią spojrzał. Edvin przeszedł na rufę i stanął obok skirla, ponieważ wiedział, że gdy będą przepływać przez mieliznę na fali, okręt powinien mieć obciążoną rufę. Jesper opuścił swoje miejsce na oku i także przeszedł do tyłu.

– Obie naprzód. – Na ten rozkaz wioślarze pochyłili się nad wiosłami, posuwając nieduży okręt do przodu.

Stig nadawał rytm, narzucając pozostałym szybkie tempo. Hal czuł, że ster ożywa w jego dłoni pod naporem wody. Wyrównał kurs okrętu, tak że kierowali się teraz wprost na mieliznę, kołysząc się i ślizgając na falach przechodzących pod kilem. Kiedy znajdowali się dwadzieścia metrów od płycizny, Hal obejrzał się przez ramię i zobaczył wypiętrzającą się za nimi falę.

– Mocniej! – zawołał, a wioślarze z nową energią natarli na wiosła. Nieduży okręt wystrzelił do przodu, a jego rufa uniosła się na fali.

– Mocniej! – powtórzył Hal. Wioślarze zdwoili wysiłki, a okręt wspiął się na falę i przyspieszył. Zaraz potem dziób wbił się w falę przed nimi, a „Czapla” przechyliła się rufą do góry i dziobem do dołu.

– Podnieść wiosła! – krzyknął Hal, gdy stwierdził, że są już niesieni na fali. – Wszyscy na rufę!

Załoga była przygotowana na ten rozkaz. Wciągnęli wiosła na pokład i przeszli szybko na rufę, tłocząc się na samym końcu części przeznaczony dla wioślarzy. Nagła zmiana obciążenia sprawiła, że dziób poszedł do góry, a rufa – w dół.

Jesper wydał okrzyk radości, gdy okręt wystrzelił do przodu i przemknął po jasnozielonej wodzie na płyciźnie, a potem powoli wytracił prędkość, gdy fala osłabła. „Czapla” zakołysała się na głębszej wodzie bliżej brzegu, a Hal poczuł, że na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech. Pomyślał, że czasem życie jest naprawdę wspaniałe. Rozejrzał się i zobaczył, że poblada Lydia ściska kurczowo osadzoną w pokładzie knagę. Miała zaciśnięte kciuki, a Hal z pewnym zaskoczeniem zrozumiał, że bała się tej przeprawy przez mieliznę. Wzruszył ramionami. Lydia stosunkowo od niedawna podróżowała na statkach, podczas gdy on i reszta drużyny Czapli od dziecka wypływali w morze.

Lydia zauważyła jego spojrzenie i potrząsnęła głową. Hal uśmiechnął się do niej.

– Nie groziło nam żadne niebezpieczeństwo – zapewnił.

Dziewczyna wypuściła wstrzymywany od dłuższej chwili oddech.

– Skoro tak mówisz – odparła, chociaż w zasadzie mu wierzyła. Mogła się denerwować, ale bezgranicznie ufała umiejętnościom żeglarskim Hala. Wiedziała, że serce może jej czasem podchodzić do gardła – jak podczas tego nagłego zjazdu na łeb, na szyję po fali – ale jak długo Hal stał za sterem i panował nad sytuacją, była pewna, że wszystko skończy się dobrze.

– Do wiosł – poleciał krótko Hal, a sześciu wioślarzy przeszło znowu do przodu i zajęło miejsca na ławkach, czekając, aż Stig wyda komendę. Wtedy jednocześnie natarli na wiosła, a „Czapla” nabrała prędkości, kierując się ku niewielkiej plaży po zachodniej stronie ujścia.

Rzeka miała tu szerokość jakichś osiemdziesięciu metrów. Brzeg po stronie zachodniej był szeroki i płaski, podczas gdy po stronie wschodniej za niespełną trzymetrową plażą wznosiło się strome urwisko.

– Podnieść wiosła – rozkazał Hal, gdy podpłynęli bliżej, i skierował niewielki okręt ukosem na brzeg, aż dziób zazgrzytał na grubym piachu. – Zjemy coś i napijemy się kawy – powiedział do Edvina. – Potem popłyniemy w górę rzeki. Stigu, weź Ulfa i Wulfa i upewnij się, że jesteśmy sami.

Wysoki pierwszy oficer skinął głową, a następnie gestem pokazał bliźniakom, żeby wzięli broń i poszli z nim.

– Przejdę się z wami – zaproponowała Lydia, zarzucając na ramię kołczan ze strzałkami. Stig skinął głową, ponieważ Lydia miała bystre oko i była doskonałą tropicielką. Nawet jeśli w okolicy nie kryło się teraz żadne niebezpieczeństwo, umiałyby powiedzieć, czy w ciągu ostatnich kilku dni na plaży lub w lesie kręcili się jacyś obcy. Wydawało się, że okolica jest całkowicie bezludna, ale lepiej było mieć całkowitą pewność.

Cała czwórka skierowała się pomiędzy drzewa okalające plażę. Trzymali się w odległości kilku metrów od siebie, by nie stanowić pojedynczego celu. Edvin z kolei zajął się rozpalaniem ognia. Reszta załogi czekała w gotowości, z bronią w zasięgu ręki, aż Stig i jego towarzysze powrócili.

– Wszystko w porządku – powiedział Stig. – Lydia mówi, że przez ostatni tydzień nikogo tu nie było.

– No dobrze, odpoczniemy przez godzinę – zdecydował Hal. – Czeka nas sporo wiosłowania.





## Rozdział 12



**G**odzinę później, wypoczęci i odświeżeni, zepchnęli okręt z plaży i powiosłowali w górę rzeki.

Prąd był silny, więc Hal postanowił wykorzystać wszystkie sześć wiosł. Wioślarze pracowali miarowo, a pozostali dwaj członkowie załogi co godzinę zmieniali kolejną dwójkę.

Lydia stanęła koło Hala przy sterze, a Kluf padła na pokład z ciężkim westchnieniem i oparła pysk na wyciągniętych łapach. Otwarte oczy suki podążały bezustannie za Halem, jakby chciała mieć pewność, że nagle nie zniknie.

Rzeka zrobiła się węższa, co sprawiło, że prąd przybrał jeszcze na sile. Miała w tym miejscu zaledwie pięćdziesiąt metrów szerokości – za mało, żeby podnosić żagiel i halsować pod wiatr.

– Po co komu skirl – odezwał się Jesper w przestrzeń, ale tak, żeby wszyscy go usłyszeli – który podobno jest genialnym wynalazcą, skoro nie umie znaleźć sposobu na płynięcie prosto pod wiatr?

Ulf zadumał się nad tym komentarzem. Kojarzenie faktów czasami przychodziło mu z pewną trudnością.

– Jak chciałbyś płynąć prosto pod wiatr? – zapytał.

Jesper wzruszył ramionami.

– Mnie nie pytaj. Ja nie jestem genialnym wynalazcą.

Hal zignorował tę uwagę. Przyglądał się rzece – z prądem spływały po niej duże kawały kry. Chwilami, gdy nie udało mu się ich ominąć, ocierały

się z głośnym szurgotem o kadłub łodzi. Nie stanowiły zagrożenia dla statku, ale Hal mimo to starał się ich unikać.

– W górze rzeki topi się lód – wyjaśnił Lydii. – W zimie cała powierzchnia jest skuta lodem.

Dziewczyna wychyliła się przez reling i popatrzyła na mijającą ich topniejącą lodową breję.

– Czy można przeprowadzić armię po zamarznętej rzece? – zapytała.

Hal zastanowił się chwilę, ale zaraz pokręcił głową.

– Tu, w dolnym biegu, lód nie będzie dostatecznie gruby. Na powierzchni wydaje się solidny, ale pod spodem przez cały czas płynie woda. Nie utrzymałby ciężaru większej liczby koni i ludzi.

Pojedyncze delikatne płatki śniegu spływały z nieba i roztopiały się natychmiast, gdy dotknęły ich kurtkę lub twarzy. Hal popatrzył w górę. Ciemne chmury, które widział wcześniej, przesunęły się w stronę wybrzeża. Skirl poprawił kurtkę i zadrżał, gdy kilka płatków wpadło mu za kołnierz i błyskawicznie zamieniło się w lodowatą wodę.

Spojrzał na ustawioną koło steru klepsydrę, w której przesypywały się ostatnie ziarenka piasku. Obrócił ją.

– Zmiana wiosłarzy – polecił. Teraz przyszła pora na odpoczynek Ulfa i Wulfa, obaj przekazali więc wiosła Stigowi i Ingvarowi. Kiedy tylko nowi wiosłarze podjęli pracę, Hal poczuł, że okręt przyspiesza, a jednocześnie skręca lekko w lewo. Ingvar siedział po stronie sterburty. – Trochę słabiej, Ingvarze – ostrzegł. Potężnie zbudowany młodzieniec chwilami nie zdawał sobie sprawy z własnej gigantycznej siły. Nawet posadzony w parze z Thornem czasem sprawiał, że dziób okrętu zaczynał skręcać. Ingvar mruknął coś pod nosem i skrócił pociągnięcia wiosła. „Czapla” wyrównała, więc Hal mógł przestać korygować kurs.

Lydia uśmiechnęła się ciepło do ogromnego wojownika.

– Czasem mi się wydaje, że wystarczyłby sam jeden przy wiosłach – powiedziała.

Hal pokiwał głową.

– Jestem pewien, że tak.

Ulf i Wulf leżeli na pokładzie, oparci wygodnie plecami o zwinięty żagiel przy bakburcie. Mieli godzinę wytchnienia, zanim będą musieli zmienić inną parę wiosłarzy. Większość członków załogi z przyjemnością wykorzystałaby ten czas na spokojny odpoczynek. Jednak bliźniacy nie

potrafili długo siedzieć w milczeniu – szczególnie gdy byli razem. Żaden z nich nie umiał się powstrzymać przed podpuszczaniem drugiego.

Ulf odchylił głowę i pozwolił, by kilka płatków śniegu spadło na jego język i natychmiast się roztopiło. Potem wyciągnął rękę, na której wylądowały jeszcze dwa płatki. One także w zetknięciu z ciepłą skórą błyskawicznie zmieniły się w wodę. Ulf przyjrzał się dwóm malutkim kropelkom na dłoni, które połączyły się w jedną.

– Słyszałem, że nie ma dwóch identycznych płatków śniegu – powiedział w końcu.

Wulf także pochwycił dwa płatki na dłoń i patrzył, jak topnieją.

– Te dwa są takie same – zauważył.

Ulf rzucił mu zbolące spojrzenie.

– Owszem, teraz tak – przyznał. – Ale teraz nie są już płatkami śniegu. Są malutkimi kałużami, jak po deszczu.

– Kiedy były płatkami śniegu, też wyglądały tak samo – zaprzeczył Wulf. Złapał jeszcze kilka i spróbował się im przyjrzeć, zanim, niemal natychmiast, zmieniły się w wodę. – Tak jak te dwa.

– Ale to też już nie są płatki śniegu – orzekł Ulf.

Wulf wzruszył ramionami.

– Były płatkami śniegu – podkreślił. – I wtedy wyglądały tak samo. A nawet identycznie.

Ulf pokręcił głową.

– Nie. Wcale nie – oznajmił z mocnym przekonaniem kogoś, kto wie, że ma rację.

– Ty ich nie widziałeś, a ja tak – przypomniał Wulf. – Dlatego ci mówię, że były identyczne.

– Ale gdybyś przyjrzał się im naprawdę uważnie...

– Przyjrzałem się – przerwał Wulf.

– Zobaczyłybyś, że wcale nie są takie same – ciągnął Ulf, nie dając zbić się z tropu komentarzom brata. Przez dłuższą chwilę panowała cisza, aż w końcu Wulf postanowił podejść do problemu od innej strony.

– Gdzie to słyszałeś? – zapytał, a ponieważ brat nie odpowiedział natychmiast, dodał jeszcze: – Powiedziałeś: „Słyszałem, że nie ma dwóch identycznych płatków śniegu”. Gdzie to słyszałeś?

– Od słynnego filozofa – odparł Ulf.

Wulf przekrzywił głowę, żeby spojrzeć na niego uważniej. Nie miał pojęcia o tym, że jego brat znał jakichś słynnych filozofów, a co dopiero

poświęcał czas na rozmowę z nimi.

– Jak on się nazywał? – zainteresował się i pozwolił, by cisza po tym pytaniu się przeciągnęła.

W końcu Ulf odpowiedział:

– Tak właściwie to moja mama mi to powiedziała.

– Jeśli to ta sama kobieta, która jest moją mamą – stwierdził Wulf – to nie jest słynnym filozofem. Jest świetną kucharką i doskonałą krawcową. Ale nie jest słynnym filozofem. – Nie powiedziałem, że jest słynnym filozofem. Ona usłyszała to od słynnego filozofa. A potem powtórzyła mnie.

– No to kim był ten słynny filozof? Jak się nazywał?

– Aha! – ucieszył się Ulf. – Wychodzą z ciebie męskie uprzedzenia. Kto powiedział, że ten filozof był mężczyzną? – Uśmiechnął się, zadowolony, że udało mu się wpuścić brata w pułapkę.

Wulf zaklął pod nosem, zły, że dał się złapać na tak starą sztuczkę. Nie pozwolił jednak, by to odwróciło jego uwagę od tematu.

– Niech będzie, jak się więc nazywała? – zapytał.

– Stara Gerta – odparł triumfalnie Ulf.

Stara Gerta była podstarzałą wdową mieszkającą w rozpadającej się chatce tuż nad linią przypiływu na zachodnim krańcu Hallasholm. Zbierała drewno i najróżniejsze drobiazgi wyrzucane przez fale. Dawniej dzieciaki biegały za nią i ją przedrzeźniały, dopóki nie zakazał im tego Erak. Staruszka była poczciwa, więc Eraka bolało złe zachowanie dzieciarni. Początkowo jego zakazy nie dawały efektu, dlatego pewnego dnia, gdy Erak przyłapał na tym jakąś trójkę, złapał dzieciaki pod pachę i zaniósł je, wrzeszczące z przerażenia, w górę plaży, gdzie zostały zagonione do czyszczenia jednego z licznych dołów kloacalnych Hallasholm. Później nikt już nie próbował dokuczać starszej kobiecie.

– Gerta znad Morza? – zapytał Wulf, używając bardziej znanego przydomku.

Ulf pokiwał z przekonaniem głową.

– Właśnie ona.

– Kiedy byłeś u Gerty nad morzem?

– Nie byłem. Mówiłem ci, że powiedziała to mamie. Mama zniosła jej miodowe ciasteczka na podwieczorek, a Gerta powiedziała jej o płatkach śniegu. Potem mama powtórzyła to mnie.

– Mnie nic takiego nie mówiła – zauważył Wulf.

Ulf uśmiechnął się, zachwycony tym, że Wulf wpadł w kolejną słowną pułapkę.

– To dlatego, że mnie kochała bardziej niż ciebie.

Ta nonsensowna rozmowa, stanowiąca dla bliźniaków świetną rozrywkę, mogła się ciągnąć w nieskończoność, ale teraz przerwał im Stig, zagłuszając obu braci.

– Stefanie! – zawołał.

Stefan obejrzał się, nie przerywając wiosłowania i nie gubiąc rytmu.

– O co chodzi, Stigu?

– Niedawno pokazywałeś, jak umiesz naśladować różne osoby. Mam dla ciebie nowy pomysł.

Stefan rzucił okiem na Thorną. Jednoręki wilk morski poruszał wiosłem, wykorzystując lewą rękę i drewniany hak zaciśnięty na końcu uchwytu. Uniósł teraz ostrzegawczo brew.

– Nie jestem pewien, Stigu – odezwał się ostrożnie Stefan. – Kogo miałbym naśladować?

– Umiałbyś udawać paplanie dwóch idiotów? – zapytał Stig.

Thorn odwrócił się, by ukryć szeroki uśmiech.

Stefan zmarszczył brwi.

– Jak by to miało brzmieć?

Stig ruchem głowy wskazał bliźniaków.

– Tak jak ci dwaj.



Wiosłowali przez resztę popołudnia, na szczęście bez akompaniamentu dyskusji Ulfa i Wulfa o płatkach śniegu i filozofach. Przykre doświadczenia nauczyły bliźniaków, jak bardzo mogą nadwyręzać cierpliwość pozostałych członków załogi takimi rozmowami, a słowa Stiga do Stefana stanowiły sygnał, że ta cierpliwość jest na wyczerpaniu.

Śnieg wciąż padał, a kiedy słońce schowało się za górami na zachodzie, Hal zaczął się rozglądać za miejscem, gdzie można by przybić do brzegu.

Zauważył je, gdy zbliżyli się do pierwszej bystrzyny – miejsca, w którym rzeka płynęła wartko wąskim i mocno nachylonym korytem. Siła nurtu między zwężonymi brzegami sprawiała, że kry rozbijały się z impetem o skały. Brzeg po wschodniej stronie nadal był wysoki i niegościnnie.

Zachodni wyglądał na bardziej dostępny, ale teren także wznosił się stromo. Hal przyjrzał się okolicy i dostrzegł wąską ścieżkę po lewej stronie, znikającą pomiędzy drzewami.

Skierował statek na brzeg, aż stewa dziobowa zgrzytnęła na drobnym żwirze.

– Stigu, Lydio – odezwał się i wskazał dróżkę wśród drzew. Wywołana dwójka wyskoczyła lekko z łodzi i skierowała się do lasu, by przeprowadzić zwiad. Reszta załogi pozostała na pokładzie i zachowywała czujność. Tak jak zwykle mieli broń pod ręką. To były nieznane tereny, a wśród drzew mogli się kryć liczni wrogowie.

Mogło też nikogo nie być.

Piętnaście minut później wysłana na zwiady dwójka wróciła.

– Wszystko w porządku. – Stig machnął uspokajająco do Hala.

Hal odprężył się.

– Dobrze, w takim razie rozbijamy tutaj obóz. Edwinie, rozpal ogień. Jesper i Stefan zbiorą dla ciebie drewno. Wieczorem wystawimy wartę, a jutro zaczniemy przygotowania do przenoski.

## Rozdział 13



**N**astępnego dnia rano Hal poszedł zbadać szlak, którym mieli przenosić okręt.

Droga pięła się pod górę w odległości jakichś dwudziestu metrów od brzegu rzeki, gdzie zbocze było nieco mniej strome. Była wąska i pełna zakrętów – tak jak mówił Erak, nie dałoby się tędy przeciągnąć na wyższy poziom pełnowymiarowego wilczego okrętu.

– To jasne, że ktoś w przeszłości się tędy przewoził – powiedział Hal do towarzyszącej mu Lydii. – Ale nie zachowały się o tym żadne wzmianki.

Załoga zajęła się zmniejszaniem ciężaru statku, wyjmując wszystko, co mogło się do tego przyczynić. Na pierwszy ogień poszły obie rejki i żagle, a także wszystkie wiosła. Jedzenie i inne zapasy zgromadzono na brzegu, a Hal opróżnił duży zbiornik na słodką wodę, umieszczony pod pokładem. Dopóki znajdowali się w pobliżu rzeki, nie groził im brak wody pitnej. Kiedy skończyli, okręt stracił mniej więcej dwie trzecie swojej wagi, więc stosunkowo łatwo zdołali go wyciągnąć na brzeg.

Wciągnięcie na górę było zupełnie inną historią, ale Hal już się nad tym zastanawiał. Wziął z „Czapli” parę drewnianych bloczków i poszedł na początek szlaku. Spojrzał w górę i wybrał dwa solidnie wyglądające drzewa po bokach drogi, w odległości trzydziestu metrów, tuż przed zakrętem w prawo. Do podnóża pnia każdego z nich przymocował bloczek, a następnie przeciągnął przez te bloczki linę i puścił ją z powrotem w dół, do miejsca, w którym miał zostać ustawiony okręt. Zamiast używać czystej siły mięśni do wpychania okrętu na górę, Czaple mogły go wciągać za

pomocą lin. Dwie liny i bloczki sprawiały, że okręt będzie się posuwał prosto pod górę, zamiast zbaczać z trasy, gdy znajdzie się bliżej wierzchołka. Mechaniczna zasada działania bloczków sprawiała też, że cała operacja wymagała praktycznie o połowę mniej wysiłku.

Oczywiście mimo to zadanie nie było łatwe – szczególnie dla tak niewielkiej załogi, ale łatwiejsze, niż gdyby żeglarze musieli polegać tylko na własnej sile fizycznej.

Kiedy Hal zakończył przygotowania, załoga podniosła i przepchnęła odciążony kadłub, aż znalazł się na dole szlaku. Hal przywiązał obie liny do stewy dziobowej, ale zanim kazał towarzyszom wziąć się do pracy, wskazał stos ekwipunku na brzegu rzeki.

– Zabierzcie broń i miejcie ją w pogotowiu – polecił. – Możemy zostawić jedzenie, omasztowanie i żagle tam, gdzie są, przynajmniej na razie. Później po nie wrócimy. Lydio?

Dziewczyna spojrzała pytająco, czekając na rozkazy.

– Przejdź się jakieś kilkaset metrów. – Hal wskazał kciukiem w górę zbocza. – Nie chciałbym, żeby ktoś nas zaskoczył, kiedy będziemy zajęci ciągnięciem łodzi.

Lydia skinęła głową i ruszyła szybkim krokiem pod górę, znikając im z oczu za zakrętem. Zeszła wtedy z wąskiej ścieżki i przemykała się dalej pomiędzy drzewami. Wszystkie jej zmysły były wyostrzone – wzrok, słuch, a także węch, biorąc pod uwagę jej doświadczenia ze zwiadu w Wężowym Przesmyku. Jeśli wśród drzew ukrywali się Temudżeini, to właśnie ich zapach mógłby ją zaalarmować jako pierwszy.

Wspięła się na sam szczyt odcinka, którym miała prowadzić przenoska, długiego na jakieś dwieście metrów, i zatrzymała się w miejscu, gdzie teren stawał się równiejszy. Nie było widać nawet śladu wroga. Lydia odczekała kilka minut, ukryta w cieniu pod drzewami, obserwując i nasłuchując. W końcu, gdy miała już pewność, że w pobliżu nie ma nikogo, wróciła na dół, gdzie czekała na nią reszta Czapli.

– Droga wolna – powiedziała do Hala. Skirl pochylił się i wziął lewą linę, gestem polecając załodze, by zajęła swoje miejsca.

Wszyscy stanęli przy linach – z wyjątkiem Edvina, który przeszedł przed dziób, niosąc sześć metrowej długości rolek, wyciętych z młodych drzewek. Wziął pierwszą z nich i wsunął pod dziób statku w momencie, gdy reszta załogi zaczęła ciągnąć. Zakrzywiona część kila uniosła się w górę na rolce i przesunęła się pod górę. Po jakichś dwóch metrach Edvin wsunął drugą



rolkę, a potem kolejną. Z każdą rolką ciągnięcie statku stawało się coraz łatwiejsze, więc „Czapla” posuwała się powoli w górę szlaku. Obserwująca to wszystko Lydia szybko zrozumiała, o co tu chodzi. Podbiegła do rufy, gdy tylko wyłoniła się spod niej pierwsza rolka. Dziewczyna podniosła ją i wróciła na górę, gdzie położyła rolkę pod dziobem. Edvin skinął z wdzięcznością głową i sam podbiegł w dół, by zabrać i przełożyć następną rolkę. Kiedy to zrobił, Lydia pobiegła po trzecią, zaniósła na górę i położyła pod zakrzywionym kilem.

Pracowali w tandemie, dzięki czemu okręt przesuwiał się po stale przekładanych rolkach, podczas gdy reszta załogi ciągnęła z mozołem za liny.

– Ruszajcie się! – wysapał Hal do pozostałych. – Jeśli tutaj się zatrzymamy, będzie dwa razy trudniej ruszyć ją z miejsca.

Nikt mu nie odpowiedział. Nie mieli zamiaru tracić oddechu na niepotrzebne pogawędki. Napinali mięśnie i ciągnęli, ich stopy ślizgały się na nieubitej ziemi i leśnej ściółce w poszukiwaniu lepszego oparcia. Przez cały ten czas Lydia i Edvin kontynuowali rytuał schodzenia i wchodzenia, bezustannie przekładając rolki pod kilem statku, tak żeby jednocześnie było ich tam zawsze pięć.

„Czapla” powoli i niezgrabnie sunęła w górę zbocza.

Po godzinie wyczerpującej kręgosłup i mięśnie pracy znaleźli się na szczycie pierwszego odcinka.

– Odpoczynek! – zawołał Hal. A przynajmniej próbował zawołać, ponieważ przypominało to raczej ochrypły pomruk. Jednakże załoga usłyszała go i zrozumiała, wypuściła z chóralnym jękiem liny i padła na ziemię. Hal stał, oparty o pień drzewa, oddychał ciężko z wysiłku i przyglądał się zboczowi, które do tej pory pokonali. Potrząsnął głową z ulgą. Nie był pewien, czy liny, bloczki i rolki sprawdzą się aż tak dobrze. Poczł przyływ radości. Byli na najlepszej drodze, by pokonać to przewyższenie.

– Czy ktoś pomyślał o zabraniu manierki? – zapytał, ponieważ miał całkiem sucho w gardle. Odpowiedziały mu tylko spojrzenia. Lydia zrobiła krok bliżej – na dole, koło stosu jedzenia i sprzętu, było sześć manierek.

– Przyniosę je – zaproponowała, a Hal skinął jej głową z wdzięcznością. Dziewczyna pobiegła leciutko w dół szlakiem, który przed chwilą pokonywali z takim wysiłkiem.

Hal pomyślał, że Lydia także nie miała łatwo. Nieustanne bieganie tam i z powrotem, w górę i w dół zbocza, podnoszenie i przekładanie rolek było

męczącym zadaniem, a dziewczyna pokonała zapewne czterokrotnie większą odległość niż reszta załogi. Mimo wszystko jednak było to mniej wyczerpujące niż ciągnięcie statku po lądzie pod górę. Hal osunął się wzdłuż pnia, usiadł na ziemi, oparty plecami o drzewo, i wyciągnął nogi. Uśmiechnął się ze znużeniem do Thorny. Stary wilk morski miał już siwe włosy i był o wiele starszy od reszty załogi, ale wydawało się, że skrywa niespożyte pokłady siły. Ledwie dało się zauważyć, żeby ciężiej oddychał. Podobnie zresztą jak Ingvar.

– Właśnie dlatego wypływamy na morze – powiedział Hal do jednorękiego wojownika.

Thorn skinął głową.

– Na morzu nie ma gór.

Lydia wróciła po kilku minutach z sześcioma manierkami, które rozdała reszcie załogi. Wszyscy napili się chciwie. Ponieważ mieli jeszcze kilka fragmentów trasy do pokonania, dziewczyna zebrała potem manierki i zeszła między drzewami do rzeki, żeby je napełnić.

– Odpocznijmy kilka minut – zapowiedział Hal.

Thorn podniósł ostrzegawczo głowę.

– Byle nie za długo – ostrzegł.

Hal skinął głową, zgadzając się z nim. Gdyby zrobili zbyt długą przerwę, mięśnie by zesztwniały i trudno by było ruszyć się z miejsca. Trzeba było zachowywać idealną równowagę i dać załodze czas na wystarczający, ale nie nadto długi odpoczynek.

Kiedy Lydia wróciła z pełnymi manierkami, Hal z lekkim jękiem podniósł się na nogi.

– Ruszajmy dalej – powiedział, na co usłyszał chór narzekań. Zauważył jednak, że wszyscy wstali bez oporu.

Potrzebowali trzydziestu minut, żeby przeciągnąć okręt za zakręt na szlaku. Musieli to zrobić wyłącznie siłą mięśni, ponieważ nie dało się użyć bloczków i liny do jednoczesnego podciągnięcia w górę i obrócenia kadłuba. Kiedy „Czapla” została ustawiona dziobem do następnego prostego odcinka drogi, Hal podszedł kawałek pod górę i znów znalazł punkty zaczepienia dla bloczków. Przeciągnął przez nie liny i opuścił w dół. Załoga ustawiła się przy linach, a Lydia i Edvin czekali przed dziobem, trzymając w pogotowiu drewniane rolki. Hal pochylił się, wziął linę i naprężył ją.

– Dobrze – powiedział. – Ciągnąć!

Po chwili niepewności, w której wydawało się, że statek nie ruszy z miejsca, pokonali siłę bezwładności i „Czapla” znowu zaczęła wjeżdżać pod górę.

Ich postępy można było mierzyć w centymetrach. Ze spuszczonej głowami i oczami utkwionymi w ziemię pod stopami ciągnęli liny, czując, że statek powoli, straszliwie powoli porusza się w górę stromym szlakiem. Rolki hurgotały pod kilem, a pusty kadłub wzmacniał dźwięk jak pudło rezonansowe. Świat zawęził się do turkotu rolek trących o deski, skrzywienia naprężonych lin i bloczków oraz stęknęć towarzyszy walczących z ciężarem okrętu, zmuszających go, by wspinał się coraz wyżej, i przeklinających go za upór i złą wolę.

Hal pochylał się niemal równoległe do ziemi, ciągnąc naprężoną linę, i wkładał całą swoją siłę, by pokonać choćby najmniejszy skrawek drogi. Pomyślał cierpko, że gdyby w pobliżu znajdowali się jacyś Temudżeini, mogliby po prostu tu podejść i wymordować zajętą swoim ciężkim zadaniem załogę „Czapli”.

– A my pewnie nawet nie przestalibyśmy jej ciągnąć – mruknął pod nosem, nie zauważając nawet, że powiedział to na głos.

Znajdujący się po drugiej stronie kadłuba Stig usłyszał go, ale nie zrozumiał słów.

– O co chodzi? – syknął przez zaciśnięte zęby.

Hal potrząsnął głową.

– Nic ważnego – rzucił ochryple. Wyczuł, że Lydia przebiega obok niego, żeby podłożyć rolkę pod dziób. Najprawdopodobniej pilnuje, żeby nie zostali zaskoczeni. Pokręcił głową. Nie obchodziło go to w gruncie rzeczy i nie zamierzał marnować oddechu, żeby ją zapytać.

Ten odcinek był dłuższy od pierwszego, więc musieli zatrzymać się w dwóch trzecich drogi, żeby Hal mógł zmienić punkt zaczepienia bloczków.

Tak jak poprzednio załoga padła na ziemię tam, gdzie stała. Hal pozwolił sobie na pięć minut odpoczynku, zanim ruszył pod górę z bloczkami i linami.

Potem zaczęli od nowa, a Edwin i Lydia pomogli im w ruszeniu okrętu z miejsca.

Ponownie zaczęli się trudzić nużącym ciągnięciem lin, mierzeniem pokonanej odległości w centymetrach i walką z ciężarem opornego statku.

Hal zastanawiał się, jakim cudem „Czapla” kiedykolwiek mogła mu się wydawać lekką jednostką. Oczywiście na wodzie była leciutka jak mewa, ale na lądzie okazała się ociężała i próbowała zsuwać się na boki przy każdej zmianie nachylenia szlaku.

Byli jednak wyćwiczeni i silni, mieli mięśnie wyrobione godzinami wiosłowania i zmagania się z morzem i wiatrem, więc w końcu dotarli do szczytu drugiego odcinka. Tym razem Hal kazał im przestawić okręt na pozycję na początku trzeciego i ostatniego fragmentu szlaku, zanim pozwolił na piętnastominutowy odpoczynek. Potem wzięli się do pracy. Jęczeli. Narzekali. Protestowali. Ale zajęli swoje miejsca i ciągnęli, podbudowani świadomością, że ten odcinek jest najkrótszy i że widać już kres harówki.

Zaczęli z samego rana, ale nastąpiło już wczesne popołudnie, gdy „Czapla” przesunęła się nad ostatnim wypiętrzeniem i znalazła na równym gruncie na szczycie wzgórza. Teraz przynieśli z dołu rejki, żagle i resztę ekwipunku, a potem zapakowali na nowo okręt, zwodowali go, wypłynęli na rzekę i zasiedli do wiosł. Po dwóch kilometrach dotarli do miejsca drugiej przenoski i od nowa zaczęli cały rytuał rozładowywania, ciągnięcia i wleczenia.

Na szczęście druga przenoska była krótsza od pierwszej i nie miała zakrętów, więc pokonali ją znacznie szybciej. Powiosłowali do ostatniego miejsca, gdzie przenoska była jeszcze krótsza i nie tak stroma, jak poprzednie. Jednakże powtarzalność tego zadania stawała się irytująca, szczególnie teraz, gdy byli już zmęczeni. Kiedy tylko zwodowali okręt po raz trzeci i przycumowali go do brzegu, Stig odchylił się do tyłu, ugniatając kciukami okolicę krzyża.

– Cieszę się, że już po wszystkim – rzekł.

Hal popatrzył na niebo i oszacował, że do zmierzchu została niecała godzina.

– Załadujemy wszystko z samego rana – oznajmił. – Chyba zasłużyliśmy na odpoczynek.

– Ja na pewno zasłużyłem – zgodził się z całego serca Stig. – A ty, Jesperze?

Jesper zdążył się już wyciągnąć w trawie, a jego jedyną odpowiedzią było ciche chrapnięcie.

Stig uśmiechnął się do Hala.

– Chyba też się zgadza – powiedział.



## Rozdział 14



**N**astępnego dnia Hal pozwolił załodze się wyspać, aż w końcu Edvin obudził ich sutym śniadaniem złożonym z bekonu, przypieczonych podpłomyków i jajek. Przed opuszczeniem Hallasholm uzupełnili zapasy, więc mieli świeże jajka – luksus, który rzadko się zdarzał, gdy byli na morzu.

Tak jak zwykle popili posiłek gorącą słodzoną kawą. Thorn, siedząc po turecku na ziemi, popatrzył z uznaniem na swój drugi kubek.

– To świetny pomysł dodawać miód do kawy – powiedział do Hala. – Jak na to wpadłeś?

– Nauczyłem się tego od zwiadowcy Gilana, kiedy popłynął z nami do Socorro – wyjaśnił Hal.

Podniósł swój kubek, kiedy Edvin mijał go z wielkim dzbankiem kawy, i poprosił o dolewkę. Nie dokładał miodu, ponieważ wlał go sporo do pierwszej porcji, a resztką napoju była nadal bardzo słodka. Wypił łyk wonnego naparu i rozciągnął zeszywniałe mięśnie ramion i rąk. Wiedział, że kiedy wstanie, jego uda i łydki zaczną gwałtownie protestować po wysiłku poprzedniego dnia, szybko jednak się rozluźnią. Z żalem rozejrzał się po niewielkim obozie.

– No dobrze, chłopcy, trzeba załadować statek.

Rozległ się chór pogodnych narzekań, w którym jak zwykle przodował Jesper, ale drużyna podniosła się sztywno i wzięła do pracy. Zapakowali pozostałe zapasy jedzenia (Edvin i Hal postanowili zostawić większość przy miejscu pierwszej przenoski), a także broń i wyposażenie. Wiosła

z powrotem spoczęły na stojakach wzdłuż kadłuba. Stefan, Jesper, Ulf i Wulf zanieśli na pokład obie rejki i żagle, a potem zajęli się ich mocowaniem.

Lydia od dawna wiedziała, że robotę polegającą na załadunku statku najlepiej pozostawić jego załodze.

– Każdy z nas ma rzeczy, za które jest odpowiedzialny – wyjaśnił jej Stig. – Dzięki temu mamy pewność, że wszystko znalazło się na pokładzie.

Dziewczyna przyjęła jego słowa z wdzięcznością. Nie miała ochoty podnosić i taszczyć ciężkich przedmiotów na ich miejsca, a potem układać i przywiązywać tak, by nie przesunęły się nawet pod wpływem kołysania i chybotania łodzi na morzu. Przez ten czas wyprawiła się na zwiady w górę rzeki, żeby sprawdzić teren w odległości mniej więcej pół kilometra. Kiedy wróciła, załoga właśnie spychała obciążony okręt na wodę.

Hal przyglądał się „Czapli” krytycznie okiem eksperta, by mieć pewność, że ładunek jest dobrze rozłożony. Wskazał dwie duże beczki solonej wieprzowiny, ustawione na śródokręciu.

– Przesuńcie jedną z nich kilka metrów w stronę rufy – polecił Thornowi i Stigowi.

Wywołani przechylili beczkę na bok i poturlali ją po pokładzie na wskazane miejsce. Skirl machnięciem ręki pokazał, żeby przeszli dalej.

– Jeszcze trochę – powiedział, aż w końcu podniósł rękę, żeby ich zatrzymać. – Właśnie tutaj.

Dziób statku znajdował się odrobinę niżej niż reszta, więc przeniesienie ciężaru rozwiązało ten problem. Hal odwrócił się do Edvina.

– Zacznij od tej beczki na śródokręciu – rzekł. Beczka znajdowała się praktycznie na środku kadłuba, więc jej zmniejszająca się waga nie powinna mieć większego wpływu na ogólne rozłokowanie ładunku. Hal przeszedł się po brzegu, od czasu do czasu przykucając, by przyjrzeć się okrętowi. „Czapla” była odrobinę za płytko zanurzona, ale to się powinno wyrównać, kiedy załoga znajdzie się na pokładzie i kiedy napełnią zbiornik z wodą pitną. Skirl z zadowoleniem skinął głową i machnął dłonią na swoją drużynę, dając znać, że czas wchodzić na pokład i zajmować miejsca przy wiosłach. Zauważył, że Lydia czeka na możliwość złożenia raportu, więc podszedł do niej.

– Coś widziałaś? – zapytał.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Ani śladu Temudżeinów. Las staje się dalej rzadszy, a rzeka zaczyna się rozszerzać. Myślę, że niedługo będziesz mógł postawić żagle.

Lydia dostatecznie długo należała do załogi, żeby wiedzieć, ile miejsca potrzebuje okręt, by skutecznie halsować pod prąd.

Hal mruknął z zadowoleniem.

– Chłopcy się ucieszą na tę wiadomość. W dodatku wiatr się zmienił, więc nie trzeba będzie aż tyle halsować.

Wiatr, który wiał wczoraj ku morzu, w nocy zmienił kierunek i teraz wiał zdecydowanie od morza w stronę lądu, co oznaczało, że popychał od tyłu płynącą w górę rzeki „Czapłę”. Mimo wszystko musiałyby posuwać się zakosami od brzegu do brzegu, ale nie tak ostrymi, jak w przypadku, gdyby trzeba było się zmagać jednocześnie z wiatrem i prądem. Ponadto dobrą wiadomością było to, że wiatr przegnał śnieżne chmury, a dzień wstał jasny i pogodny.

Załoga podeszła do trapu łączącego porośnięty trawą brzeg rzeki z burta statku. Pojedynczo weszli na wąską kładkę i przebiegli po niej na pokład, a potem Jesper i Edvin wciągnęli trap za sobą i zabezpieczyli, podczas gdy Hal stanął za sterem.

– Dobra, chłopaki, do wiosła! – zawołał Stig. Wyznaczeni wiosłarze zajęli miejsca na ławkach i przygotowali wiosła, czemu towarzyszył klekot drewna ocierającego się o drewno.

Stig stanął przy burcie, by po raz ostatni rzucić okiem na obozowisko i upewnić się, że ogień został zgaszony, a oni niczego nie zostawili. Odwrócił się i skinął głową Halowi, a potem sam zajął miejsce na ławce.

– Odbijamy! – rozkazał Hal.

Jesper na dziobie, a Edvin na rufie zluźowali cumy przywiązane do drzew na brzegu. Uwolniona „Czapla” podryfowała w bok, spychana półwiatrem od strony bakburty.

– Odepchnąć z lewej! – rzucił Hal, a trzech wiosłarzy na bakburcie wykorzystali wiosła, by odepchnąć niewielki okręt od brzegu i skierować go w sam środek nurtu. Pod jego wpływem, przeciwnym do kierunku wiatru, dziób zaczął skręcać w prawo. – Wyrównać z prawej!

Trzy wiosła na sterburcie zanurzyły się w wodzie i zaczęły walczyć z prądem. Nierówny ruch sprawił, że dziób statku skręcił szybko w lewo.

– Lewa naprzód! – rozkazał Hal i teraz trzy pozostałe wiosła zanurzyły się i wyrównały kurs okrętu. „Czapla” ruszyła w górę rzeki, oddalając się od brzegu pod łagodnym kątem. Hal poruszył sterem, by skierować okręt



bliżej brzegu. Wiedział, że na środku nurt będzie znacznie silniejszy. „Czapla” wyrównała kurs, wiosła złapały naturalny rytm i zaczęły popychać ją gładko po wodzie. Małe falki pluskały o kadłub, a z przodu, w miejscu, gdzie stewa dziobowa cięła wodę, wypiętrzyła się nieduża fala.

Hal uśmiechnął się do Wulfa siedzącego przy środkowym wiosle na bakburcie.

– To lepsze niż ciągnięcie jej pod górę – zauważył.

Wulf przechylił z namysłem głowę, nie gubiąc rytmu wiosłowania.

– Pewnie dla ciebie – odpowiedział. – Ty się tylko podpierasz sterem przez cały dzień.

Uśmiechał się, kiedy to mówił, tak że było jasne, iż w jego słowach nie ma cienia prawdziwej niechęci. Hal odwzajemnił uśmiech, a potem spojrział przed siebie. Tak jak zapowiedziała Lydia, rzeka stawała się coraz szersza. Odległość między brzegami miała w tym miejscu jakieś pięćdziesiąt metrów, a dalej było jeszcze szerzej. To nie tylko umożliwiało użycie żagli, ale także sprawiało, że prąd stał się słabszy; wcześniej nurt płynął szybciej w miejscach, gdzie koryto ograniczały skaliste brzegi.

Po jeszcze kilku minutach Hal spojrział na Ulfa i skinął głową w stronę masztu.

– Postawmy żagiel – powiedział.

Doskonale wyszkolona załoga potrzebowała zaledwie kilku minut, by przygotować żagiel i wciągnąć go na maszt.

Ulf i Wulf wybrali szoty i opanowali wydęty żagiel w taki sposób, aż utworzył gładką krzywiznę wypełnioną wiatrem. Hal poczuł znajomy dodatkowy napór na ster, „Czapla” przyspieszyła, a bębnienie falek o kadłub stało się szybsze.

– Będziemy musieli zrobić zwrot za jakieś dziesięć minut – zwrócił się do Stiga, ale poprawił się zaraz, ponieważ zauważył, że, zgodnie z zapowiedzią Lydie, brzegi rzeki szybko się od siebie oddalają. – Albo raczej za dwadzieścia.

Hal przyglądał się gładkiej powierzchni rzeki, oceniając szybkość nurtu po przepływających koło nich drobnych gałązkach. Woda niemal na całej szerokości rzecznej koryta była głęboka, więc mógł utrzymać obecny kurs, dopóki nie dotrą pod zachodni brzeg.

– Przygotować się do zwrotu! – zawołał trochę później, gdy uznał, że są w odpowiednim miejscu. Przesunął ster i dziób skręcił w lewo. Ulf i Wulf poluzowali szoty, a żagiel wydał się pod kątem prawie dziewięćdziesięciu

stopni do kadłuba pod naporem wiejącego z tyłu wiatru. Potem wybrali szoty, by zwiększyć prędkość. Hal poczuł, że okręt przyspiesza.

Żeglowali dalej tym samym halsem, posuwając się serią zygzaków w górę rzeki, która stawiała się coraz szersza. Coraz rzadziej musieli robić zwroty, co znacznie przyspieszało ich podróż.

Jesper jak zwykle siedział na dziobie na oku. Po południu zawołał nagle do Hala:

– Coś jest przed nami!

Hal zmarszczył brwi. Tak ogólnikowe określenie było niepodobne do Jespera. „Coś jest przed nami” mogło oznaczać wszystko, od Wielkiego Błękitnego Żółwia z Tarantas aż po aktywny wulkan plujący lawą.

– Co takiego?! – krzyknął w odpowiedzi.

Jesper wahał się przez chwilę.

– Rzeka staje się znacznie, znacznie szersza – odpowiedział w końcu. – I chyba widzę linię przyboju.

Linia przyboju tak daleko w głębi łądu? Hal uznał, że to chyba pomyłka, ale Jesper odezwał się znowu.

– Tak, to linia przyboju, od strony bakburty. Za nią widzę otwartą wodę.

Hal spojrzał na Stiga, dał mu znać, by przejął ster, i podbiegł na dziób. Machnął na Jespera ręką, nakazując mu zejść z oka, i sam pospiesznie zajął jego miejsce. Osłonił dłonią oczy, by ochronić je przed blaskiem zniżającego się słońca.

Rzeczywiście, zobaczył linię grzywaczy wchodzącą na jakieś dwadzieścia metrów w głąb rzeki. Dalej rozciągała się ogromna tafla szarej wody. Hal odwrócił się.

– Steruj trochę na sterburtę! – zawołał. Zaczekał, aż nowy kąt pozwoli ominąć bezpiecznie linię przyboju, po czym podniósł rękę, żeby dać znać, że wystarczy. Statek wyrównał kurs. Fale najwyraźniej załamywały się na mieliźnie utworzonej z piachu i mułu naniesionego przez nurt i gromadzącego się na płyciźnie rzeki. Hal słyszał ich szum, kiedy „Czapla” je mijała, a potem, popychana wiatrem, wypłynęła na szerokie wody ogromnego jeziora.



## Rozdział 15



**R**ozległ się chór zdumionych okrzyków, gdy załoga zobaczyła rozmiary jeziora. Wschodni brzeg znajdował się dobre trzy kilometry od ich obecnej pozycji i ciągnął się na północ, znikając w oddali we mgle. Po lewej stronie brzeg tworzył łuk w kierunku zachodnim i także ciągnął się, jak okiem sięgnąć. Hał oszacował, że w najdalszym miejscu, które widzi, jezioro ma jakieś siedem czy osiem kilometrów szerokości, a jego brzegi oddalały się od siebie, aż w końcu przestawały być widoczne z powodu odległości.

Stig stanął koło przyglądającego się jezioru skirla.

– Bardziej przypomina morze w środku lądu – zauważył.

Hał skinął głową.

– Dzięki temu będziemy mieć trochę większą przestrzeń do manewru – powiedział. Nie czuł się przytłoczony bezkresem jeziora. Przeciwnie, odczuwał lekką ulgę. Żeglowanie w górę rzeki przez tereny, które mogą okazać się zajęte przez wroga, sprawiało, że miał wrażenie osaczenia i przecucie, że gdyby coś poszło nie tak, ucieczka byłaby niezwykle trudna. Tutaj było mnóstwo miejsca, które pozwalało bezpiecznie zniknąć przeciwnikowi z oczu.

Załoga stłoczyła się przy nadburciu i wpatrywała się w brzegi po obu stronach. Nawet Kluf była zainteresowana – zawsze czekała niecierpliwie, kiedy będzie mogła zejść na ląd. Stała teraz na tylnych łapach, opierając się przednimi o reling sterburty, odchyliła łeb do tyłu, a jej nozdrza drgały, gdy węszyła, wychwytyjąc i zapamiętując obce zapachy.

Powierzchnia jeziora bliżej nich była usiana wysepkami – zbyt małymi, by zasługiwać na szczególną uwagę. Większość była niewiele dłuższa niż sam okręt i porośnięta pojedynczymi drzewami i niskimi krzakami. Jednakże trochę dalej, jakiś kilometr od wschodniego brzegu, Hal dostrzegł większe wypiętrzenie. Odruchowo skierował okręt na tę stronę jeziora, ponieważ doszedł do wniosku, że tam właśnie mogą zobaczyć Temudżeinów – jeśli jacyś znajdowali się w pobliżu. Ich ziemie rozciągały się na wschodzie, więc logicznym założeniem było, że przybędą z tego kierunku.

O ile w ogóle mają tu przybyć.

Teraz, gdy znaleźli się na otwartej tafli jeziora, rześki wiatr marszczył wodę, tworząc krótkie, poszarpane fale o wysokości może jednego metra. Uderzały „Czapłę” po skosie od strony sterburty, unosząc jej rufę i przechylając ją na bakburtę, a potem przechodziły pod spodem, pozwalając, by przechyliła się i zakołysała w drugą stronę. Te krótkie, szarpane ruchy nie były szczególnie przyjemne. Trzeba było się trzymać czegoś – fała, wanty albo samego relingu – żeby nie chwiać się razem z okrętem. Stojący na oku Jesper uczeplił się oburącz stewy dziobowej i ugiął nogi w kolanach, by amortyzować gwałtowne drgania. To było męczące, więc Hal zanotował w pamięci, że trzeba go będzie niedługo zmienić.

Ale jeszcze nie teraz. Znaleźli się na nieznanym terenie, gdzie w każdej chwili mógł się pojawić wróg. Hal chciał, by na wszelki wypadek na dziobie znajdował się najlepszy obserwator.

– Niedługo cię zmienimy, Jes! – zawołał przez całą długość pokładu.

Jesper machnął ręką na znak, że usłyszał, a potem pospiesznie złapał się znowu stewy, gdy okrętem szarpnęło w nieprzewidziany sposób.

– Na razie nie trzeba, Halu – odparł.

Hal skinął głową z wdzięcznością. Jesper bywał trudnym do zniesienia utrapieniem, ale rozumiał znaczenie dobrego obserwatora w takich okolicznościach jak obecne i można było mu ufać. Na pewno będzie wykonywał swoją pracę, nie dając się niczym rozproszyć.

Wiara Hala w umiejętności swojego obserwatora znalazła potwierdzenie kilka minut później, gdy Jesper nagle zeszywniał i przyjrzał się wschodniemu brzegowi z przodu przed statkiem.

– Jeźdźcy! – zawołał. Objął lewym ramieniem stewę dziobową, żeby utrzymać się na miejscu, kiedy prawą ręką wskazał punkt po stronie

sterburty, czterdzieści pięć stopni od dziobu „Czapli”. – Jest ich dwunastu!

Statek szedł w tym momencie prawym halsem, a żagiel wydymał się w lewo, więc Hal miał prawie niezastłonięty widok w kierunku wskazywanym przez Jespera. Po kilku sekundach dostrzegł ruch. Była to konna grupa jadąca w zastępie w stronę jeziora. Przemieszczała się na południowy zachód i znajdowała się obecnie jakieś pół kilometra od brzegu. Hal z takiej odległości nie był w stanie dostrzec szczegółów ubrania i ekwipunku, ale to musieli być Temudżeini.

Zareagował instynktownie serią rozkazów.

– Opuścić żagiel! Niech nikt się nie pokazuje. Żadnych hałasów. Żadnych ruchów.

Istniały spore szanse, że jeźdźcy nie zauważyli jeszcze niedużego okrętu. Ale im dłużej był podniesiony jasnoszary żagiel, który z odległości wydawałby się biały, tym większe było ryzyko, że zostaną wypatrzeni. Hal usłyszał, że żagiel opada na pokład z cichym szelestem i klekotem luzowanych przez Stefana i Edvina fałów. Płótno łopotało przez chwilę na pokładzie, aż Ulf i Wulf zaradzili temu, przeczołgując się po prostu na śródkręcie i kładąc się na żaglu.

Jesper ześlizgnął się szybko z oka i przykucnął za nadburciem przy dziobie, wyglądając ostrożnie ponad drewnianym relingiem. Reszta załogi położyła się między ławkami wioślarskimi. Byli zbyt zdyscyplinowani, by pozwolić sobie na błąd wychylenia się ponad nadburcie, by spojrzeć na Temudżeinów. Wiedzieli, że jasne twarze są doskonale widoczne nawet z dużej odległości.

W tym momencie było dość prawdopodobne, że szarozielony kadłub „Czapli” będzie się wtapiał w szarawą taflę wody i okręt pozostanie niezauważony – szczególnie że nie było powodów, dla których jeźdźcy mieliby przyglądać się jezioru. Hal przekonywał sam siebie, że będą raczej wypatrywać niebezpieczeństwa na brzegu.

On sam przykucnął za nadburciem przy sterze. Podobnie jak Jesper, wyglądał ostrożnie ponad wypolerowanym drewnianym relingiem. Trzymał mocno ster, żeby nie obijał się na obie strony pod wpływem szarpiących nim fal – chociaż ten odgłos raczej nie byłby na tyle słyszalny, by zaalarmować jeźdźców na brzegu.

Hal pamiętał jednak, że dźwięk dobrze niesie się po wodzie, więc nie zaszkodziło ograniczać go do minimum. Temudżeini nie mieliby żadnej szansy ich zaatakować – „Czapla” znajdowała się daleko poza zasięgiem

strzały z łuku. Jednakże Hal nie chciał, żeby wrogowie wiedzieli o ich obecności na jeziorze.

Zdawał sobie sprawę, że jego załoga zastanawia się, co się dzieje, ponieważ wszyscy trzymali opuszczone głowy i nie widzieli nic poza wewnętrzną stroną nadburcia. Zaczął opisywać działania jeźdźców, mówiąc przyciszonym, ale wyraźnym głosem.

– Jadą w stronę brzegu... na południowy zachód. Jeśli nie skręcą, znajdą się nad jeziorem jakieś dwieście metrów za naszą rufą.

Kiedy to mówił, podniósł głowę, żeby spojrzeć na wimpel na stwie rufowej. Powiewał pod kątem na lewo w stronę dziobu. Mieli szczęście – wiatr z tej strony sprawiał, że dryfująca „Czapla” oddalała się od wschodniego brzegu. Gdyby wiatr spychał ich na brzeg, sytuacja mogłaby się stać niebezpieczna. W takim wypadku musieliby zacząć wiosłować i zaryzykować, że zostaną zauważeni.

– Raczej nas nie zauważyli – kontynuował Hal. – Nie skręcili od momentu, kiedy zauważył ich Jes...

Hal urwał. Warto było informować załogę, co się dzieje, ale nie miało sensu gadać o nieistotnych szczegółach. Wystarczyło, że drużyna wiedziała, że Temudżeini się zbliżają, ale na razie nie zwrócili uwagi na nieduży okręt dryfujący po szarej tafli jeziora. Wysoka trawa, przez którą jechali wojownicy, sięgała do końskich łopatek. To dawało dziwaczne złudzenie, jakby unosili się na trawie tak, jak „Czapla” na wodzie.

– Są teraz na naszej wysokości. Od jeziora dzieli ich może sto metrów...

Kilku członków załogi spojrzało odruchowo na sterburkę, tak jakby mogli zobaczyć coś przez lite deski. Hal poczuł przypływ niepewności, gdy przypomniał sobie tarcze wiszące wzdłuż burty. W odróżnieniu od szarawego kadłuba były pomalowane na różne kolory i mogły zwrócić uwagę, gdyby któryś jeździec spojrzał w ich stronę. Największe zagrożenie stanowiła osobista tarcza Hala, pomalowana intensywnie niebieską emalią. Skirl zerknął na słońce. Wystarczyłby jeden promień odbijający się od metalowych okuć, żeby jeźdźcy ich zauważyli. Jednakże było już popołudnie, a słońce chyliło się ku zachodowi po drugiej stronie statku. Nie było mowy, żeby błysk jego światła mógł się odbić od jednej z tarcz.

Wydawało się, że na razie nie zwrócili na siebie uwagi patrolu. Hal zapisał w pamięci, żeby przenieść tarcze na pokład, kiedy tylko to będzie możliwe.

Zza wody dobiegł do niego przyciszony rozkaz. Serce podeszło mu do gardła, gdy zastęp konnych się zatrzymał. Czy zauważyli „Czapłę”?

Hal wstrzymywał powietrze przez kilka sekund – był to odruch, całkowicie bezużyteczny, ponieważ Temudżeini nie mogli usłyszeć jego oddechu. Zobaczył, że dowódca patrolu unosi się w strzemionach i spogląda wzdłuż brzegu, a potem na jezioro, osłaniając oczy dłonią.

– Zatrzymali się – powiedział do załogi. – Ale nie zauważyli nas. Dowódca patrzy na jezioro, ale nie na nas. Niech nikt się nie rusza.

Zdawał sobie sprawę, że w tym momencie niebezpieczeństwo jest największe. Ponieważ jeźdźcy zatrzymali się, żeby ich dowódca mógł się przyjrzeć brzegom jeziora po stronie południowej, istniało duże ryzyko, że ktoś z pozostałych żołnierzy zacznie się rozglądać – i zauważy niewielki okręt, dryfujący w odległości zaledwie dwustu metrów.

Dowódca patrolu usiadł z powrotem w siodle, podniósł wysoko rękę i zatoczył nią koło. Do Hala dotarł kolejny przytłumiony przez odległość rozkaz, a patrol ruszył dalej, zataczając szeroki łuk, aż zawrócił w stronę, z której przyjechał. Hal odetchnął z ulgą, uświadamiając sobie, że nawet nie zauważył do tej chwili, iż wstrzymuje oddech.

– Oddalają się – poinformował załogę. – Nie ruszajcie się jeszcze przez kilka minut, dopóki nie znikną nam z oczu.

Słumiony stukot kopyt na miękkiej ziemi stopniowo się oddalał. Zastęp zniknął galopem za grzbietem niewysokiego wzgórza. Hal policzył powoli do dziesięciu, żeby mieć pewność, że nie pojawią się nieoczekiwane z powrotem.

– Wracajcie na pozycje. Podnosimy żagiel.

Niewielki okręt ożył, gdy załoga podniosła się z miejsc, w których się ukrywała. Jesper przeszedł pod maszt, żeby pomóc Stefanowi w stawianiu żagla, podczas gdy Ulf i Wulf zajęli się szotami. Rejka z klekotem wskoczyła na miejsce, a okręt zadrżał i zaczął ciąć fale, nabierając prędkości. Hal przesunął ster tak, żeby skierować „Czapłę” na środek jeziora, dalej od brzegu. Stig i Thorn podeszli do niego.

– Co, u diabła, oni tam robili? – zastanawiał się na głos Hal. – Jesteśmy wiele kilometrów od przejścia w Wężowym Przesmyku. Musieli przejechać kawał drogi, żeby się tu znaleźć.

– Był ich tylko tuzin – przypomniał Stig.

Jednakże Thorn miał inne zdanie.

– Na pewno jest ich więcej. Oni nie podróżują w tak małych oddziałach.  
– Popatrz na Hala. – Odpowiedź na twoje pytanie brzmi: być może wpadli na ten sam pomysł, co Erak. Ostatecznie umieją czytać mapy równie dobrze, jak my.

– Chcesz powiedzieć, że sprawdzają, czy nie uda im się zejść na wybrzeże Doliny Lodowej Rzeki? – zapytał Stig.

– Skoro nam udało się nią wpłynąć aż tutaj, oni z pewnością zdołają nią zejść – odparł Thorn. – My natomiast musimy znaleźć sposób, żeby ich powstrzymać.

Hal zastanowił się przez chwilę, zanim się odezwał.

– Być może wyciągamy pochopne wnioski – powiedział. – Musimy zaszyć się tutaj na kilka dni i mieć na nich oko, żeby sprawdzić, co planują.

– A niby gdzie mielibyśmy się „zaszyć” na te kilka dni? – zastanowił się Stig, przyglądając się linii brzegowej. – Na brzegu nie ma zbyt wielu miejsc pozwalających się ukryć.

– Niekoniecznie na brzegu. – Hal wskazał sporą wyspę, którą wcześniej zauważył. – To może być miejsce, jakiego potrzebujemy.





## Rozdział 16



**W**yspa miała najwyżej sześćset metrów długości i dwieście szerokości. W odróżnieniu od brzegów jeziora porastały ją gęsto drzewa, stosunkowo niskie, ale rozłożyste. Byłaby doskonałą kryjówką, gdyby tylko udało im się schować gdzieś także sam okręt.

Kiedy podpłynęli bliżej, Hal polecił załodze zwinąć żagle i znowu sięść do wiosł. Skierował okręt bliżej wyspy, żeby przyjrzeć się jej uważnie. Brzegi opadały stromo, a drzewa rosły niemal do samej linii wody. Po wschodniej stronie nie było miejsca, gdzie dałoby się przycumować lub ukryć.

Zawrócili za północnym cyplem i podpłynęli do wyspy od zachodu. Brzegi wyglądały tutaj podobnie, chociaż Hal doszedł do wniosku, że w ostateczności udałoby im się przybić i zasłonić statek sieciami i gałęziami. Raczej mało prawdopodobne, by Temudżeini pojawili się na zachodnim brzegu jeziora, a tak czy inaczej tamten brzeg znajdował się znacznie dalej, tworząc szarozieloną linię na horyzoncie.

Uznał właśnie, że to najlepsza decyzja, jaką mógłby podjąć, kiedy Lydia wskazała punkt na brzegu wyspy, po skosie za rufą statku.

– Spójrz tam! – zawołała.

Hal obejrzał się przez ramię i zobaczył ujście niewielkiej zatoczki – szerokiej zaledwie na półtorej szerokości „Czapli”. Widać było co najmniej piętnastometrowy kanał wchodzący w głąb lądu, pod drzewami. Wprost idealna kryjówka dla okrętu – o ile tylko woda była wystarczająco głęboka. Hal nie zauważył tego miejsca, kiedy przepływał obok, ponieważ było

widoczne tylko pod kątem, od jednej strony – dzięki temu właśnie zobaczyła je Lydia. Skinął głową, żeby jej podziękować, i przesunął ster; zamierzał zatoczyć koło i skierować „Czapłę” do niedużej zatoki.

– Powoli – ostrzegł swoich wiosłarzy. Nie chciał, żeby podpływali tam na pełnej szybkości.

Okręt stopniowo zaczął zwalniać, aż w końcu dosłownie pełził po wodzie.

– Jes! – zawołał Hal. – Kiedy będziemy wpływać, miej oko na głębokość.

Jesper, nadal siedzący na oku, machnął ręką, żeby potwierdzić przyjęcie rozkazu. „Czapla” posuwała się naprzód tak wolno, jak było to możliwe, żeby nie utracić sterowności. Jesper wychylił się do przodu, przyglądał się wodzie i wypatrywał jakichkolwiek oznak płycizny. Zatoczył ręką łuk, dając Halowi znać, że można płynąć.

„Czapla” powoli i ostrożnie wsunęła się w wąski przesmyk pod drzewami. Byli teraz osłonięci od wiatru, więc poszarpane falki ustąpiły miejsca gładkiej tafli wody. Zewnętrzne dźwięki ucichły, gdy płynęli wolniutko wśród drzew. Hal zobaczył, że jakieś czterdzieści metrów przed nimi zatoczka kończy się splątanymi trzcinami i krzakami. Uznał, że są już dostatecznie daleko – okręt na całej długości schronił się w przesmyku.

– Wiosła stop – dał komendę. Pod osłoną drzew nie musiał nawet podnosić głosu.

Regularne, przytłumione pluśnięcia wiosel ucichły, gdy wiosłarze przestali nimi poruszać.

– Wciągnąć wiosła.

Tak jak zawsze wiosła zaklekotały o dulki, a potem o stojaki, gdy załoga wciągnęła je na pokład i umocowała na miejscach. „Czapla” zatrzymała się niemal natychmiast – zresztą już wcześniej ledwie się poruszała.

– Zacumuj ją, Stigu – polecił Hal.

Stig wziął cumę rufową, szybko przywiązał do niej niewielki hak, a potem rzucił go znad głowy na brzeg, pomiędzy gęste drzewa i krzaki. Jesper zszedł ze swojego posterunku i zrobił to samo z cumą dziobową. Obaj zaczęli równymi pociągnięciami rąk wybierać liny, żeby przyciągnąć statek bliżej do brzegu, a potem zawiązali je, gdy odległość pomiędzy kadłubem a stałym łodem wynosiła zaledwie metr.

Stig wysunął i oparł o ziemię wąski trap. Musiał go wepchnąć siłą w podrost i popchnąć, żeby trzymał się odpowiednio stabilnie. Następnie rozejrzał się po zasłaniających ich drzewach.

– Czy mamy założyć sieci? – zapytał. Chodziło mu o sieci rybackie, do których przywiązano nieregularne paski i strzępki zielonej i szarej tkaniny. Zarzucone na statek pozwalały zamaskować jego kształt i sprawiały, że postronny obserwator nie mógł go tak łatwo zauważyć. Hal zastanowił się nad pytaniem, ale pokręcił głową.

– Jesteśmy tu bardzo dobrze ukryci – odparł. – Rozłóżmy obóz na brzegu. Równie dobrze możemy się wygodnie wyspać.

Stig skinął głową. Mogli oczywiście spać na statku, ale wygodniej im było, gdy rozstawiali wielki namiot i rozkładali koce na miękkiej ziemi zamiast na twardych deskach pokładu „Czapli”. Wydał rozkazy reszcie załogi, która zaczęła wyładowywać ekwipunek potrzebny do rozłożenia obozu.

Hal zauważył, że Edvin czeka obok z jakąś pilną sprawą. Skinął głową, zachęcając młodzieńca do mówienia.

– Wydaje mi się, że mogę rozpalić ognisko do gotowania – powiedział Edvin. – Postaram się, żeby drewno było suche i dawało jak najmniej dymu. Zresztą i tak powinien się rozproszyć pod drzewami.

Hal przemyślał tę propozycję.

– A co z zapachem dymu? – zapytał.

Edvin wzruszył ramionami.

– Jesteśmy daleko od brzegu, a wiatr wieje na północny zachód. Powinien iść w drugą stronę.

– Poza tym – wtrąciła z uśmiechem Lydia – Temudżeini chyba nie wyczują niczego przez tę swoją uroczą perfumę z potu i końskiego nawozu. Nie są szczególnie wydelikaceni – dodała, przypominając sobie, jak zwróciła uwagę na ich obecność w dolinie na północ od Fortu Ragnak.

Hal wiedział, że częściowo żartowała, ale wiedział też, że jest doświadczoną tropicielką i łowczynią. Jeśli uważała, że nie grozi im wykrycie z powodu dymu, takie zapewnienie mu wystarczało. Skinął głową.

– Niech będzie, Edvinie. Rozpal ogień. Dobrze będzie napić się kawy. – Hal poczuł, że ślinka cieknie mu do ust na samą myśl. Odwrócił się i zobaczył czekającego Thorna, który domyślał się już następnego posunięcia swojego skirla.

– Chodź ze mną, Thornie. Rzucimy okiem na wschodni brzeg i zobaczymy, co tam się kroi.

Pozostawili załodze zadanie rozłożenia obozu i zagłębili się w gęstym podroście pod drzewami. Nie widzieli żadnych ścieżek – najwyraźniej wyspa nie była zamieszkała ani przez ludzi, ani przez zwierzęta. Od czasu do czasu używali ostrych jak brzytwa saks, żeby wyciąć sobie drogę przez krzewy i pnącza, które czepiały się ich i przytrzymywały w miejscu.

Mimo to nie potrzebowali wiele czasu, by dotrzeć na przeciwległy brzeg wyspy. Przykucnęli między drzewami, ukryci w cieniu, i obserwowali wschodni brzeg jeziora.

– Niczego nie widać – odezwał się Thorn.

Hal skrzywił się tylko.

– Przynajmniej na razie. Poczekajmy trochę.

Thorn skinął głową i usiadł na ziemi, opierając się plecami o pień młodego drzewa. Zerwał długie źdźbło, które zaczął żuć z namysłem.

– Spodziewasz się czegoś konkretnego? – zapytał po kilku minutach.

Hal wzruszył ramionami, wybrał sobie kępę miękkiej trawy i także rozsiadł się wygodnie na ziemi.

– Myślę, że skoro wcześniej widzieliśmy temudżeiński patrol, to prawdopodobnie zobaczymy ich więcej, rozpoznających teren. Z tego, co mówiłeś, wynika, że są nieźle zorganizowani. Nie pojawią się tutaj w większej liczbie bez odpowiedniego rekonesansu. Mam wrażenie, że chcą sprawdzić, co na nich czeka.

– A zamierzają się tu pojawić? – zapytał Thorn.

Hal zastanowił się nad odpowiedzią.

– Obawiam się, że nie możemy tego wykluczyć. Myślę, że szukają innej drogi na wybrzeże, a to może być prawdopodobna trasa. Tak czy inaczej za dzień lub dwa powinniśmy wiedzieć więcej. Jeśli ich już nie zobaczymy, przyjmujemy, że się myliłem, i popłyniemy z powrotem.

– To by było miłe – przyznał Thorn. – Ale pewnie masz jednak rację. Popatrz.

Wskazał hakiem kierunek, a kiedy Hal spojrział w tę stronę, zobaczył ruch w wysokich trawach na wschodnim brzegu. Zza niskiego wzgórza wyłonił się zastęp jeźdźców. Trawa sięgała ich wierzchowcom aż do brzuchów, dając podobnie jak wcześniej złudzenie, że unoszą się ponad nią.

– Czy to ci sami, co poprzednio? – zapytał Thorn. Trudno było odróżnić jedną grupę Temudżeinów od drugiej. Ubierali się podobnie, nosili taką samą broń i mieli takie same symbole – końskie ogony przymocowane na czubku włóczni.

– Wydaje mi się, że to inny oddział – powiedział Hal. – Dowódca poprzedniego miał karego konia. Ten ma brązowo-białego.

– Może to ten sam człowiek, tylko zmienił konie – podsunął Thorn.

Hal skinął głową.

– Nie da się tego wykluczyć.

Przez kilka minut prowadzili w milczeniu obserwacje, aż w końcu Thorn odezwał się znowu.

– Patrolują inny fragment.

Hal uświadomił sobie, że starszy wojownik ma rację. Poprzedni oddział podjechał po skosie do jeziora, a potem zawrócił na południe. Ci jeźdźcy trzymali się bardziej w głębi łądy i przeczesywali teren równolegle do jeziora.

– Jedno się powtarza – zauważył Hal. – Przyjechali ze wschodu i interesują ich tereny na południu. Jeśli inne oddziały też będą tak robić, zacznę mnie to niepokoić.

– Może po prostu szukają drogi wokół jeziora? – podsunął Thorn. – Może chcą jechać dalej na zachód.

– Może – odparł Hal, ale bez cienia przekonania w głosie.

Zostali na miejscu jeszcze pół godziny, ale temudżeińscy jeźdźcy już się nie pojawili. Oddział przejechał kawałek na południe, a potem zawrócił na wschód i zniknął im z oczu.

– Ustawimy warty i będziemy ich obserwować – zdecydował Hal. – Skoro widzieliśmy dwa patrole, spodziewam się, że pojawi się ich więcej. Chciałbym wiedzieć, ile i które tereny będą przeczesywać.

Wrócili drogą, którą przyszli. Zastali rozłożony i zorganizowany obóz, Edvin zaś przygotował już posiłek. Hal i Thorn sięgnęli po miski, z przyjemnością wachając unoszące się z nich aromaty.

– To zupa z ziemniaków i solonej wieprzowiny – poinformował ich kucharz. Wzruszył niepewnie ramionami. – Przepraszam, że wyszła trochę nijaka. Wygląda na to, że tu nie będziemy mieli na co polować. Na wyspie nic nie ma.

Hal zbył te przeprosiny machnięciem ręki i z apetytem zajął się jedzeniem stawy.

– Jest w porządku – ocenił. – Poza tym w jeziorze mogą być ryby.

Edvin rozpromienił się.

– To prawda. Zanim zrobi się ciemno, zastawię pułapki.

Hal popatrzył na drugą stronę niewielkiej polany, gdzie Stig i Lydia skończyli już posiłek i właśnie płukali miski i łyżki w miednicy z wrzątkiem.

– Stigu, Lydio! – zawołał, a oni odwrócili się od razu, słysząc jego głos. Hal ruchem głowy wskazał kierunek, w którym znajdował się wschodni brzeg jeziora. – Idźcie na drugą stronę i miejcie oko na brzeg.

Stig skinął głową, podniósł topór bojowy i przesunął jego trzonek przez żelazny pierścień, który miał przy pasie. Wyspa mogła być niezamieszкана, ale Stig nie ruszał się nigdzie bez swojego topora. Lydia miała podobną odruchową reakcję – zarzuciła na ramię kołczan ze strzałkami, zanim skierowała się na ścieżkę, którą Hal i Thorn wydeptali pomiędzy drzewami.

– Wypatrujemy czegoś konkretnego? – zapytała.

– Wypatrujecie Temudżeinów – poinformował ją Hal. – Przez ten czas, kiedy obserwowaliśmy z Thornem brzeg, widzieliśmy jeden patrol. To znaczy, że dzisiaj były co najmniej dwa, a to o dwa za dużo. Mam przeczucie, że robią rozpoznanie wzdłuż brzegu jeziora.

– To może być oczywiście zbieg okoliczności – powiedział Stig.

– Możliwe. A może zamierzają przyprowadzić tutaj całą armię. Jeśli tak, chciałbym o tym wiedzieć.

Kiedy Stig i Lydia znikali pomiędzy drzewami, Kluf zerwała się na łapy i w podskokach pobiegła za nimi. Chyba od ponad godziny leżała w obozie i chciała teraz zażyć trochę ruchu.

Stig obejrzał się pytająco na Hala.

– Czy Kluf może iść z nami?

Hal skinął głową.

– To całkiem dobry pomysł. Często słyszy albo wyczuwa węchem różne rzeczy na długo, zanim nam uda się je dostrzec. Nie wiem, na czym to polega, ale jest naprawdę niesamowita.

Lydia uśmiechnęła się.

– Cóż, ponieważ Temudżeini całe życie siedzą przy tych swoich ogniskach z końskiego nawozu, powiedziałabym, że Kluf będzie potrafiła ich wywęszyć.



## Rozdział 17



**P**rzez następne dwa dni prowadzili obserwacje wschodniego brzegu jeziora.

Pełnili wartę w parach, ukrywając się wśród drzew na brzegu wyspy i przyglądając się pofalowanej trawiastej równinie, która ciągnęła się po horyzont.

Było to nużące zadanie. Czasem czekali całe godziny, zanim zobaczyli jakichkolwiek Temudżeinów, więc łatwo było zdrzemnąć się przypadkiem, szczególnie że pogoda przez te dni była typowa dla wczesnej wiosny. Pomiedzy drzewami, dającymi osłonę przed stale wiejącym wiatrem, było wygodnie i przytulnie. Właśnie dlatego obserwacją zajmowały się jednocześnie dwie osoby, pilnujące się nawzajem, żeby nie zasnąć.

Ale pomiędzy tymi godzinami beczynności widzieli coraz więcej temudżeińskich patroli. Drugiego dnia pojawiły się trzy, a trzeciego jeszcze dwa. Wojownicy przemieszczali się w grupach po ośmiu lub dziesięciu. Dało się zauważyć, że przyglądali się ukształtowaniu terenu w pobliżu jeziora – być może wypatrywali potencjalnych zagrożeń, a może, tak jak obawiał się Hal, poszukiwali drogi prowadzącej z wyżyny na nadmorską równinę. Wszystkie patrole miały zbliżoną trasę. Wyłaniały się ze wschodu i skręcały na południe, czasem tuż przy brzegu, czasem bardziej w głębi lądu. Sądząc po czasie, na jaki znikwały im z oczu, każdego dnia zapuszczały się dalej na południe. Potem, po kilku godzinach, powracały i znowu skręcały na wschód – zawsze na wschód – po czym zmierzały w tym kierunku, dopóki nie zniknęły z oczu załodze „Czapli”.

– To jasne, że tam rozbili obóz – ocenił Thorn, kiedy trzeciego wieczoru omawiali zaobserwowane regularności. – Zawsze przyjeżdżają ze wschodu i wracają tam po skończonym zwiadzie.

Hal skinął potwierdzająco głową.

– Ciekawi mnie, jak duży jest ten obóz – powiedział i szturchnął żar w niewielkim ognisku młodą gałązką. – Czy to tylko rekonesans? Czy też znajduje się tutaj cała armia?

– Jeśli nie cała armia, to przynajmniej znaczące siły – zauważył Stig. – Widzieliśmy już czterdziestu czy pięćdziesięciu ludzi na patrolach i za każdym razem był to kto inny.

Hal polecił obserwatorom, by zwracali uwagę na cechy wyróżniające każdy patrol – wygląd konia dowódcy, nietypowo umaszczone wierzchowce, przykuwające uwagę elementy ubrania lub uzbrojenia. Chociaż z tej odległości zazwyczaj trudno było odróżniać poszczególnych ludzi, Czaple były praktycznie pewne, że widziały pięć patroli, czyli właśnie czterdziestu lub pięćdziesięciu wojowników, o których wspomniał teraz Stig.

– Muszą mimo wszystko znajdować się w sporej odległości – powiedziała Lydia. Była czwartą członkinią grupy omawiającej kwestię patroli. – Jeśli byłby to duży i położony blisko obóz, powinniśmy widzieć w nocy łunę ognisk.

– Może po prostu umieją ich pilnować – podsunął Hal. – Mogą rozpałać tylko nieduże ogniska, żeby nie zdradzać swojej obecności.

– Po co mieliby sobie tym zawracać głowę? – zapytał Thorn. – Nie mają pojęcia, że jest tu ktoś, kto mógłby ich szukać.

– My rozpalamy małe ogniska – przypomniał Stig.

Thorn odwrócił się do niego.

– Ponieważ wiemy, że oni tu są – odparł. – Oni nie wiedzą, że ich obserwujemy.

– Miejmy nadzieję – dodał Hal.

– Tak. Miejmy nadzieję.

– Wiecie, możemy się w nieskończoność kłócić o to, czy rozpalają małe ogniska, czy obozują daleko stąd – przerwała im Lydia. – Jeśli chcemy wiedzieć na pewno, ktoś musi po prostu się przejść i rzucić na nich okiem.

– Ktoś? – zapytał Hal.

– Cóż, ja i ktoś jeszcze. Zakładam, że chciałbyś się im sam przyjrzeć – powiedziała Lydia. – A byłbyś szalony, gdybyś nie zabrał mnie ze sobą.



Jeśli nie będę pokazywać ci drogi – ciągnęła, uśmiechając się szeroko – będziesz wpadać w dziury i potykać się o własne wielkie stopy.

– Miło mi, że tak we mnie wierzysz. – Hal odwzajemnił uśmiech. – Ale zgadzam się...

– Że będziesz się potykać o własne wielkie stopy? – wtrącił Stig.

Hal rzucił mu pogardliwe spojrzenie.

– Nie. Że Lydia i ja powinniśmy się wybrać na brzeg jeziora i poszukać głównego obozu Temudzeinów. – Spojrzał znowu na Lydię. – Proponuję, żebyśmy wyruszyli jutro przed świtem. Wtedy powinniśmy się oddalić od brzegu, zanim patrole zaczną się tu kręcić.



Księżyc zaszedł tuż po trzeciej nad ranem. Hal odczekał jeszcze pół godziny, a potem dał znać, żeby odwiązać cumy. Ingvar i Stig wykorzystali wiosła jak tyczki, wbijając je w muliste dno zatoczki i wypychając okręt tyłem na otwartą wodę.

„Czapla” wysliznęła się gładko z ukrycia na taflę jeziora, zwalniając stopniowo, gdy Stig i Ingvar przestali się odpychać od dna.

– Do wiosła – polecił przyciszonym głosem Hal. – Tylko cicho – dodał.

Tym razem, kiedy wiosłarze podnieśli długie wiosła i przesunęli je przez dulki, nie rozległ się klekot drewna. Czterej wyznaczeni do tego zadania członkowie załogi zachowywali aż nadmierną ostrożność, by uniknąć jakichkolwiek zbędnych hałasów. Wiosła na czas manewrów zostały owinięte szmatami, żeby stłumić wszelkie dźwięki. Hal nie spodziewał się, by Temudzeini pojawili się o tak wczesnej porze. Z dotychczasowych obserwacji wynikało, że jeźdźcy zawsze wyruszali na patrole za dnia. Jednak nie należało ryzykować.

– Obie naprzód – polecił cicho Stig, a Stefan, Ulf i Wulf pochylili się nad wiosłami. „Czapla” z chlupotem ruszyła przed siebie, zostawiając za rufą kilwater upstrzony fosforyzującymi iskierkami. Skierowała się do brzegu trochę na północ od ich obecnej pozycji. Po południu Stig, Hal i Thorn przyjrzel się brzegowi ze swojej kryjówki pomiędzy drzewami i wybrali najlepsze miejsce, w którym można było do niego przybić.

Ten wybór poprzedziła dyskusja. Hal skłaniał się ku temu, by statek przewiózł ich na ląd i powrócił do kryjówki na wyspie. Thorn, z poparciem

Stiga, zawetował ten pomysł.

– Nie zamierzam was tam zostawić i wracać – zaprotestował stary wilk morski. – Jeśli będziemy na wyspie, a wy wpakujecie się w jakieś kłopoty, będziemy potrzebować zbyt dużo czasu, żeby podpłynąć i was zabrać. Znajdziemy dobre miejsce do zacumowania i poczekamy na was.

– Ale jeśli to zrobicie, zauważy was któryś z patroli – przypomniał Hal. Jednakże Thorn był nieugięty.

– Do tej pory nie zbliżali się do brzegu, tylko trzymali się spory kawałek w głębi łądu. Jeśli założymy sieci, żeby zamaskować „Czapłę”, istnieje szansa, że jej nie zauważą. Ostatecznie cały czas patrzą tylko na południe.

– A jeśli was zauważą... – zaczął Hal.

Stig przerwał mu w pół słowa.

– Wtedy możemy w każdej chwili odbić od brzegu i wypłynąć na jezioro. Ale będziemy mimo wszystko pod ręką, na wypadek gdybyście nas potrzebowali. – Oni mają sporo racji – odezwała się Lydia. – Nie podoba mi się myśl, że ci jeźdźcy mogliby mnie ścigać, a ja nie miałabym żadnej szansy na ucieczkę.

Hal niechętnie dał się przekonać. Ostatecznie to właśnie Thorn dowodził nimi na polu bitwy i był osobą, której powierzali tego rodzaju taktyczne decyzje.

W końcu wybrali miejsce, w którym w jezioro wcinał się nieduży cypel – wąski pasek łądu o długości jakichś trzydziestu metrów. Mogli tam przycumować „Czapłę” i przygotować umocnienia obronne u jego nasady.

– Jeśli nas zaatakują, utworzymy mur tarcz, mając za plecami okręt – powiedział Thorn. – Zacumujemy dziobem do przodu, więc w razie potrzeby będziemy mogli użyć Zadymiarza.

Niebo na wschodzie było jeszcze ciemne, kiedy ich nieduży okręt znalazł się koło wąskiego cypla. Jesper i Edvin wyrzucili kotwice z dziobu i rufy, a potem przyciągnęli „Czapłę” tak, aby stała równolegle do brzegu. Kiedy to zrobili, Stig oparł wąski trap na burcie i wysunął go, aż koniec spoczął w miękkim mule na brzegu.

Hal i Lydia czekali niecierpliwie, aż Stig umocuje stabilnie trap. Kiedy skończył, Thorn klepnął Hala po ramieniu.

– Idźcie już – powiedział. – Będziemy was wypatrywać wieczorem.

– Możemy potrzebować więcej niż jednego dnia, żeby znaleźć obóz Temudżeinów i wrócić tutaj.

– W takim razie będziemy was wypatrywać także jutro wieczorem – odparł Thorn i pchnął go lekko w stronę trapu. – A teraz już idźcie. Ani się obejrzyście, jak zrobi się jasno.

Hal i Lydia zeszli na brzeg i ruszyli przed siebie przez sięgającą im do pasa trawę. Dziewczyna szła przodem. Thorn odprowadził ich wzrokiem, kiwając z aprobatą głową. Wysoka trawa, kołysząca się lekko w nocnej bryzie, utrudniała trochę marsz, ponieważ trzeba się było przez nią przedzierać. Stanowiła jednak doskonałe schronienie, na wypadek gdyby musieli się ukryć przed patrolem Temudżeinów.

Thorn odwrócił się do załogi, która czekała na jego rozkazy.

– Dobrze, chłopcy – powiedział. – Schodzimy na ląd i przygotowujemy pozycje obronne u nasady cypla. Edwinie, ty zdejmij zabezpieczenia z Zadymiarza i przygotuj go do działania.

Zaczekał chwilę, aż zajmą się swoimi zadaniami, a potem warknął:

– Trochę szybciej. Lada moment możemy mieć niemiłych gości!



Czaple wybrały najwęższą część cypla do zbudowania umocnień. W tym miejscu mogli w ośmiu utworzyć skuteczny mur tarcz i bronić jeźdźcom wstępu na skrawek ziemi za swoim plecami.

Wykopali w poprzek cypla rów o głębokości półtora metra, tak jak podpatrzyli to w Forcie Ragnak. Ziemię wyrzucali za siebie, tworząc niski wał, za którym mogli się schować i sformować mur tarcz. Rów uniemożliwił jeźdźcom szarżowanie na nich na wprost, ponieważ konie zaczęły wyłamywać się przed taką przeszkodą, zwalniając natarcie. Z drzew na wyspie wycięli drewniane kołki i osadzili je w rowie. Ich zewnętrzne końce zostały zastrzone i skierowane pod kątem na zewnątrz, by dodatkowo odstraszyć jeźdźców. Potem wkopali kolejne zastrzone kołki w ziemny wał.

Thorn obejrzał krytycznym okiem rezultaty tych prac i uznał, że są satysfakcjonujące.

– To powinno wystarczyć – orzekł. – A teraz przykryjmy okręt sieciami, żeby go ukryć.

Sieci rybackie, pokryte nieregularnymi kawałkami ufarbowanego na zielono i brązowo płótna, zostały zarzucone na gruby maszt

i przymocowane do stewy dziobowej i rufowej.

– Nie napinajcie ich – polecił Thorn. – To wszystko ma wyglądać naturalnie i nieregularnie.

Kiedy skończyli, Thorn wszedł jakieś pięćdziesiąt metrów w głąb lądu i odwrócił się. Świeżo wykopana ziemia na niskim szańcu jeszcze zwracała uwagę, ale za kilka godzin powinna wyschnąć. Co ważniejsze, charakterystyczny kształt „Czapli” został całkowicie zamaskowany. Thorn przyjrzał się jej, mrużąc oczy. Uznał, że jeśli ktoś spojrzy pobieżnie w tę stronę, okręt może mu się wydać niewielkim garbem na cyplu.

– Miejmy nadzieję, że będą patrzeć bardzo pobieżnie – powiedział do siebie i wrócił na cypel, brnąć w wysokiej trawie, która ocierała się z szelestem o jego nogi.

## Rozdział 18



**W**ysoka trawa mogła okazać się dobrą kryjówką dla Hala i Lydii, w przypadku gdyby zauważyli konny patrol. Miała jednak przynajmniej jedną poważną wadę.

Była mokra od porannej rosy, więc gdy szli, zostawiali za sobą ślad, strącając krople z długich źdźbeł. Kiedy pokonali pierwsze kilkaset metrów, Hal obejrzał się za siebie. Wschodzące słońce rzucało na równinę ukośne światło, dwa ciemne ślady w srebrzystej od rosy trawie były zaś doskonale widoczne. Powiedział o tym Lydii, która tylko wzruszyła stoicko ramionami.

– Nic na to nie poradzimy – oznajmiła. – Kiedy słońce wzejdzie wyżej, rosa wyparuje i te ślady znikną.

– Miejmy w takim razie nadzieję, że patrole się nie pojawią, dopóki słońce nie wzejdzie wyżej – odparł Hal.

– Dotąd nie widzieliśmy żadnego tak wcześnie rano – przypomniała Lydia.

Hal wyduł wargi. Nie lubił przyjmować niczego za pewnik. Liczenie na szczęśliwy los nie leżało w jego naturze. Ale tak jak mówiła Lydia, nie mieli w tej sprawie wyboru. Hal mógł tylko w duchu poganiać słońce, by wznosiło się szybciej i suszyło trawę.

O jakieś pięćset metrów od brzegu wspięli się na niskie wzniesienia, a Hal skorzystał z okazji, by obejrzeć się na cypel. Bez wysiłku zobaczył świeżo usypany wał ziemny i kręcącą się przy nim załogę. Sam statek, osłonięty sieciami maskującymi, wydawał się nierozpoznawalnym

kształtem przy brzegu. Potem wraz z Lydią poszli dalej, aż cypel znikł im z oczu. Znajdowali się na ogromnej trawiastej równinie, targanej wiatrem i upstrzonej gdzieniegdzie kępami niskich drzew i krzewów. Ciągnęła się po horyzont, a Hala znowu ogarnęło wrażenie, że dryfują po bezkresnym morzu traw.

Długie źdźbła chłostały ich uda, gdy się przez nie przedzierali. Po pewnym czasie zaczęło to wymagać naprawdę dużego wysiłku, a trawa oplątywała im nogi, starając się ich przewrócić. Deptana, zmieniała się w śliską i niepewną powierzchnię pod stopami.

– Byłoby miło, gdybyśmy mieli konie, żeby męczyły się za nas – zauważył Hal.

Lydia mruknęła tylko coś pod nosem – Hal uznał, że miało to znaczyć „oszczędzaj siły”.

Maszerowali przed siebie, a słońce wznosiło się na niebie coraz wyżej. Hal obejrzał się znowu i pocieszył się myślą, że po zniknięciu rosy wydeptana przez nich ścieżka była praktycznie niewidoczna. Co więcej, parująca wilgoć utworzyła nisko nad ziemią cienką warstewkę mgły, która dodatkowo pozwalała ukryć ich obecność.

– Stój! – powiedziała Lydia. Jej głos był cichy, ale wyraźnie słyszalny nacisk podkreślał wagę tego rozkazu. Hal znieruchomiał, opierając się chęci spojrzenia na nią. W poprzednich tego rodzaju sytuacjach Lydia wyjaśniła mu, że jakikolwiek ruch ułatwia zauważenie. Przedzierał się wcześniej przez wysoką trawę ze spuszczoną głową, więc teraz zamarł w takiej pozycji, podnosząc tylko wzrok, by przyjrzeć się terenowi przed sobą.

– O co chodzi? – zapytał cicho.

– Temudżeini. Jakiś tuzin, po lewej stronie, trzysta metrów od nas.

Hal i Lydia nie zauważyli patrolu wcześniej, co oznaczało, że wrogowie musieli jechać w lekkim obniżeniu terenu, utrudniającym widoczność. Hal zerknął teraz w lewo, pilnując się, żeby nie poruszyć przy tym głową.

Znajdowali się na samym skraju jego pola widzenia – zastęp jeźdźców na dobrze mu już znanych, kosmatych, brązowych i łaciatych konikach.

Oczy bolały go od patrzenia bezustannie w lewo i w górę, więc spojrzął znów przed siebie. Lydia znajdowała się w lepszej pozycji, by obserwować konnych.

– Czy oni nas zauważyli? – zapytał Hal.

Lydia zawahała się.

– Chyba... nie – odpowiedziała. – Nie zmienili kierunku i żaden z nich nie wygląda, jakby zwrócili na nas uwagę.

– W którą stronę jadą? – Mięśnie Hala mrowiły z napięciem wynikającego z konieczności stania bez ruchu, gdy mijali ich doskonale widoczni nieprzyjaciele. Wiedział jednak, że w ten sposób ryzyko było najmniejsze.

– W stronę tego wzgórza, które mijaliśmy niedawno – odparła Lydia. – Jeśli utrzymają ten kierunek, wyjadą praktycznie naprzeciwko miejsca, w którym zostawiliśmy statek.

– Statek! – powiedział Hal głosem zdławionym przez nagły przypływ paniki. – Zobaczą go. Na pewno.

– Niekoniecznie – odparła Lydia uspokajająco. – Kiedy my się na niego oglądaliśmy, był całkiem dobrze schowany. Jeśli tylko chłopcy zauważą obcych i nie będą się ruszać, nie powinno im nic grozić.

– A jeśli nie, to co? – Hal nadal się niepokoił. Także w tym przypadku nie potrafił po prostu czekać i liczyć na łut szczęścia.

– Jeśli nie, to załoga może odbić od brzegu i wypłynąć na jezioro. Albo też zostać i podjąć walkę. Mają tam dobre pozycje obronne i potrafią sobie doskonale radzić. Poza tym z tego, co mówił mi Thorn, wynika, że Temudżeini zwykle lekceważą swoich przeciwników i że to może ich drogo kosztować. Możesz już się ruszyć – dodała. – Przejechali za nami.

Hal, nie zdając sobie z tego sprawy, napinał wszystkie mięśnie ciała. Pozwolił im teraz się odprężyć i poczuł falę ulgi rozchodzącą się po jego kończynach. Odwrócił się powoli i popatrzył za Temudżeinami zmierzającymi w stronę wzniesienia. Porośnięta trawą równina na pierwszy rzut oka mogła się wydawać płaska, ale niskie pagórki i płytkie zagłębienia utrudniały widzenie – czego dowodem było nagłe pojawienie się patrolu, który teraz obserwował.

– Zatrzymali się – powiedział, kiedy dowódca dał znak swoim ludziom, by stanęli na szczycie wzniesienia.

– To standardowa procedura, gdy mijasz grzbiet wzgórza. Dowódca zawsze chce wtedy przyjrzeć się terenowi przed sobą. Zwróć jednak uwagę, że nie przejmują się tym, iż sami będą doskonale widoczni na tle nieba. Dlatego wydaje się, że nie spodziewają się żadnego niebezpieczeństwa w tej okolicy.

– Skoro tak mówisz – rzekł Hal.

Lydia uśmiechnęła się pobłaźliwie. Potrafiła poruszać się po lądzie i pozostawać w ukryciu. Hal czuł się jak w domu na morzu, gdzie znał

wszystkie zagrożenia, umiał ocenić ryzyko i reagować na nie odpowiednio.

– Owszem, tak mówię – odparła. – Popatrz, ruszyli dalej.

Dowódca patrolu uniósł prawą rękę i machnął nią do przodu. Jeźdźcy pogonili swoje wierzchowce i pokłusowali w zastępie, jeden za drugim pokonując niskie wzniesienie. Hal z ulgą stwierdził, że poruszają się po skosie w stosunku do miejsca, w którym została ukryta „Czapla”. Najwyraźniej Lydia miała rację. Po kilku minutach jeźdźcy zniknęli im z oczu.

– Chodźmy – powiedziała Lydia i ruszyła dalej na wschód przez splątaną, wysoką trawę. Wiatr stał się teraz silniejszy i lekko kołysał trawami na równinie, a długie źdźbła poruszały się jak fale na oceanie.

Hal potrząsnął głową, ponieważ bezustannie słyszał ich cichy szelest.

– To miejsce sprawia, że przechodzą mnie dreszcze – skwitował.

Ka'zhak, zastępca dowódcy temudżeińskiego patrolu, pogonił konia, by zrównać się ze swoim dowódcą i najlepszym przyjacielem, En'takiem.

En'tak usłyszał, że ktoś się do niego zbliża, i obejrzał się, zaskoczony widokiem swojego zastępcy. Kiedy patrolowali okolicę, Ka'zhak powinien jechać jako ostatni w oddziale.

– O co chodzi? – zapytał. Wiedział, że przyjaciel nie opuściłby swojej pozycji tylko dla chwili niezobowiązującej pogawędki. Coś musiało zwrócić jego uwagę. Uniósł rękę, by zatrzymać patrol.

– Nie patrz od razu w tamtą stronę – ostrzegł go Ka'zhak. – Coś tam chyba jest na samym brzegu jeziora.

– Jakie „coś tam”? – zapytał En'tak.

Ka'zhak zawahał się.

– Nie jestem pewien, ale coś dziwnego. – Odczekał chwilę i oznajmił: – Teraz możesz spojrzeć, ale staraj się to zrobić dyskretnie. To po naszej prawej stronie, trochę z tyłu.

En'tak udał, że przeciąga się i poprawia w siodle. Stał w strzemionach i skręcił całe ciało w lewo, a potem w prawo, żeby spojrzeć w stronę wskazaną przez Ka'zhaka.

– Czego mam wypatrywać? – zapytał.

– Na brzegu jest kształt. Dziwnie wyglądający kształt – odparł przyjaciel. – Jakby jakiś pagórek.

En'tak zmarszczył brwi. Widział ten dziwny, nieregularny kształt – mogła to być niska kępa krzaków albo niewielki garb ziemny.



Mogło to być także coś całkiem innego. Kiedy obserwował ten garb, po lewej stronie zobaczył błysk światła i jakieś poruszenie. Znajdowało się tam coś obcego. Coś, co nie było naturalne.



– Coś zauważyli – mruknął Stig. Razem z Thornem kucali pod osłoną niskiego wału ziemnego. Rozejrzał się teraz pospiesznie. Tarcze członków załogi były pochowane – przenieśli je na sterburtę i przykryli siecią maskującą. Załoga także znajdowała się na pokładzie, pod siecią, przykucnięta pomiędzy ławkami wioślarzy.

– Możliwe – powiedział Thorn. – A może tylko odpoczywają. Na wrastające paznokcie Lokiego! – zaklął, ponieważ zauważył coś na statku. Sieć maskująca została niedostatecznie mocno przywiązana na dziobie. Wiatr, który niedawno się zerwał, uwolnił jeden jej róg i odsłonił głowę czapli zdobiącą stewę dziobową. Świeżo pomalowana i wyczyszczona, kołysała się leciutko wraz z całym okrętem na niedużych falkach. Thorn obejrzał się przez ramię na pozycję słońca. Jego promienie mogły w dowolnym momencie paść na figurę dziobową i odbić się błyskiem światła.

– Ruszyli dalej – powiedział Stig. – Chyba doszli do wniosku, że niczego tu nie ma.

– Dlaczego tak uważasz? – zapytał Thorn.

Wysoki wojownik wzruszył ramionami.

– Cóż, gdyby coś zobaczyli albo gdyby im się wydawało, że coś widzą, podjechaliby, żeby się temu przyjrzeć, prawda?

Thorn poskrobał się po potarganej głowie. Nigdy nie ufał Temudżeinom. Wiedział o nich wystarczająco wiele, by mieć świadomość, że są podstępny i przebiegłymi nieprzyjaciółmi.

– Możliwe – odparł teraz. – A może planują wrócić tu później.



– Wrócimy tu po zmroku – powiedział En'tak do swojego zastępcy. – Wtedy będziemy mogli się temu uważniej przyjrzeć.

– Czego się spodziewasz? – zapytał Ka'zhak.

Dowódca patrolu wzruszył ramionami.

– Ten dziwny kształt mógłby być statkiem, a coś na nim mogło odbić promienie słońca. O ile pamiętam, Skandianie często umieszczają na dziobach statków rzeźby ptaków i zwierząt. To mogłoby być coś takiego.

– Myślisz, że to Skandianie? – dopytywał Ka'zhak.

– Nie mam pojęcia, kto inny by to mógł być. A jeśli to oni, nie zamierzam znowu popełnić błędu.

En'tak był dowódcą jednego z ałumów, które wzięły udział w niedawnej bitwie w przesmyku prowadzącym do Skandii. To jego sześćdziesięciosobowy oddział został dosłownie zmasakrowany przez obrońców fortu, a w rezultacie sha'shan pozbawił En'taka dotychczasowej rangi i postawił go na czele zaledwie dziesięciosobowego patrolu. Ka'zhak był wówczas jego zastępcą i został w podobny sposób zdegradowany. Obydwaj mężczyźni mocno przeżyli tę gorycz porażki i teraz zrobiliby wszystko, by z powrotem zyskać uznanie sha'shana.

– Jak właściwie mieliby się dostać okrętem na to jezioro? – zdziwił się Ka'zhak.

Dowódca patrzył na niego przez chwilę, zanim się odezwał. Prawdę powiedziawszy, sam nie miał pojęcia, jak to było możliwe. Wiedział jednak, że Skandianie to sprytni i pomysłowi ludzie, którym często udają się rzeczy uznane powszechnie za niewykonalne.

– Właśnie tego zamierzam się dowiedzieć.



## Rozdział 19



Słońce wisiało nisko nad zachodnim horyzontem, a monotonna trawiasta równina ciągnęła się w nieskończoność, pozbawiona jakichkolwiek punktów charakterystycznych. Hal i Lydia nadal podążali na wschód.

Zatrzymali się jeszcze dwa razy, żeby ukryć się przed temudżeińskimi patrolami. Za każdym razem mieli serce w gardle, gdy na horyzoncie pojawiał się zastęp milczących jeźdźców. Jednak żaden z tych patroli nie zbliżył się do miejsca, gdzie kucali, ukryci w wysokiej trawie. Teraz pokonali właśnie kolejny niski grzbiet i przyglądali się terenowi przed sobą.

Nic się nie zmieniało. Kołyszące się trawy ciągnęły się aż do kolejnego wzniesienia w oddali. Poza tym widzieli gdzieniegdzie większe skały i rozsiane tu i ówdzie niskie drzewa i krzewy. Ogólnie jednak teren był pozbawiony charakterystycznych punktów i taki sam, jak wcześniej.

– Lepiej miejmy się na baczności, kiedy te patrole zaczną wracać do domu – uprzedziła Lydia, ponieważ była świadoma, że do zmierzchu została zaledwie godzina. Hal obejrzał się niespokojnie przez ramię. Ten pofalowany teren, na którym jeźdźcy wyłaniali się nagle i praktycznie znikąd, działał mu na nerwy. Nie miał pojęcia, w którym momencie monotonię marszu przez wysokie, czepiające się nóg źdźbła trawy przerwie niespodziewane pojawienie się zastępu jadących w ciszy konnych – zazwyczaj znacznie bliżej, niż Hal i Lydia się spodziewali.

– Chyba będziemy musieli spędzić tu noc – oznajmiła dziewczyna. Rozejrzała się uważnie. – Nie jest najgorzej. Jeśli wydepczemy trochę

trawy, będziemy mogli zrobić sobie w niej kryjówkę. Poza tym przynajmniej będziemy mieć miękkie posłanie.

Hal wskazał niewielką grupę skał jakieś pięćdziesiąt metrów dalej.

– Może podejźmy do tych skał? Możemy tam rozpalić ogień, zanim zrobi się ciemno, i napić się czegoś gorącego. Kiedy tylko słońce zajdzie, zgasimy ognisko.

Lydia skinęła głową, zgadzając się z nim. W ciemności dowolnie małe światełko na równinie rzucałoby się w oczy z daleka. Ale za dnia, jeśli tylko użyją wyschniętego i palącego się w wysokiej temperaturze drewna, były niewielkie szanse, że ktoś ich zauważy. Przyspieszyła kroku i skierowała się do skał. Nieśli ze sobą trochę opału, więc Hal szybko rozłożył ognisko pomiędzy kamieniami, w miejscu gdzie ogień nie miał szans się rozprzestrzenić na otaczające ich trawy.

Zagotowali wodę na kawę, a potem zdeptali ogień tak, by nie pozostała ani jedna żarząca się iskra. Hal siedział w wysokiej trawie, w której Lydia wydeptała półokrąg przy skałach. Kołysał w dłoniach kubek gorącej, słodkiej kawy i napił się jej z westchnieniem satysfakcji.

– Od razu lepiej – powiedział, gdy energia z gorącego napoju zaczęła się rozchodzić po jego ciele i kończynach. – Nie przeszkadzają mi posiłki na zimno, ale kubek kawy czyni cuda dla mojego ducha.

Lydia uśmiechnęła się.

– To okropny nawyk, którego nauczyłam się od ciebie i twojej załogi – przyznała. – Ale muszę powiedzieć, że mnie także smakuje. Poza tym bardzo dobrze, że nie przeszkadzają ci posiłki na zimno, bo na nic innego nie możesz liczyć.

Hal podniósł się i rozejrzał po okolicy.

– Ani śladu patroli – ocenił. – Wydawałoby się, że o tej porze powinny już wracać.

– Może wracają inną drogą – podsunęła Lydia. – Albo też postąpili podobnie jak my i rozłożyli się gdzieś na noc obozem.



Większość patroli, które widzieli tego dnia, powróciła okrężną drogą. Ale pierwszy patrol nadal był na równinie i jechał z powrotem w stronę miejsca, w którym jego dowódcy zauważyli dziwny kształt na brzegu jeziora.

En'tak prowadził swoich ludzi na północny zachód. Wcześniej eksplorowali tereny na południu, zapuszczając się aż do ujścia rzeki, która wypływała z jeziora i spływała przez góry. Teraz nakazał oddziałowi zatrzymać się, gdy dotarli na niski grzbiet pół kilometra od miejsca, w którym dostrzegł osłoniętą i zamaskowaną „Czapłę”.

Polecił swoim ludziom rozłożyć obóz, przestrzegając, żeby nie rozpalali ognia. On i Ka'zhak ruszyli dalej na piechotę. Pochyleni pokonali grzbiet, a potem w tej samej pozycji poszli dalej wśród wysokich traw w stronę cypla i dziwnego, nieregularnego kształtu, który się przy nim pojawił.

W odległości niespełna stu metrów od jeziora znaleźli niewielki garb, za którym mogli położyć się na brzuchach i obserwować. Leżeli w milczeniu przez prawie godzinę, aż ich cierpliwość została wynagrodzona, i zobaczyli ruch na brzegu.



Thorn polecił załodze pozostawać w ukryciu w ciągu dnia. Większość siedziała na pokładzie „Czapli”, pod osłoną maskujących statek sieci. Na brzegu pozostali wartownicy ukryci za niskim wałem ziemnym, skąd wypatrywali wroga.

Kiedy jednak zapadła noc, Thorn uznał, że można trochę poluzować dyscyplinę. Do tej pory Temudżeini nie pojawili się ani razu po zmroku, więc mógł zakładać, że załoga „Czapli” nie zostanie zauważona w niewielkim obozie.

Oczywiście wszystko w granicach rozsądku. Thorn pilnował, żeby wszelki ruch ograniczać do minimum. Edvin przygotował wieczorny posiłek – oczywiście bez rozpalania ognia – a wartownicy na ziemnym wale zostali zmienieni. To było wszystko, na co pozwolił stary wilk morski.

Jednakże to wystarczyło, by zwrócić uwagę dwóch milczących Temudżeinów, leżących w wysokiej trawie.



– Tam z całą pewnością są jacyś ludzie – powiedział szeptem En'tak, przysuwając usta do ucha swojego towarzysza.

Ka'zhak skinął głową.

– Kilka minut temu słyszałem, jak rozmawiają. Brzmią jak Skandianie. Dowódca patrolu z lekkim zaskoczeniem popatrzył na swojego przyjaciela.

– Nie wiedziałem, że znasz skandyjski.

Ka'zhak pokręcił głową.

– Tylko kilka słów – przyznał. – Chodziło mi raczej o sam ich sposób mówienia, szybki i ostro brzmiący.

Język Temudżeinów kontrastował z urywanymi głoskami skandyjskiego i miał płynną, miękką melodię.

– Jak myślisz, ilu ich jest? – zapytał z kolei Ka'zhak.

Dowódca wzruszył ramionami.

– Niewielu. Może pół tuzina? Gdyby było ich więcej, robiliby więcej hałasu. Skandianie nie potrafią zachowywać się cicho.

Tak jak powiedział Thorn, Temudżeini często nie doceniali swoich wrogów, traktując ich z pogardą i uważając za niezdyscyplinowanych i źle zorganizowanych.

W rzeczywistości nie mieli prawie nigdy do czynienia z doskonale wyszkolonymi i karnymi oddziałami, takimi jak Czaple czy inna skandyjska drużyna.

To był pierwszy błąd En'taka.

– No to co teraz robimy? – szepnął Ka'zhak.

En'tak zaczął się czołgać do tyłu, żeby znaleźć się pod osłoną niskiego wzgórze, które wcześniej pokonali.

– Wracamy do obozu – oznajmił. – Zaatakujemy ich z samego rana.

Ka'zhak poszedł w jego ślady, wycofując się przez wysoką trawę aż do miejsca, gdzie mógł wstać niezauważony.

– Może powinniśmy wrócić do głównego obozu i złożyć sha'shanowi raport, żeby poinformować go o ich obecności – podsunął.

En'tak gwałtownie pokręcił głową.

– To dla nas szansa, by udowodnić sha'shanowi naszą wartość i odzyskać dawną pozycję – rzekł. – Jeśli wrócimy z podkulonymi ogonami, żeby mu powiedzieć, że widzieliśmy nad jeziorem pół tuzina Skandian, uzna nas za ostatnich tchórzy. Jeśli zaś wrócimy i złożymy raport, że rozbiliśmy wrogi oddział Skandian, a może jeszcze przyprawimy jednego lub dwóch jeńców, zasłużymy sobie na jego uznanie. Może dostaniemy z powrotem nasze stanowiska.

– Chyba masz rację – odparł niepewnie Ka'zhak. – Czyli zaatakujemy ich konno?

En'tak pokręcił głową.

– Podkradniemy się pieszo. Jeśli pojedziemy konno, zauważą nas zbyt wcześnie. Jeżeli zaś uda nam się zbliżyć do nich niepostrzeżenie, przyłapiemy ich śpiących i bezbronnych tuż przed świtem.

To właśnie był jego drugi błąd.



Słońce w końcu zaszło, a nad bezkresną równiną zamigotały gwiazdy. Lydia przeżuwała kawałek wędzonej wołowiny zawinięty w podpłomyk. Hal posilał się garścią suszonych owoców. Wypił łyk zimnej wody z manierki i żałował, że nie ma jakiegoś sposobu, by na dłużej zachować gorącą kawę po jej zaparzeniu.

Uda i łydki bolały go po całych godzinach przedzierania się przez wysoką, czepiającą się nóg trawę. Teraz, kiedy słońce zniknęło, noc zrobiła się chłodna, więc Hal ciasniej owinał się kamizelką z baranicy i ułożył wygodnie. Nie pozostawało im nic innego, jak odpocząć – a wiedział, że po ciężkim dniu marszu przez równinę zaśnięcie przyjdzie mu bez trudu. Ledwie zdążył to pomyśleć, a już zaczął drzemać.

– Patrz – odezwała się cicho Lydia.

Podniosła się na kolana i wskazała niebo na wschodzie. Hal niechętnie podniósł się do pozycji siedzącej. Był już bliski zapadnięcia w sen i zdążył umościć się wygodnie na posłaniu z trawy.

– O co chodzi? – zapytał.

Dziewczyna nie odpowiedziała, ale nadal wskazywała niebo na wschodzie. Hal zrozumiał, o co jej chodziło. Poświata słońca już zgasła, a księżyc miał wstać dopiero za kilka godzin. Tymczasem na wschodzie było widać odbłask światła odbijającego się od chmur. Rozciągał się na niemal jedną czwartą horyzontu i musiał pochodzić z obozowych ognisk – całych setek.

– To obóz Temudzeinów – powiedziała Lydia. – Naprawdę wielki.

Szybko zebrali swoje rzeczy i wstali. Żadne z nich się nie odzywało, ale odczuwali identyczny niepokój. Ruszyli przez noc w stronę tego światła.

Jeśli wysoka trawa utrudniała marsz w dzień, w nocy było dwa razy gorzej. Hal co chwilę ślizgał się i potykał, wpadając w dziury i nierówności terenu. Zauważył, że Lydia nie miała takich problemów. Wydawało się, że prześlizguje się lekko po ziemi bez cienia niepewności. Potknął się, po raz piąty upadł na kolana i rzucił cichym przekleństwem.

– Na śmierdzący oddech Sontod!

Lydia wyciągnęła rękę, żeby pomóc mu wstać.

– A kimże jest ten Sontod? – zapytała z lekkim uśmiechem. Panteon bogów i półbogów, w których wierzyli Skandianie, nieodmiennie ją bawił. Zauważyła już, że mieszkańcy Skandii nie darzą swoich bóstw szczególną czcią. Wydawało się, że wykorzystują je tylko jako natchnienie do barwnych przekleństw. – Naprawdę ma taki śmierdzący oddech?

Hal spojrział na nią złym okiem.

– To nie on, tylko ona. Jest boginką tańca i ruchu – wyjaśnił.

– W takim razie zdecydowanie mógłbyś ją poprosić o pomoc – zauważyła. – Biorąc pod uwagę to, że się bezustannie potykasz.

Hal nabrał tchu, żeby udzielić jej ciętej odpowiedzi. Przypomniawszy sobie, co mówiła wcześniej o jego „potykaniu się o wielkie stopy”. W tym momencie splątane źdźbła trawy zaczepiły się o jego kostkę i znowu go przewróciły. Lydia zaczęła – Hal uznał, że jej cierpliwość jest aż nienaturalna – aż jej towarzysz wstanie i ruszy dalej. Zdecydował, że nie będzie odpowiadał na jej komentarz dotyczący potykania się.

– Jeśli chodzi o twoje pytanie, to owszem. Ma śmierdzący oddech, podobnie jak większość półbogów i demonów. To przez te wielkie żółte kły.

– Ależ atrakcyjnych bogów macie w tej Skandii – zauważyła Lydia. Nie słyszała jeszcze o żadnym, który nie byłby straszliwy, obdarzony długimi włosami i paznokciami, podstępny albo po prostu wredny. – Czy żaden z nich nie jest ładny, miły albo pełen wdzięku?

– Sontod jest pełna wdzięku. Mówiłem ci, że to bogini tańca.

– Ale nie sprawia wrażenia osoby, z którą jakiś partner chciałby zatańczyć. Przez te wielkie żółte kły i śmierdzący oddech.

– To nie ma znaczenia, czego chciałby jej partner. To ona wybiera sobie partnerów – odparł Hal. – A przez te wielkie żółte kły nie odmawiasz jej, jeśli cię wybierze.

– Chyba rzeczywiście. Mimo to... – Cokolwiek zamierzała powiedzieć Lydia, nie zostało powiedziane, ponieważ wspięli się w końcu na grzbiet



następnego wzgórza. Oboje zamilkli na kilka sekund na widok setek ognisk na równinie przed nimi, ciągnących się, jak sięgnąć okiem.

Teraz znowu doleciał do nich gryzący, nieprzyjemny smród, z którym Lydia zetknęła się po raz pierwszy podczas rekonesansu w górach. Tym razem jednak obóz był większy – o wiele, wiele większy – niż ten widziany przez nią za Wężowym Przesmykiem. To nie był pojedynczy patrol ani nawet oddział wojskowy.

To był cały koczowniczy naród temudzeiński.

## Rozdział 20



**G**odzinę przed świtem Thorn obudził po cichu załogę „Czapli”, przechodząc pomiędzy śpiącymi i potrząsając każdego za ramię. Zawsze tak robił, gdy znajdowali się na wrogim terytorium.

Długi trening sprawił, że wojownicy budzili się bez jednego słowa czy innego dźwięku. Thorn nachylał się każdemu z nich do ucha i mówił szeptem:

– Wstawaj. Świt za godzinę.

Edvin obudził się jako pierwszy i przeszedł pomiędzy towarzyszami w ślad za Thornem, rozdając kubki z zimną kawą. Zaparzył ją poprzedniego dnia, zanim musiał zgasić ogień o zachodzie słońca. Byłoby lepiej, gdyby mogła być gorąca, ale nawet zimna, kofeina pomagała się obudzić. Załoga „Czapli” wypila ją chętnie, kiwając głowami, żeby podziękować kucharzowi.

Świt był tradycyjną porą na atak z zaskoczenia i właśnie dlatego Thorn postępował w taki sposób. Przez ostatnie nocne godziny na warcie stał Jesper. Thorn zatrzymał się przy nim, ledwie wyglądając znad ziemnego wału, za którym się chronili. Kiedy załoga kładła się spać, Thorn polecił tym, którzy znajdowali się na pokładzie statku, żeby przenieśli się na brzeg. Dzięki temu wszyscy znajdowali się na pozycjach, gotowi na odparcie ewentualnego ataku. Tarcze stały oparte od wewnętrznej strony o szaniec. Każdy miał także w pogotowiu włócznię oraz odpowiednią broń do walki w zwarcu – miecz albo topór na długim stylisku. Thorn miał oczywiście potężną maczugę zastępującą rękę.

– Coś się dzieje? – zapytał ledwie dosłyszalnym szeptem.

Jesper spojrział na niego przelotnie, a potem znowu zaczął się wpatrywać w wysoką trawę, która teraz kołysała się lekko w porannym wietrze wiejącym od jeziora.

– Nie jestem pewien – przyznał. – Wydawało mi się, że widziałem tam jakiś ruch. – Wskazał głową w prawo. – Kilka minut temu.

– Może to wiatr poruszający trawą?

Jesper nie zgodził się z nim.

– To było, zanim wiatr się zerwał – odparł. Thorn zastanowił się nad jego słowami. Jesper często płatał innym głupie figle, gdy się nudził, jednakże był nadzwyczajnym obserwatorem. Stary wojownik wiedział, że w takich sytuacjach można było polegać na jego osądzie.

– W jakiej odległości? – zapytał.

– Jakies pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt metrów stąd – odpowiedział Jesper. – Od tamtej chwili nie widziałem niczego, chociaż obserwuję to miejsce cały czas.

– Czyli jeśli ktoś tam jest, nie ruszył się jeszcze?

Jesper stanowczo pokręcił głową.

– Nie. Przyglądam się tamtej części od momentu, kiedy uznałem, że coś się tam mogło poruszyć. Nie zobaczyłem nic więcej.

– Dobrze, ostrzegę pozostałych – zdecydował Thorn. Lepiej było założyć, że to przygotowania do ataku, i czekać na niego, niż zlekceważyć przecucie Jespera jako fałszywy alarm. – Przyglądaj się tamtej części, ale nie koncentruj się tylko na jednym punkcie – polecił.

Zauważył, że Jesper rzucił mu poirytowane spojrzenie. Thorn nie musiał dodawać tego ostrzeżenia, ponieważ chłopak wiedział, co ma robić. Starszy wojownik przepaszająco poklepał go po ramieniu.

– Wybacz – rzucił.

Nadal pochylony wrócił do pozostałych, żeby ich ostrzec, że w wysokich trawach mogą kryć się nieprzyjaciele.

– Przygotujcie tarcze – rozkazał. Jego towarzysze wsunęli lewe ręce w paski dużych, okrągłych tarcz. Teraz w każdej chwili mogli je podnieść i utworzyć obronny mur, gdyby zaszła taka potrzeba. Thorn wziął własną tarczę i dołączył do pozostałych, przykucniętych za szańcem. Zastanowił się, czy nie odesłać kogoś, na przykład Edvina, na statek, żeby użył Zadymiarza. Doszedł jednak do wniosku, że to nie byłby dobry pomysł. Edvin po pierwszym strzale potrzebowałby kogoś do pomocy przy

przeładowaniu maszyny, a to oznaczało, że mur tarcz należałoby pozbawić dwóch ludzi. Thorn nie mógł sobie pozwolić na takie osłabianie linii obrony. – Zachowajcie czujność – przypomniał szorstkim szeptem. Siedzący najbliżej niego przekazali te słowa swoim sąsiadom. Niebo na horyzoncie powoli nabierało różowego poblasku w miarę zbliżania się wschodu słońca.

Thorn pomyślał, że jeśli wróg ma zaatakować, zrobi to w momencie, gdy wstające słońce zaświeci obrońcom prosto w oczy.

Wiedział, że jednocześnie słońce podświetli napastników od tyłu. Będą widoczni tylko jako sylwetki, ale to w pełni wystarczało. Nieświadomie poruszył protezę zakończoną maczugą i sprawdził, czy jest odpowiednio pewnie osadzona. Pomyślał, że czekanie jest najgorsze. Zawsze tak było i zawsze tak będzie.

– No chodźcie – mruknął. – Dajcie się dorwać.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, że powiedział to na głos, dopóki kucający obok Stefan nie odwrócił się do niego.

– Coś mówiłeś, Thornie? – zapytał szeptem. Obawiał się, że mógł nie usłyszeć jakiegoś polecenia lub informacji. Jednakże wilk morski pokręcił potarganą głową i machnął przecząco potężną maczugą.

– Nic takiego – odparł. – Nie rozpraszaaj się.



Po wschodzie słońca Hal i Lydia mogli się lepiej przyjrzeć obozowisku Temudżeinów. Setki, być może tysiące pękatek filcowych namiotów rozciągały się na trawiastej równinie jak największe na świecie pole grzybów. Wysoka trawa została udeptana lub wycięta, by zrobić wygodne przejścia – a także, zapewne, jako pasza dla temudżeińskich koni.

Namioty, nazywane przez nich samych jurtami, tworzyły nieregularne skupiska po dziewięć lub dziesięć, z ogniskiem pośrodku. Z tych ognisk wznosiły się cienkie smużki dymu – najwyraźniej jeszcze się żarzyły po nocy. Hal i Lydia zobaczyli, że z namiotów wynurzyły się kobiety i zaczęły na nowo podsycać płomienie. Gryzący zapach nasilił się.

Hal zmarszczył nos z niesmakiem.

– Czym oni palą?

Kiedy Lydia odpowiedziała na to pytanie, Hal tylko wzruszył ramionami.

– Cóż, z pewnością mają tego nieograniczone ilości – rzekł i wskazał jeden z tymczasowych końskich padoków, zlokalizowanych na obrzeżach obozowiska. Regularne wielkie prostokąty były wygradzone linami, a w każdym z nich spacerowały bezustannie całe setki koni. – Skoro mają tyle wierzchowców, muszą mieć przygotowane co najmniej trzy lub cztery podobne padoki – zauważył cicho Hal.

Lydia skinęła głową. Wskazała w dół łagodnego zbocza, u stóp którego rozłożył się olbrzymi obóz.

– Wartownicy – powiedziała.

Teraz, gdy zrobiło się jaśniej, Hal także ich zobaczył. Cały obóz otaczał pierścień żołnierzy stojących w odległości czterdziestu metrów jeden od drugiego. Byli pieszo, uzbrojeni w łuki i miecze. Każdy miał też lekką tarczę na lewym ramieniu. Rozglądali się, ale widać było, że robią to bez zaangażowania. Nudzili się. Hal uznał, że nie spodziewają się tu żadnego zagrożenia.

Hal i Lydia zostali za grzbietem i przykucnęli tak, żeby tylko czubki ich głów były widoczne znad wysokich traw. Ruszyli w lewo, żeby obejść obóz. Żaden z wartowników ich nie zauważył. Po jakichś pięćdziesięciu metrach Lydia dotknęła ramienia Hala i gestem kazała mu uklęknąć. Kiedy posłuchał, dziewczyna podprowadziła go bliżej obozu, czołgając się na brzuchu, żeby mogli niepostrzeżenie przyjrzeć się siłom nieprzyjaciela.

Leżeli koło siebie, z głowami na tyle blisko, żeby rozmawiać szeptem. Z dołu dobiegały odgłosy świadczące o tym, że obóz budzi się do życia. Konie rżały i tupały kopytami. Mężczyźni i kobiety wołali coś do siebie, witając swoich sąsiadów i wstający dzień. Tu i ówdzie słychać było szcęk garnków.

Na środku obozu wykrzykiwano rozkazy, a żołnierze siodłali konie i dosiadali ich, po czym odjeżdżali. Hal zauważył, że wszystkie patrole kierowały się na południe i na zachód.

Jednakże uwagę Lydii zwróciło coś bliżej obrzeża obozu, otoczone pół tuzinem dodatkowych strażników.

Był to wielki wóz – platforma na czterech kołach z litego drewna. Na niej znajdowała się jeszcze jedna jurta, tym razem ogromna. Była chyba pięć razy większa od pozostałych namiotów w obozie.

Filcowe ściany miały wysokość niemal dwóch metrów i zawijały się, tworząc zaokrąglony dach, który dodawał wnętrzu jeszcze dwa metry. Dach i ściany podtrzymywały liny, tak jak w namiotach, które Lydia widziała

podczas rekonesansu z Wężowego Przesmyku. Na pierwszy rzut oka konstrukcja wydawała się niestaranna i nieuporządkowana, ale gdy się jej przyjrzało, można było dostrzec, że liny tworzą stabilną, przemyślaną strukturę, pozwalającą namiotowi wytrzymać ostre zimowe wiatry na wyżynnych stepach.

Na drugim końcu platformy pozostawiono wolną przestrzeń, tworząc coś w rodzaju tarasu przed wejściem do jurty. Żaden inny namiot nie dorównywał temu wielkością ani przepychem.

Hal popatrzył kątem oka na Lydię. Pytanie w jego oczach było wyraźnie widoczne. Lydia odpowiedziała szeptem:

– Tam mieszka sha'shan.

Skinął głową, dając znać, że zrozumiał.

– Dlaczego nie umieścili go pośrodku obozu?

Lydia wzruszyła ramionami.

– Dzięki temu jest z dala od dymu z ognisk i kurzu wzbijanego przez konie na padokach.

Kiedy to mówiła, kłapa wejściowa z tyłu wielkiej jurty została podniesiona i ktoś wyszedł na drewnianą platformę. Był to niski, przyciężki mężczyzna – chociaż Hal szybko zweryfikował to pierwsze wrażenie. Mężczyzna nie był tylko przyciężki, był wyraźnie otyły w stosunku do swojego wzrostu. Miał na sobie brokatową szatę i spiczasty filcowy kapelusz w kolorze zielonym. Jego długie włosy były zaplecione w warkocze i nasmarowane jakimś łojem albo innym tłuszczem, tak że sterczały na boki. Podobnie spleciona była jego broda, rozdzielona na dwie podwinięte do góry części. Nosił także długie i bujne wąsy.

Podszedł do brzegu platformy, odkaszlnął i splunął na stratowaną trawę na ziemi. Na jego widok otaczający wóz wartownicy szybko stanęli na baczność.

– Są trochę bardziej czujni niż ci, którzy pilnują obozu – zauważył szeptem Hal.

Lydia skinęła głową potwierdzająco.

– Podejrzewam, że jeśli sha'shan może w każdej chwili wyjrzeć i sprawdzić, co robisz, opłaca się być czujnym.

– Czujnym jak ważka – dodał Hal.

Lydia nie odpowiedziała, spojrzała tylko na niego – a to spojrzenie mówiło bardzo wiele. Hal postanowił sobie, że nie będzie jej więcej

częstować swoimi żarcikami. Uznał, że nie będzie ich wdzięczną słuchaczką.

– To był żart – wyjaśnił w końcu.

Lydia pokręciła głową.

– Żart jest śmieszny – poinformowała go. – Chyba postanowił jeszcze pospać – dodała.

Pękata sylwetka na platformie przed jurta wyciągnęła ręce nad głowę i ziewnęła szeroko. Mężczyzna jeszcze raz rozejrzał się dokoła, a potem odwrócił i zniknął w namiocie.

– Ciekawe, kto z nim mieszka? – powiedział Hal.

Najwyraźniej Lydia zastanawiała się nad tym samym.

– Może powinniśmy tu trochę poczekać i zobaczyć, kto jeszcze stamtąd wyjdzie.

Pomysł wydawał się niezły. Hal uznał, że i tak powinni odczekać co najmniej kilka godzin, zanim wszystkie patrole wyruszą z obozu. Równie dobrze mogli przez ten czas mieć oko na sha'shana. Nigdy nie wiadomo, kiedy tego rodzaju informacje mogą okazać się przydatne.

W głowie Hala kształtował się już mglisty pomysł. Skirl nie był jeszcze gotów, by powiedzieć o nim na głos. Uznał, że pozwoli, by ten concept dojrzał, podczas gdy on sam będzie rozważać wszystkie elementy, które mogą mieć wpływ na powodzenie tego planu. Odpiął od pasa manierkę i pociągnął długi łyk, a potem ułożył się wygodnie w trawie, opierając podbródek na dłoniach. Jego oczy błądziły po ogromnym obozowisku Temudżeinów, prześlizgiwały się po grupach namiotów, jeźdźcach opuszczających końskie zagrody oraz mieszkańcach obozu siedzących wokół ognisk i jedzących posiłek przyrządzony przez kobiety. Halowi zaburczało w brzuchu, gdy wiatr przyniósł do ich kryjówki woń pieczonego mięsa. Kolejny jego podmuch zaatakował nos Hala odorem dymu z wysuszonego nawozu.

Żołądek przestał burczeć.



## Rozdział 21



**N**adchodzą!  
To Edvin pierwszy ostrzegł towarzyszy. Szereg temudżeińskich wojowników wyłonił się z wysokiej trawy, jakieś trzydzieści metrów od pozycji obronnych Skandian.

Thorn obserwował, jak przeciwnicy podbiegają kilka metrów, a potem zatrzymują się, by wyjąć strzały z kołczanów, nałożyć je na cięciwy i napiąć łuki. Odczekał jeszcze sekundę i wydał rozkaz:

– Tarcze!

Potężne skandyjskie tarcze uniosły się jednym płynnym ruchem, stykając się ze sobą i tworząc szczelną zaporę. Zaraz potem rozległ się ostry stukot, gdy fala strzał uderzyła w obciągnięte skórą drewno. Thorn przyglądał się wrogom przez wąską szczelinę pomiędzy tarczą swoją a Stefana. Zobaczył, że Temudżeini znowu szykują się do strzału.

– Nie opuszczać tarcz! – ryknął i druga fala strzał odbiła się nieszkodliwie od linii obrońców.

Thorn spojrział kątem oka na Stefana.

– Mogą próbować do wieczora, ale nic nam nie zrobią. Będą musieli podejść bliżej.





En'tak wypuścił kolejną strzałę i zobaczył, jak uderza w jedną z wielkich, okrągłych tarcz, nie wyrządzając żadnej szkody. Skrzywił się, sfrustrowany. Jeśli będą zmuszeni atakować pieszo, pozbawi ich to największej przewagi w walce – szybkości i zwrotności, pozwalającej na zadawanie ciosów z końskiego grzbietu, a także możliwości zasypywania pozycji obronnych wroga nieustającym deszczem celnych strzał i osłabienia jego sił przed ostatecznym atakiem. Pieszo, biegnąc po nierównym terenie, nie mogli liczyć na podobną szybkość i precyzję, bo wysokie trawy groziły potknięciem przy każdym kroku. Poza tym znaleźliby się zbyt blisko, by prowadzić ostrzał stromotorowy, a tylko w taki sposób mogli pokonać jednolity mur tarcz, który mieli przed sobą.

Jednakże ta decyzja była przemyślana. En'tak chciał się zbliżyć do nieprzyjaciela i przypuścić atak. Teraz jednak, gdy policzył tarcze przed swoim oddziałem, uświadomił sobie, że nie doszacował sił Skandian. Spodziewał się zaledwie sześciu przeciwników, tymczasem tarcz było osiem, co oznaczało, że naprzeciwko jego dwunastu żołnierzy stoi ośmiu wrogów. To dawało mu odrobinę mniejszą przewagę, niż zakładał.

Należało wziąć pod uwagę jeszcze jedną kwestię, o której En'tak nie miał pojęcia. Temudżeini byli doskonałymi wojownikami, odważnymi i pełnymi determinacji. Jednakże ich specjalnością były ataki z odległości, ostrzał z łuków z końskich grzbietów i szarża dopiero w końcowym etapie bitwy. Potrafili niezłe walczyć na krótkim dystansie, ale teraz mieli do czynienia ze Skandianami, najprawdopodobniej najlepszymi w walce w zwarciu na całym świecie.

En'tak za chwilę miał się o tym przekonać na własnej skórze. Odrzucił na bok łuk i wyciągnął zakrzywioną szablę.

– Do ataku! – ryknął. – Wykończyć ich!

Dysponując tak niewielkim oddziałem, nie mógł sobie pozwolić, by część ludzi prowadziła stały ostrzał, podczas gdy ich towarzysze ruszą do walki. To także była standardowa taktyka Temudżeinów, której nie udało się w tym przypadku zastosować.



Thorn wyjrzał zza osłony i zobaczył, że śmiercionośny deszcz strzał ustał, a jeden z wojowników stojący na środku szeregu Temudżeinów rzuca

na ziemię łuk i wyciąga długą, zakrzywioną szablę. To oznaczało, że mur tarcz spełnił już swoje zadanie. Thorn wstał i wydał kolejny rozkaz:

– Włócznie!

Osiem włócznie ciśniętych przez Skandian poszybowało łukiem w stronę szarżujących Temudżeinów. Dwaj z nich upadli, odrzuceni siłą ciężkiej broni miotanej. Pozostali zawahali się, widząc skandyjskie tarcze, topory i miecze. En'tak był wprawdzie marnym dowódcą i taktykiem, ale odważnym człowiekiem. Wrzasnął na swoich ludzi, by atakowali wroga.

Sam wybrał potężnego Skandianina po lewej stronie. Wojownik nosił na oczach dziwne czarne krążki i miał długą broń, która wyglądała jak skrzyżowanie piki, włócznie i topora. Wyszedł na szaniec, aby odeprzeć atak Temudżeinów, a ogromną tarczę opuścił na ziemię, żeby ująć drzewce w obie ręce.

En'tak zachwiał się lekko, przełaząc przez rów, który okazał się wypełniony luźno powrzuconymi gałązkami, kamykami i kępami trawy. Odzyskał równowagę i wskoczył zwinnie na ziemny wał obok ogromnego Skandianina, jednocześnie biorąc śmiertelny zamach swoją szablą.

Skandianin spokojnie odparł atak i pochwycił ostrze szabli w szczelinę między nasadą topora a ostrzem włócznie. Szybkim ruchem wyrwał uwięziony miecz z ręki En'takowi i wyprowadził kontratak – wszystko w ułamku sekundy.

En'tak odskoczył, stracił równowagę i spadł do rowu. Gdy starał się wstać na nierównym, niedającym oparcia podłożu, usłyszał obok siebie głos przyjaciela.

– Przegrywamy! – krzyknął Ka'zhak. – Musisz wracać do obozu i powiedzieć sha'shanowi, że nad jeziorem są Skandianie! Szybko! My ich zatrzymamy, żebyś mógł uciec!

Dowódca patrolu rozejrzał się rozpaczliwie. Zobaczył dwóch swoich ludzi leżących na szańcu, a w momencie, kiedy spojrzał w tę stronę, trzeci także zwałił się na ziemię. Brodaty Skandianin z szopą potarganych włosów i ogromną maczugą zastępującą prawą rękę wbił brutalnym ciosem swoją broń w tułów przeciwnika, miażdżąc żebra i sprawiając, że lżej zbudowany wojownik poleciał do tyłu. En'tak potrząsnął głową, niczego nie rozumiejąc. Jak jego plan mógł się nie powieść do tego stopnia?

Ka'zhak szarpnął go za ramię, odwrócił tak, że En'tak znalazł się plecami do bitwy, i popchnął w stronę ich obozu.

– Idź już! Spiesz się!

En'tak jak w odrętwieniu stwierdził, że jego zastępca miał rację. Sha'shan musiał się dowiedzieć, że Skandianie wdarli się na wielkie jezioro. Skoro znalazł się tam jeden okręt, mogło się ich znaleźć więcej, zaś Pa'tong, przywódca Temudżeinów, powinien koniecznie zostać o tym poinformowany.

En'tak ruszył biegiem. Usłyszał za plecami okrzyk bólu, a kiedy się obejrzał, zobaczył, że jego przyjaciel pada od ciosu topora potężnego Skandianina z czarnymi kółkami na oczach. Ka'zhak sturlał się z szanica do rowu i spoczął bez ruchu. En'tak, ze spływającymi po twarzy łzami żalu i frustracji, pobiegł dalej, starając się nie słuchać odgłosów walki za sobą.

Dotarł do obozu, gdzie czekały konie uwiązane na prowizorycznym padoku. Odwiązał swojego wierzchowca i spojrzał na leżące na ziemi siodło. Koń miał założone ogłowie, więc dowódca uznał, że nie ma czasu go siodłać, i wskoczył na grzbiet zwierzęcia na oklep. Natychmiast szarpnął za wodze, aż zwierzę okręciło się w miejscu i skierowało na wschód. Grzbiet najbliższego wzgórza wierzchowiec pokonał już pełnym galopem. Za sobą pozostawiał złowróżbną ciszę. Szczęk broni i jęki rannych umilkły.

Lydia i Hal leżeli ukryci w wysokiej trawie nad ogromnym wozem-jurtą sha'shana. W trakcie obserwacji zauważyli, jak przywódca Temudżeinów wychodzi jeszcze raz, żeby porozmawiać z kapitanem straży. Potem, pół godziny później, na platformę z tyłu wozu wyszła kobieta niosąca miskę wody. Wylała ją na ziemię, rozejrzała się spokojnie i wróciła do środka.

– Są we dwoje – odezwał się Hal. – Myślisz, że może tam być ktoś jeszcze?

Lydia wzruszyła ramionami.

– Możliwe. Trudno powiedzieć.

Niedługo potem poznali odpowiedź na to pytanie, kiedy trzy kobiety przygotowujące posiłek przy jednym z ognisk podeszły do wozu, niosąc talerze z jedzeniem.

Zatrzymały się u stóp schodów na platformę i zawołały. Kiedy odpowiedział im męski głos, weszły na wóz, ale nadal czekały. Kłapa namiotu odchyliła się, ze środka zaś wyłonił się sha'shan wraz z wcześniej widzianą kobietą, która tym razem niosła dwa niskie stołki. Ustawiła je na platformie i gestem zaprosiła sha'shana, by zajął miejsce na jednym z nich. Korpulentny przywódca rozsiadł się wygodnie, a pozostałe kobiety zaczęły mu usługiwać, ustawiając kilka talerzy z jedzeniem na deskach platformy.

– Śniadanie na świeżym powietrzu – rzekł Hal. Lydia nie odpowiedziała. Kiedy sha'shan dostał już posiłek, jego towarzyszką także otrzymała swój talerz. Usiadła na drugim stołku i zaczęła jeść.

Hal uśmiechnął się.

– Jeden talerz dla niej, trzy dla niego.

– Niewątpliwie dlatego ma taką smukłą figurę – odparła sucho Lydia.

Czas mijał, a oni kontynuowali obserwacje. Kilka patroli opuściło obóz i skierowało się na południe i na zachód. Wydawało się, że nic więcej się nie wydarzy – mieszkańcy obozu byli zajęci codziennymi obowiązkami – wietrzyli posłania, trzepali kurz z koców i dywaników, a także podgrzewali wodę do mycia w beczkach stojących przy największych ogniskach. Lydia zauważyła, że większością tych prac zajmowały się kobiety. Mężczyźni siedzieli wygodnie na słońcu przed namiotami, przygotowując strzały lub ostrząc zakrzywione szable. Część sporządzała nowe łuki – krótkie i refleksyjne, przeznaczone do strzelania z końskiego grzbietu. Hal wyteżał wzrok, ale nie widział zbyt wielu szczegółów.

– Chciałbym wiedzieć, jak oni to robią – powiedział cicho. Zawsze fascynowały go techniki sporządzania broni.

Lydia uśmiechnęła się szeroko.

– Możesz się tam przejść i poprosić, żeby ci pokazali.

Hal spojrzał na nią ponuro.

– Chyba raczej nie – odparł. Rozejrzał się i rzucił okiem na słońce. Stało już wysoko, a rosa na trawie wyparowała. To oznaczało, że jeśli teraz wyruszą, nie pozostawią za sobą widocznego śladu.

– Na nas już czas – ocenił. – Nie sądzę, żebyśmy się mogli dowiedzieć czegoś więcej.

Lydia skinęła głową.

– Thorn zacznie się o nas martwić – dodała. – Straszna z niego kwoka.

Zaczęli się wycofywać tyłem ze wzniesienia, z którego obserwowali obóz. Kiedy znaleźli się poza zasięgiem wzroku wartowników, Hal chciał się podnieść na kolana, ale Lydia zatrzymała go nagłym gestem ręki.

– Słuchaj! – szepnęła ponagłająco. Hal zamarł przykucnięty. Do jego uszu dobiegł stłumiony tętent kopyt konia galopującego z zachodu. Szybko schował się w trawie i odwrócił w stronę, z której dobiegał ten odgłos.

– To powracający patrol? – zapytał.

Lydia pokręciła głową.

– To pojedynczy koń – odparła. Wskazała pasmo wzniesień na południu, zza którego wyłonił się jeden jeździec. Mężczyzna poganiał swojego wierzchowca, mimo że zwierzę biegło już tak szybko, jak tylko mogło, a jego boki pokrywała biała piana. Jeździec zniknął im z oczu, kierując się do obozu.

Hal i Lydia wymienili spojrzenia i szybko wrócili na poprzedni punkt obserwacyjny.

– Coś się stało – orzekła Lydia.

– Przyjechał z zachodu – zauważył Hal z niepokojem w głosie. Lydia spojrzała na niego pytająco, więc wyjaśnił: – Nie przyjechał z południa. Przyjechał prosto z zachodu. Tam właśnie znajduje się „Czapla”.

Dziewczyna zastanowiła się nad jego słowami.

– To nie musi mieć koniecznie związku z naszym statkiem.

– Możliwe, ale o co innego miałoby chodzić?

Umilkli i przyglądali się, jak nowo przybyły wpada do wielkiej jurty stojącej na otwartej przestrzeni za kilkoma rzędami namiotów mieszkalnych. Przez cały ranek obserwowali wchodzących i wychodzących stamtąd jeźdźców. Było oczywiste, że w jurcie mieści się centrum dowodzenia.

Kilka minut później mężczyzna pojawił się ponownie, ciągnięty pod ramiona przez dwóch Temudżeinów, podczas gdy trzeci – starszy i zapewne wyższy stopniem – maszerował przodem, prowadząc ich do wozu sha’shana. Więzień, bo taki los wyraźnie spotkał przybysza, szarpał się bezskutecznie z prowadzącymi go strażnikami. Starszy mężczyzna odwrócił się i rzucił kilka urywanych słów. Więzień przestał się szamotać, wyprostował się i poszedł dalej z własnej woli.

– Zakładałabym, że nie przyniósł dobrych wieści – oceniła Lydia. – To by wróżyło dobrze dla załogi.

– Miejmy nadzieję – odparł Hal.

Niewielka grupa dotarła do jurty na wozie. Strażnicy i więzień zatrzymali się na dole, podczas gdy dowódca wspinał się po schodach i stanął przed namiotem. Zawołał coś, a po jakiejś minucie pojawił się sha’shan. Wyższy oficer skłonił się zdawkowo, po czym zaczął szybko mówić. Nawet z odległości widać było narastającą wściekłość sha’shana. Kilka razy przerwał, zadając dodatkowe pytania. Potem wskazał więźnia i machnięciem ręki polecił, by poszedł bliżej.

Sha'shan ze złością rzucał ponuremu mężczyźnie kolejne pytania, często przerywając mu w pół zdania. Więzień stał ze spuszczoną głową i mówił cichym głosem. Lydia i Hal doskonale słyszeli sha'shana, ale w mamrotanych odpowiedziach nie byli w stanie odróżnić poszczególnych słów.

W końcu przywódca Temudżeinów machnął ręką, a obstawa zepchnęła więźnia ze schodów. Na ziemi został znowu unieruchomiony, z rękoma wykręconymi za plecy. Sha'shan wydał pełny furii rozkaz, na który więzień zareagował okrzykiem przerażenia i błaganiem o litość. Sha'shan zbył go lekceważącym gestem, a strażnicy pociągnęli mężczyznę przez obóz z powrotem do namiotu sztabowego.

– Chyba nie chcę wiedzieć, co go czeka – powiedział Hal. Lydia nie odpowiedziała, ale pomyślała to samo.

Sha'shan jeszcze kilka minut naradzał się z oficerem. Ich dyskusji towarzyszyła ożywiona gestykulacja i wskazywanie na zachód i na południe. W końcu oficer skłonił się jeszcze raz i odwrócił do schodów, a sha'shan powrócił do wnętrza jurty.

Kiedy oficer wracał szybkim krokiem przez obóz do swojego namiotu, Hal odwrócił się do Lydii.

– Najwyższy czas, żebyśmy się stąd zbierali – zdecydował.



## Rozdział 22



**U**szli zaledwie pięćdziesiąt metrów, gdy od strony obozu dobiegły ich wykrzykiwane rozkazy i dźwięk rogów. Lydia położyła dłoń na ramieniu Hala, dając znak, żeby się zatrzymał. Obejrzeni się na wznoszące się za nimi niskie wzgórze.

Po kilku minutach z prawej strony zbocza wyłonił się oddział sześćdziesięciu jeźdźców, który zmierzał na południowy zachód. Hal i Lydia ukryli się w wysokiej trawie i patrzyli, jak jeźdźcy znikają za następnym wzniesieniem.

– To nie jest patrol – zauważył Hal. – To cały ałum.

Lydia nie zdążyła odpowiedzieć, ponieważ znowu usłyszeli tętent kopyt i w oddali pojawiły się jeszcze dwa ałumy, galopujące od strony obozu. Podobnie jak pierwszy, skierowały się na południowy zachód.

– Przenoszą obóz – domyśliła się Lydia.

Hal potrząsnął głową.

– Nie cały obóz. Potrzebowaliby co najmniej jednego albo dwóch dni, żeby wyruszyć w drogę. Ale to już jest istotna siła bojowa. W sumie stu osiemdziesięciu konnych.

– Spodziewałabym się, że pojedą prosto na zachód, tam gdzie został przycumowany okręt – zauważyła Lydia.

Hal domyślił się jednak planów wroga.

– Są sprytni – ocenił. – Wiedzą, że okręt nie będzie czekać w miejscu, gdzie go wcześniej znaleźli. Może przepłynąć na drugą stronę jeziora, a tam nie zdołają się dostać. Poza tym jezioro jest ogromne i łatwo na nim zgubić

pościg. Na pewno ja bym tak postąpił, gdybym był teraz na pokładzie. Potrzebują jakiegoś przewężenia; miejsca, gdzie mogliby zatrzymać okręt, gdyby próbował wrócić na nizinę.

Lydia przymrużyła oczy, analizując jego słowa.

– Takiego jak punkt, w którym rzeka wypływa z jeziora?

– Ja bym tak postąpił na ich miejscu. Jeśli uda im się zablokować tę drogę ucieczki, będziemy tu uwięzieni.

– Co oznacza, że powinniśmy się spieszyć.

– Właśnie tak.

Ruszyli przed siebie szybszym marszem, a po chwili przeszli w powolny trucht – szybciej nie dało się przemieszczać przez czepiające się nóg trawy, przeszkadzające przy każdym kroku. Nie zobaczyli kolejnych ałumów kierujących się na południowy zachód. Równina wydawała się całkowicie pusta. Słysząc było tylko szelest wiatru poruszającego źdźbłami traw.

Południe już dawno minęło, gdy w końcu wspięli się na niewielkie wzniesienie w pobliżu miejsca, gdzie pozostawili przycumowaną „Czapłę”. Hal przyjrzał się małemu cyplowi i poczuł, że opuszcza go nadzieja.

Statek zniknął.

Wymienili z Lydią niespokojne spojrzenia. Hal rozejrzał się wzdłuż brzegów jeziora na północ i południe, poszukując jakichś śladów obecności okrętu. Przyjrzał się wyspie, próbując ustalić, czy jest przy niej ukryta „Czapla”.

Niczego nie widział.

W tym momencie Lydia ścisnęła jego przedramię i wskazała drugą ręką brzeg koło niedużego cypla.

– Tam – powiedziała. Kiedy Hal spojrzał w tę samą stronę, zobaczył znajomą postać, która podniosła się z wysokiej trawy i zamachała do nich.

– To Thorn! – oznajmił z wyraźnie słyszalną ulgą w głosie. Ruszył biegiem w dół zbocza do czekającego mężczyzny. Lydia towarzyszyła mu, trzymając się kilka kroków za nim. Kiedy przedzierali się przez trawę, Hal zobaczył dwa jasne błyski światła, kiedy Thorn uderzył o krzemień ręką saksy. To była standardowa metoda wysyłania sygnałów do towarzyszy znajdujących się na pokładzie statku.

Byli w połowie drogi w dół i zaledwie trzydzieści metrów od Thorny, gdy Lydia znowu zawołała Hala. Skirl, który starał się nie przewrócić i patrzył głównie pod nogi, na nierówny grunt, podniósł głowę i zobaczył, że z wyspy wyłania się smukły kształt. „Czapla”, napędzana wiosłami,



skierowała dziób w stronę brzegu i przyspieszyła, aż pod dziobem utworzyła się biała falka.

Hal dobiegł do Thorn'a i uściskał uśmiechniętego morskiego wilka, który zachwiał się i cofnął o dwa kroki pod wpływem impetu zderzenia.

– Wróciliście! – powiedział Thorn, odwzajemniając uścisk. Powitał także Lydię, która zareagowała z nieco mniejszym entuzjazmem. – Dobrze cię widzieć, dziewczyno!

Lydia szybko wysunęła się z jego objęć i zmarszczyła nos.

– Czy ty się kiedykolwiek kąpiesz? – zapytała. Wiedziała, że kiedy znajdowali się na morzu, słodka woda była ściśle racjonowana. Jednakże tutaj Thorn miał do dyspozycji całe jezioro. Uśmiechnął się do niej, nie czując się w najmniejszym stopniu dotknięty.

– Kąpiel jest dla tych, którzy są brudni albo śmierdzą – wyjaśnił radośnie.

– Czyli kwalifikujesz się z obu powodów – odparła Lydia. Zanim jednak zdążyli pociągnąć dalej temat, przerwał im Hal.

– Co tu się stało? – zapytał. Widział na brzegu, koło cypla, kilka świeżych grobów. – Czy wszyscy są cali i zdrowi? – zapytał z nagłą obawą.

Thorn poklepał go uspokajająco po ramieniu.

– Nic nam nie jest. Ingvar został draśnięty w ramię przez strzałę, która przeleciała za blisko. Poza tym nikt nie jest ranny. Tu leżą Temudżeini – wyjaśnił, wskazując groby. – Nadzialiśmy się na jeden z ich patroli.

Hal skinął głową.

– Domyśliliśmy się, że coś takiego się stało.

– Na szczęście był mały, a dowódca nie okazał się szczególnie dobry w swoim fachu. Postanowił zaatakować nas pieszo, co nie było najlepszym pomysłem. Temudżeini potrafią wiele rzeczy, ale jako piechota są do niczego.

– On też tutaj leży? – zapytał Hal, wskazując groby.

Thorn pokręcił głową.

– Uciekł, jako jedyny. Kiedy go widzieliśmy po raz ostatni, pędził do obozu Temudżeinów, jakby go ścigały wszystkie furie piekielne.

Hal i Lydia wymienili spojrzenia.

– W takim razie to jego widzieliśmy – powiedział Hal. Odwrócił się do Thorn'a i wyjaśnił: – Rano zobaczyliśmy jeźdźca, który przybył do obozu. Wyraźnie miał do przekazania sha'shanowi złe nowiny...

– Widzieliście sha'shana? – wtrącił Thorn, ale Hal uniósł rękę, by mu przerwać.

– Zaraz do tego wrócę. Kilka minut po tym, jak ten mężczyzna złożył raport, w całym obozie zapanowało poruszenie. Całe mnóstwo wojowników opuściło obóz i skierowało się na południe.

– Na południe – zastanowił się Thorn. – Nie na zachód, gdzie jesteśmy.

– Hal uważa, że chcą nam uniemożliwić wypłynięcie z jeziora – wyjaśniła Lydia. – I zatrzymać nas tutaj.

Thorn pokiwał z namysłem głową.

– To by miało sens – przyznał. – Najprawdopodobniej założyli, że już nas tutaj nie znajdą. Jak duży jest ten obóz? Skoro jest z nimi sha'shan, musi być ogromny.

– Naprawdę olbrzymi – odpowiedział Hal. – Liczy chyba tysiące namiotów. To nie jest zwykły obóz. Myślę, że to cały naród temudzeński.

Ktoś krzyknął niecierpliwie, gdy tylko dziób „Czapli” dotknął brzegu. Stig przeskoczył przez reling, wylądował z pluskiem w płytkiej wodzie i ruszył ku nim.

– Nic wam nie jest? – zapytał, gdy znalazł się bliżej.

– Absolutnie nic – zapewnił go Hal. – Ale nie mamy czasu, żeby stać i plotkować. Wejźmy na pokład, a potem wyjaśnię wam, co się dzieje.

Podbiegli do statku, a Jesper i Stefan wychylili się przez reling na dziobie, żeby pomóc przy wsiadaniu. Stig zaczekał, aż wszyscy znajdą się na pokładzie, a potem zapał się ramieniem o dziób niedużego okrętu i pchnął, żeby uwolnić go z miękkiego mułu. Kiedy „Czapla” zakołysała się swobodnie na wodzie, Stig złapał za reling i wybił się w górę, wskazując na pokład. Jesper złapał za pas przyjaciela, żeby mu pomóc.

– Dzięki – rzucił Stig, po czym pobiegł w stronę rufy, po drodze wydając rozkazy wiosłarzom. Ulf, Wulf, Stefan i Ingvar zrobili trzy pociągnięcia do tyłu, po czym dwójka na sterburcie zaczęła wiosłować do przodu, a pozostała dwójka – do tyłu. Statek okręcił się wokół własnej osi, robiąc zwrot.

Hal stanął przy sterze i przyjrzał się wimplowi, podczas gdy Stig wydawał wiosłarzom kolejne rozkazy.

– Zaczekaj – powiedział skirl. – Podnieście lewy żagiel.

Rześki wiatr wiejący po skosie od strony sterburty był doskonały do żeglowania. Wciągnięto wiosła ze znajomym stukotem – teraz nie trzeba się

już było kryć – a Stefan i Jesper zajęli pozycje przy fałach, podczas gdy Ulf i Wulf stanęli przy szotach.

Rejka podniosła się w górę masztu i zablokowała w swoim gnieździe. Żagiel natychmiast się wydał, a potem utworzył napięty łuk, gdy bliźniacy zaczęli wybierać szoty, żeby nad nim zapanować. „Czapla” przyspieszyła płynnie i zaczęła ciąć wodę, aż uderzające o dziób falki wybijały szybki rytm.

Płynęli wzdłuż wschodniego brzegu jeziora w kierunku rzeki. Hal wykorzystał ten czas, by opowiedzieć załodze, co zaobserwował w obozie Temudżeinów. Thorn natomiast zrelacjonował bitwę na brzegu jeziora.

– Mieliśmy szczęście – przyznał. – Dowódca patrolu nie okazał się szczególnie bystry. Wątpię, by drugi raz tak się nam udało.

– Możliwe, ale potrzebujemy szczęścia, żeby znaleźć się na rzece, zanim Temudżeini zablokują nam drogę i uniemożliwią ucieczkę.

Edvin przeszedł na rufę, a na jego twarzy malował się wyraz niepokoju. Hal zauważył to i gestem zaprosił go, żeby podszedł bliżej.

– O co chodzi, Edvinie? – zapytał.

Edvin przepraszająco rozłożył ręce.

– Zostawiliśmy całe wyposażenie obozowe na wyspie – odparł. – Duży namiot, twój mały namiot i moje naczynia. Poza tym zostały tam zapasy. Nie mamy niczego na statku. Przepraszam, Halu, nie miałem pojęcia, że ruszymy w drogę powrotną, kiedy tylko znajdziesz się na pokładzie. Nikt z nas tego nie wiedział.

Hal machnął ręką.

– Nie przejmuj się, Edvinie. Jeśli nie zdążymy znaleźć się na rzece, zanim dotrą nad nią Temudżeini, brak zapasów będzie najmniejszym z naszych problemów. Jeśli nam się to uda, możemy po drodze zabrać jedzenie, które zostawiliśmy poniżej pierwszej przenoski. A jeśli oni nas wyprzedzą, będziemy mogli wrócić na wyspę i zabrać to, co zostawiliśmy.

Edvin odetchnął z ulgą, ale zaraz zmarszczył brwi.

– Co zrobimy, jeśli nas wyprzedzą?

Hal pokręcił głową.

– Mam pewien pomysł – przyznał. – Ale pomówimy o nim, kiedy się przekonamy, czy zdążymy przed nimi.

Ponieważ wiedział, że w każdej chwili mogą zobaczyć Temudżeinów, skierował statek bardziej na środek jeziora, trzymając się jakieś dwieście pięćdziesiąt metrów od brzegu – daleko poza zasięgiem łuków.

Brzeg zaczął łagodnie zakręcać na zachód, co oznaczało, że zbliżali się do końca jeziora i do miejsca, w którym wypływała Lodowa Rzeka. Na niedużym okręcie zapadła cisza, a cała załoga przeszła na dziób i wypatrywała na brzegu jakichś oznak obecności temudżeińskich jeźdźców.

– Możliwe, że nam się udało – powiedział Hal, ale Thorn rzucił mu ponure spojrzenie. Stary wilk morski był przesądny i uważał, że nie wolno kusić losu i oznajmiać dobrych wieści, dopóki nie jest się ich całkowicie pewnym. Hal zauważył to i tylko wzruszył ramionami. Jeśli Temudżeini ich wyprzedzili, nic się na to nie poradzi. Jeśli nie, mówienie czegoś takiego nie sprawi, że się nieoczekiwanie pojawią.

Widzieli teraz rzekę i linię przyboju po stronie zachodniej. Nadal nic nie świadczyło o tym, że ktokolwiek czeka na brzegu.

Aż nagle z trawy na wschodnim brzegu wynurzył się zastęp milczących jeźdźców, galopujących w stronę miejsca, w którym rzeka wypływała z jeziora. Hal poczuł, że traci ducha, i pomyślał, że być może Thorn miał rację. Może nie powinien wyrażać swoich nadziei na głos.

Tuż za jeziorem rzeka miała osiemdziesiąt metrów szerokości. Płycizna i linia przyboju po stronie zachodniej ograniczały dostępną dla okrętu przestrzeń do jakichś sześćdziesięciu metrów, co oznaczało, że gdyby spróbowali tędy przepłynąć, znajdą się w zasięgu strzał z łuków Temudżeinów. Ponieważ na brzegu czekały prawie dwie setki wojowników, mijająca ich „Czapla” byłaby wystawiona na bezustanny ostrzał. W dodatku konni żołnierze mogli jechać wzdłuż rzeki i kontynuować strzelanie z łuków. Tarcze Skandian stanowiły doskonałą ochronę, ale nawet one nie pozwoliłyby zatrzymać takiego deszczu strzał bez żadnych strat. Poza tym Temudżeini czekali na nich w miejscu, gdzie musieliby się zatrzymać na pierwszą przenoskę. Hal niechętnie musiał spojrzeć prawdzie w oczy.

Byli uwięzieni na jeziorze.



## Rozdział 23



**O**by was Gorlog pożarł! – rzucił Hal pod adresem jeźdźców czekających nieruchomo na brzegu. Lydia spojrzała na niego ze zdziwieniem, ponieważ Hal rzadko aż do tego stopnia ulegał emocjom. Nowi jeźdźcy pokonali grzbiet wzgórza i dołączyli do swoich towarzyszy. Łącznie była ich teraz ponad setka, a mieli pojawić się kolejni. Kluf zaszczekała wyzywająco.

– Ty to masz dobrze – zwrócił się do niej z goryczą Hal. – Nie rozumiesz, co się naprawdę dzieje. Nie wystarczy szczekanie, żeby ich odstraszyć.

Kluf wyczuła złość w jego głosie, zeskoczyła na pokład i zwinęła się w kłębek, nie spuszczając czujnego wzroku ze swojego pana.

– Co teraz? – zapytał Stig. Na pokładzie zapanowała ponura cisza.

– Wracamy na wyspę – zdecydował Hal.

Skierował statek na północ. Południowy brzeg jeziora, na którym czekał rząd milczących, obserwujących ich uważnie jeźdźców, roztopił się w oddali. Stig miał zamiar zapytać Hala o dalsze plany, ale skirl miał zacięty wyraz twarzy, a Thorn potrząsnął ostrzegawczo głową, więc pierwszy oficer zachował milczenie.

Przycumowali na swoim miejscu na wyspie, a Stig wysunął kładkę znad burty. Machnął ręką na Hala, który – odkąd odpłynęli z południowego końca jeziora – przerywał milczenie tylko po to, by wydać niezbędne rozkazy.

– Mamy założyć sieci? – zapytał.

Hal pokręcił głową.

– Nie ma sensu. I tak nas nie zobaczą.

Stig zawahał się. Nie był pewien, czy powinien polecić załodze zwijać obóz na wyspie, czy też Hal będzie chciał spędzić tutaj noc. Skirl zauważył jego niepewność i położył mu rękę na ramieniu.

– Wybacz, Stigu. Nie chciałem się na tobie wyładowywać. Zostaniemy tutaj na noc, równie dobrze możemy się wygodnie wyspać. Jutro zastanowimy się, co robić dalej.

Tak właściwie decyzję podjął jeszcze tego samego wieczoru. Edvin przygotował posiłek, a cała załoga siedziała wokół ogniska i raczyła się poobiednią kawą. Hala stale zaskakiwało, jak urozmaicone i apetyczne potrawy Edvin potrafi przyrządzić z tych ograniczonych zapasów, jakimi dysponuje. Uważał, że młody kucharz ma ewidentny talent, a już samo to czyniło go wartym tyle, ilu trzech dodatkowych wojowników. Smaczne dania podtrzymywały morale i entuzjazm załogi.

Hal popatrzył po twarzach towarzyszy, siedzących w kręgu wokół dającego ciepło ogniska i pogrążonych w cichej rozmowie. Noc była chłodna, więc dołożyli więcej drewna do ognia. Tak jak stwierdził wcześniej, nie było sensu dłużej się ukrywać. Temudżeini wiedzieli, że „Czapla” znajduje się na jeziorze, i nie potrzebowali wiele czasu, by domyślić się, że jej bazą stała się ta wyspa.

Przysłuchiwał się rozmowom. Ulf i Wulf znowu dyskutowali o płatkach śniegu, Stefan zaś wtrącał się co pewien czas z precyzyjnymi technicznymi pytaniami, na które żaden z bliźniaków nie potrafił odpowiedzieć. Stig i Thorn omawiali bitwę na brzegu jeziora i analizowali błędy popełnione przez dowódcę patrolu Temudżeinów. Ingvar i Lydia siedzieli obok siebie, owinięci kocami, i przysłuchiwali się tej dyskusji. Dziewczyne zainteresowało szczególnie to, że Czaple rozpoczęły obronę od rzutu włóczniami w nacierających wrogów. Przyznała, że nigdy wcześniej nie widziała, by Skandianie stosowali tę technikę.

Thorn uśmiechnął się do niej.

– Kiedy jesteś z nami, zwykle nie musimy tego robić – wyjaśnił. Popatrzył na Stiga. – Ale zauważyłem, że trafiliśmy tylko dwóch przeciwników. Nasza precyzja pozostawia sporo do życzenia.

Stig skinął głową.

– Jak rozumiem, to znaczy, że będziemy częściej ćwiczyć rzucanie włócznią?

– Przyznaję, że ostatnio to zaniedbałem – rzekł Thorn. W załodze „Czapli” to właśnie on odpowiadał za treningi z bronią i taktykę walki. Był surowym nauczycielem, ale Czaple wiedziały, że jego upór, by „robili to dobrze”, wiele razy uratował im życie. Byli niedużą załogą. Większość drużyn liczyła około dwudziestu ludzi, a załogi wilczych okrętów miały ich ponad trzydziestu. Ale umiejętności i doskonałe wyszkolenie sprawiły, że Czaple były jednym z najskuteczniejszych oddziałów we flocie skandyjskiej.

Na chwilę zapadła cisza, gdy obie rozmowy niemal jednocześnie dobiegły końca. Hal podniósł się ze swojego miejsca, kilka metrów od kręgu przy ogniu, i podszedł, by dołączyć do towarzyszy. Załoga pozwoliła mu się namyślać w spokoju, ponieważ wiedziała, że przygotowuje plan działania. Przywykli do tego, że skirl potrafił wpaść na pomysł pozwalający wydostać się z każdej trudnej sytuacji, i wierzyli, że tym razem będzie tak samo. Gdy stanął w kręgu światła, umilkli, czekając niecierpliwie na jego słowa.

– No dobrze – zaczął Hal. – Na pewno zastanawiacie się, co dalej.

Odpowiedziały mu potwierdzające pomruki. Hal przyjrzał się znajomym twarzom i zobaczył, że maluje się na nich wiara w jego pomysły. Poczul nagły przypływ niepewności, czy nie zawiedzie przyjaciół. Ten koncept był z całą pewnością ryzykowny.

– Drogę ucieczki z jeziora zagradza nam prawie dwustu Temudżeinów – podsumował sytuację. – Moglibyśmy próbować przepłynąć, ale bylibyśmy wystawieni na ich strzały i mało prawdopodobne, by udało nam się wyjść bez szwanku.

Część załogi pokiwała głowami. Popatrzyli po sobie, zastanawiając się, kogo z nich mogłyby dosięgnąć strzały Temudżeinów. Typowe dla wojowników było to, że nie zakładali w żadnym razie, że mogłoby to spotkać ich samych.

– W dodatku mogliby jechać za nami brzegiem rzeki aż do miejsca pierwszej przenoski. Strzelaliby przez cały czas, a my bylibyśmy bezbronni, ponieważ musielibyśmy zajmować się wiosłami i sterowaniem.

– Mieliby nas jak na widelcu – zauważył Stig.

Hal skinął głową.

– Właśnie tak. Poza tym musimy brać pod uwagę, co mogłoby się stać, kiedy dotarlibyśmy do przenoski. Oni nie czekali by grzecznie, aż wyciągniemy okręt na brzeg i zniesiemy go po ścieżce na niższy poziom.

– Ale byliby na drugim brzegu – przypomniał Thorn.

Hal popatrzył na swojego potarganego mentora. Thorn miał rację. Temudżeini znajdowali się na wschodnim brzegu rzeki, a przenoski były na zachodnim.

– Przeprowadzenie się na drugi brzeg nie zajmie im zbyt wiele czasu – powiedział. – Może nie trafią na żaden bród, ale nie zakładałbym, że nie wymyślą jakiegoś sposobu.

– Owszem, to nie są ludzie, których można nie doceniać – zgodził się Thorn.

– Poza tym należy wziąć pod uwagę, do jakiego stopnia będziemy odsłonięci, kiedy zajmiemy się wyciąganiem statku na brzeg, wylądowaniem wszystkiego i przygotowaniami do przenoski w dół. Musielibyśmy to wszystko robić w zasięgu ich łuków, nawet jeśli nie udałooby im się przeprowadzić na zachodni brzeg. A jeśli coś wiemy o Temudżeinach, to że umieją celnie strzelać. Jeśli będzie do nas strzelać dwustu żołnierzy, może się zrobić naprawdę nieprzyjemnie.

– To jaki masz plan? – zapytał Stig. Uznał, że przecież wszyscy wiedzą, jakie niebezpieczeństwa na nich czyhają. Muszą się tylko dowiedzieć, jak Hal zamierza sobie z nimi poradzić.

– Potrzebujemy zakładnika. – Hal odetchnął głęboko. – Kogoś, czyjej śmierci nie będą ryzykować. Kogoś, kogo baliby się trafić zbłąkaną strzałą.

Lydia nie wydawała się przekonana.

– Oni są naprawdę bezwzględni – przypomniała. – Już się o tym przekonaliśmy. Pamiętasz, jak pozwalali ginąć swoim ludziom pod Fortem Ragnak tylko po to, żeby przetestować skuteczność naszej obrony? Jeśli złapiemy jednego z nich jako zakładnika, nie zawahają się nawet na moment. Zaczną do nas strzelać, a jeśli trafią zakładnika, to uznają, że miał po prostu pecha.

Hal uśmiechnął się do niej.

– Nie, jeśli to będzie sha'shan.

Tak jak się spodziewał, został natychmiast zasypany pytaniami. Stig patrzył na niego jak na wariata. Thorn rozważał ten pomysł z ponurym uśmiechem, przechylając na bok głowę. Stig machnięciem ręki uciszył resztę załogi. Kiedy grad pytań ustał, odwrócił się do skirla.

– Nie mówisz chyba poważnie – powiedział. – Porwać sha'shana? Wziąć go jako zakładnika? Nigdy w życiu nam się to nie uda.



– Przeciwnie. – Hal uśmiechnął się uspokajająco. – Nie wyobrażam sobie lepszej okazji.

Zaskoczony Stig pokręcił głową.

– Chyba musisz to szczegółowo wyjaśnić.

– Widzieliśmy, że sha'shan mieszka w ogromnym namiocie ustawionym na wozie, a wóz z kolei zlokalizowany jest na samym obrzeżu obozu, żeby wodzowi nie dokuczały dym i hałas.

– Ale przecież ma chyba strażę? – zapytał Stig.

Hal spojrzął na Lydię, szukając potwierdzenia.

– Widzieliśmy może sześciu ludzi, prawda?

Dziewczyna powoli pokiwała głową.

– Tak, sześciu rozstawionych wokół wozu.

– Nie byli też szczególnie czujni, pamiętasz? – Lydia znowu skinęła głową, więc Hal mówił dalej. – Chodzi o to, że oni się nie spodziewają, by ktokolwiek mógł zaatakować sha'shana. Zbyt długo byli całkowicie bezpieczni w swoim obozie, któremu nic nie zagrażało. Żaden wróg nie był dość śmiały, by porwać się na wóz sha'shana.

– To słuszna uwaga – przyznał z namysłem Thorn. – Temudżeini są przyzwyczajeni do atakowania innych, ale nie do tego, że inni mogą ich zaatakować.

– Właśnie – potwierdził Hal. Widział, że wraz z jego kolejnymi słowami z twarzy załogi znikają wątpliwości i niepewność. – Poza tym w tym momencie panuje tam chaos. Wysłali co najmniej trzy ałumy nad rzekę, a reszta jest zajęta przygotowaniem do przeniesienia obozu. Możecie mi wierzyć, że to ogromne zadanie. Z całą pewnością przez najbliższe trzy dni będzie tam głównie zamieszanie i bałagan. Proponuję, żebyśmy skorzystali z tego, zakradli się i wprowadzili sha'shana.

– Ile osób chcesz tam posłać? – zapytał Thorn. Pozostali nastavili uszy w napięciu. Reakcja załogi pokazała Halowi, że towarzysze zaakceptowali jego pomysł. Co więcej, przeszedł on surową ocenę Thorna, a to sprawiało, że sam Hal pozbył się ostatnich wątpliwości, jakie mogły go dręczyć.

Popatrzył szybko na Stiga. Wysoki młodzieniec jako pierwszy sprzeciwił się temu planowi – i to bardzo stanowczo. Teraz jednak na jego twarzy malowała się całkowita akceptacja. Stig uśmiechnął się szeroko i potrząsnął głową, by wyrazić podziw dla toku myślenia Hala.

– Cztery – odpowiedział Hal na pytanie Thorna. – Stig... – urwał, spojrzął na Stiga i poczekał na jego skinienie głowy, zanim wymienił

kolejne imiona: – Thorn, Lydia i ja.

Ingvar wstał nagle. Jego potężna sylwetka górowała nad Halem.

– Jeszcze ja – powiedział. – Mówiłeś, że jest sześciu strażników. Ja także chcę iść z wami.

Kilka głosów wyraziło podobne poglądy. Stefan, Ulf i Wulf zerwali się z miejsc, domagając się włączenia do wyprawy. Hal uniósł rękę, by uciszyć ich protesty.

– Cztery osoby wystarczą – oznajmił stanowczo. – Mamy przewagę, jaką da nam zaskoczenie. Jeśli zabierzemy kogoś jeszcze, nie zostanie dość ludzi na statku. Uwierzcie mi, „Czapla” musi być gotowa, żeby zabrać nas jak najszybciej. Pojmanie sha’shana nie będzie najtrudniejszą częścią planu. Ucieczka z nim to zupełnie co innego. Statek musi być w pełni obsadzony i czekać na nas, zanim wieści dotrą na południowy brzeg i zaalarmują Temudżeinów. Chodzi o to, żeby ich zaskoczyć. Nie chciałbym, żeby mieli czas na wymyślenie własnego planu.

Ingvar sprawiał wrażenie, jakby chciał się dalej kłócić, ale Lydia podniosła się i położyła mu rękę na ramieniu.

– On ma rację, Ingvarze. Czwórka wystarczy. Reszta będzie bardziej potrzebna na statku.

Ingvar chciał coś powiedzieć, ale zastanowił się i pokręcił głową, aż zakolysał się cały jak rozgniewany, zagubiony niedźwiedź.

Hal podszedł krok bliżej do niego.

– Mógłbym wydać ci rozkaz, Ingvarze – rzekł cicho. – Wolałbym jednak, żebyś z własnej woli pogodził się z moją decyzją.

Kiedy to mówił, zobaczył, że Lydia kładzie dłoń na potężnym przedramieniu Ingvara i ściska je lekko.

W końcu Ingvar skinął głową.

– Niech będzie, Halu. Skoro tak uważasz.



## Rozdział 24



**H**al i Thorn stali ukryci wśród drzew na wyspie i obserwowali porośniętą trawą, pofalowaną równinę, która ciągnęła się po sam horyzont. W ciągu dnia dojrzelili kilka niedużych patroli jadących wzdłuż wschodniego brzegu jeziora i najprawdopodobniej wypatrujących ich okrętu.

– Niezbyt ich wiele – ocenił Thorn.

– Większość czeka w miejscu, gdzie rzeka wypływa z jeziora. Albo pomaga w przygotowaniach do przeniesienia obozu – odparł Hal.

Thorn skinął głową.

– Tak jak mówiłeś, panuje tam bałagan. To doskonały moment, by porwać sha'shana. Kiedy chcesz wyruszać?

Hal spojrział na pozycję słońca i oszacował, że do zmroku pozostało jeszcze kilka godzin.

– Możemy ruszać nawet teraz. Nie ma sensu tracić czasu. Zanim zrobi się całkiem ciemno, zdążymy pokonać większość drogi do obozu Temudżeinów.

Wrócili pospiesznie do obozowiska. Pod ich nieobecność Stig i reszta załogi spakowali namioty i ekwipunek, przenosząc wszystko na pokład statku. Miejsce po obozie wydawało się teraz dziwnie opuszczone – pozostał tylko wypalony krąg trawy tam, gdzie wcześniej było ognisko.

– Gotowi do drogi? – zapytał Hal. Kiedy Stig skinął głową, Hal podniósł głos, by zwrócić się do całej załogi. – Podpłyniemy teraz do brzegu

i ruszymy do obozu Temudzeinów. Edvinie, ty będziesz dowodzić pod naszą nieobecność.

Drobny Edvin skinął głową – był logicznym kandydatem na dowódcę pod nieobecność Hala, ponieważ miał doświadczenie jako sternik i potrafił szybko myśleć. Co jednak najważniejsze, miał zrównoważony temperament. Jesper, Ulf i Wulf dawali się ponosić emocjom i czasem podejmowali nieprzemyślane decyzje. Stefan i Ingvar nie mieli doświadczenia w dowodzeniu i nie byli nim zainteresowani. Wszyscy bez oporów zgodzili się z decyzją Hala.

– Wyszadzisz nas na brzegu, a potem wrócisz na wyspę. Możecie zacumować po wschodniej stronie, żeby potem łatwiej wam było nas wypatrywać.

– Ale czy nie wpadniemy na Temudzeinów? – zapytał Jesper. – Nie byłoby lepiej, gdybyśmy wrócili na tę stronę?

Hal zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie widać na razie żadnych Temudzeinów, a za kilka godzin zrobi się ciemno. Przy brzegu wyspy będziecie częściowo ukryci, na pewno widoczni znacznie mniej niż na otwartej tafli jeziora. Pamiętajcie tylko, żeby nie zapalać żadnych świateł. Chcę, żebyście tam czekali, ponieważ kiedy wrócimy, musicie być gotowi, żeby podjąć nas jak najszybciej. Niewykluczone, że będzie nam się spieszyć.

Jesper i pozostali zgodzili się z tym pomysłem.

– Kiedy dotrzemy na szczyt najbliższego wzniesienia – mówił dalej Hal, wskazując punkt na pofalowanej równinie – damy wam sygnał trzema błyskami iskier z krzesiwa. Cztery będą oznaczać, że jesteście w niebezpieczeństwie. Wypatrujcie nas bezustannie. Kiedy zobaczycie sygnał, odbijcie od wyspy i płyńcie do brzegu jeziora, żeby nas zabrać.

– I nie guzdrajcie się – dodał Thorn.

Hal spojrział na niego z uśmiechem.

– Właśnie. Nie chcielibyśmy siedzieć beczynn timer, czekając na was.

– Będziemy tam, kiedy sobie zażyczysz, Halu – obiecał cicho Edvin.

Hal zastanowił się, czy nie powinien powiedzieć mu czegoś jeszcze. Uznał, że chyba uwzględnił wszystkie okoliczności. W takiej sytuacji nie warto było wydawać zbyt szczegółowych rozkazów – znacznie rozsądniej będzie dostosować się w razie potrzeby do okoliczności. Wskazał więc gestem okręt.

– Dobrze, w takim razie wypływamy.



„Czapla” przybiła łagodnie do brzegu i znieruchomiała, przytrzymywana poruszeniami wiosła. Hal, Thorn, Stig i Lydia czekali na dziobie. Gdy okręt zbliżył się do lądu, w kilka sekund przeskoczyli przez reling i dotarli na brzeg, brnąc przez płytką wodę. Ledwie zdążyli postawić stopę na lądzie, kiedy Edvin wydał cichy rozkaz, a „Czapla”, nadal poruszana wiosłami, wycofała się na jezioro.

Hal patrzył, jak okręt odbija od brzegu, zatacza szeroki łuk i kieruje się z powrotem na wyspę. Czuł się dziwnie bezbronny z dala od bezpiecznego i znajomego pokładu własnego statku.

– Ruszajmy – zarządził Thorn, który wyczuł nagłą niepewność Hala i chciał, by skirl pozbył się jej jak najszybciej. Hal zrobił to – otrząsnął się psychicznie i fizycznie – i skierował się na wschód.

Szli gęsiego przez wysoką, oplatającą nogi trawę, zmieniając kolejność, by każdy przez pewien czas torował drogę pozostałym. Gdy docierali do jednego z niewielkich wzniesień, przyklękali, a ten, kto szedł na czele, ruszał przodem, żeby sprawdzić, czy mogą bezpiecznie przejść dalej. Tym razem jednak nie spotkali ani jednego temudżeińskiego patrolu.

Hal uznał, że to tylko lepiej. Obejrzał się i zlustrował wzrokiem pofalowaną równinę, która wydawała się ciągnąć bez końca. Ponieważ tym razem szli we czwórkę, jedno za drugim, zostawiali za sobą doskonale widoczny ślad wydeptanej trawy. Zastanawiał się, czy nie powinni iść obok siebie, żeby tego uniknąć, ale uświadomił sobie, że marsz gęsiego sprawia, iż poruszają się znacznie szybciej niż poprzednio, gdy wędrowali przez tę równinę tylko z Lydią.

Ocecił, że za jakąś godzinę zrobi się ciemno, a ślady staną się gorzej widoczne, o ile w ogóle pojawi się ktoś, kto mógłby je zobaczyć.

– Przynajmniej będzie nam łatwiej w drodze powrotnej – powiedział Stig po jakiejś godzinie marszu. – Będziemy mieć już wydeptaną ścieżkę.

– Oszczędzaj siły – burknął do niego Thorn. To właśnie on szedł w tym momencie na czele, klnąc, kiedy długie źdźbła oplątywały się wokół jego butów, zagrażając potknięciem, lub kiedy wdeptywał w zagłębienie lub dziurę w ziemi, przysłoniętą trawą.

Stig uśmiechnął się w duchu – nie poczuł się urażony. Posłuchał jednak polecenia i dalej szli w milczeniu, jeśli nie liczyć przyciszonych przekleństw lub pomruków irytacji, jakie wywoływało nierówne podłoże.

Słońce chyliło się ku zachodowi, a cienie wędrowców wydłużały się, falując i poruszając się przed nimi jak groteskowe parodie ich sylwetek. Gdy słońce zniknęło za horyzontem, nastąpił krótki okres zmierzchu, a potem na pogodnym, zimnym niebie zamrugały pierwsze gwiazdy. Hal, który szedł teraz na przedzie, podniósł rękę, dając znać, żeby się zatrzymali.

– Odpocznijemy tu trochę – zdecydował. – Za godzinę wzejdzie księżyc, wtedy ruszymy dalej.

– Nie musimy odpoczywać – zauważył Stig, ale Hal potrząsnął głową.

– Nie chcę ryzykować na tym terenie. Potrzebujemy chociaż odrobiny światła, żeby widzieć, dokąd idziemy. Tu jest tyle dziur i nierówności, że trudno nam będzie się nie potykać w kompletnej ciemności. Ktoś z nas mógłby z łatwością skrócić nogę, a wtedy mielibyśmy poważny kłopot.

Z ulgą usiedli tam, gdzie stali, pozwalając odpocząć zmęczonym mięśniom. Mimo że torowali drogę na zmianę, marsz przez wysoką trawę okazał się naprawdę wyczerpujący. Przed opuszczeniem „Czapli” Edwin rozdał im manierki z kawą, która była teraz jeszcze letnia. Wypili ją chciwie i niebawem poczuli ożywcze działanie kofeiny.

– Jaki mamy plan, gdy już dotrzemy na miejsce? – zapytał Stig.

– Kiedy znajdziemy się na wzgórzu nad jurta na wozie, ocenimy sytuację – odparł Hal. – Powinno tam być sześciu strażników, więc musimy zacząć od zdjęcia dwóch z nich. Potem każdy z nas zajmie się uciszeniem jednego z pozostałych. Kiedy to już zrobimy, wejdziemy do środka i złapiemy sha’shana.

– To takie proste? – zapytał Stig i uśmiechnął się.

– To takie proste – odpowiedział Hal.

Lydia pacnęła owada, który łąził jej po twarzy, i strzepnęła jego zmiażdżone zwłoki palcem wskazującym i kciukiem.

– Zastanawiałeś się, co zrobimy z panią sha’shanową?

Stig popatrzył na nią.

– Panią sha’shanową?

– Jego żoną. Mieszka z nim w tej jurcie na wozie, a przynajmniej na to wyglądało, kiedy byliśmy tam poprzednio. – Lydia spojrzała Halowi w oczy. – Nie możemy jej zostawić, żeby podniosła alarm – powiedziała z naciskiem. – Czy może chciałbyś ją z nami zabrać?

Hal nie odpowiadał przez kilkanaście sekund. Od kilku kilometrów zastanawiał się nad problemem żony sha’shana.

– Nie mamy jak jej zabrać – odparł w końcu. – Za mało nas jest, żeby strzec obydwójga, a także by dopilnować, żeby nie narobili hałasu, kiedy będziemy ich wyprowadzać z obozu.

– Cóż, nie możemy jej zostawić, bo wtedy także narobi hałasu – przypomniała Lydia.

Znowu zapadła chwila krępującej ciszy.

– Proponujesz, żebyśmy ją zabili? – zapytał Hal z lekkim niesmakiem.

Lydia energicznie pokręciła głową.

– Nie! Oczywiście, że nie. Pytam tylko, czy zastanawiałeś się nad tym problemem. Masz jakiś pomysł, co możemy z nią z robić?

– Zwiążemy ją i zakneblujemy – odparł Hal. – To będzie musiało wystarczyć.

– Pamiętaj, że jeśli ktoś ją znajdzie, zanim wrócimy na statek, będzie mogła dokładnie opowiedzieć, co się stało – zauważył Thorn.

Hal popatrzył na niego z irytacją.

– Cóż, to będziemy mieli pecha. Jak mówię, to będzie musiało wystarczyć. – Przeniósł spojrzenie na Lydię. – Ty zajmiesz się uciszeniem jej, kiedy znajdziemy się w jurcie.

Lydia wzdrygnęła się lekko.

– Ja? Dlaczego ja? – zapytała ostro.

Hal machnął ręką w stronę Stiga i Thorna.

– Bo żaden z nas nie miałby ochoty ogłuszyć kobiety – odparł i dodał ze złośliwym uśmiechem: – A także dlatego, że to ty poruszyłaś ten temat.

– Czyli ja mogę ją ogłuszyć, ponieważ także jestem kobietą? O to ci chodzi? – dopytywała zapalczywie Lydia.

Hal poruszył się niepewnie.

– Nie. Jesteś kobietą i jesteś pomysłowa. Na pewno znajdziesz jakiś łagodniejszy sposób, by ją uciszyć.

Lydia miała zamiar dalej się kłócić, ale Hal wskazał horyzont na wschodzie, zza którego wyłaniała się żółta tarcza księżyca.

– Księżyc wschodzi – zauważył. – Czas, żebyśmy ruszali dalej. Lydio, ty idziesz przodem.

– Ponieważ jestem pomysłowa?

Hal pokręcił głową.

– Nie. Ponieważ teraz kolej na ciebie. W drogę.



Wędrowali przez noc, patrząc pod nogi i ostrożnie stawiając stopy. Tereny wokół były monotonne i całkowicie puste. Bolały ich mięśnie, dręczyło też pragnienie, więc regularnie pili wodę z manierek. Każde z nich miało dwie manierki – jedną z wodą, a drugą z letnią kawą, ale wiedzieli, że kawa, szczerze osłodzona miodem, nie pozwoli zaspokoić pragnienia – jeśli już, słodycz jeszcze je wzmoże.

Doświadczenie żołnierskie sprawiało, że zadowalali się małymi łykami wody, by zostawić sobie dostatecznie duży zapas na drogę powrotną. Po kolejnych paru godzinach Thorn wskazał łunę nad horyzontem na wschodzie.

– Zbliżamy się – poinformował. – Tam jest obóz.

Stig zagwizdał cicho, gdy zobaczył, jak ogromna jest łuna. Hal i Lydia uprzedzili pozostałych, jakie rozmiary ma obóz Temudżeinów, ale mimo wszystko okazał się większy, niż pierwszy oficer się spodziewał. Wydawało się, że poblask zajmuje połowę horyzontu.

– Tam muszą być chyba setki ognisk – rzucił półgłosem.

Lydia spojrzała na niego.

– Owszem – potwierdziła.

Łuna stała się jasna i rozległa, sprawiała wrażenie, że obóz znajduje się za najbliższym grzbieciem. Kiedy jednak wspięli się na kolejne wzniesienie, zobaczyli przed sobą tylko monotonną trawiastą przestrzeń.

– Przyspieszmy trochę – polecił Hal, więc zwiększyli tempo, potykając się co pewien czas w czasie marszu i zostawiając za sobą wyraźnie widoczną, wydeptaną ścieżkę.

Kiedy zbliżyli się do kolejnego wzgórza, idący na czele Hal podniósł ostrzegawczo rękę.

– Teraz uważajcie – powiedział, przykucnął i na czworakach pokonał resztę drogi na szczyt wzniesienia. Pozostali poszli w jego ślady, a potem podczołgali się kawałek, nie rzucając się w oczy.

Przed nimi rozciągał się ogromny obóz Temudżeinów.





## Rozdział 25



**P**rzez kilka minut w bezruchu obserwowali rozległe obozowisko; Hal i Lydia sprawdzali, czy odkąd widzieli je ostatnio, nie zaszły jakieś znaczące zmiany.

Część jurt znikła, jedna z zagród przeznaczonych dla koni była w połowie pusta. Poza tym nie zmieniło się nic.

– Kilka ałumów udało się na południowe wybrzeże – wyjaśnił szeptem Hal.

Thorn skinął głową.

– I tak wielu wojowników pozostało. W którym wozie mieszka sha'shan?

Hal wskazał na lewo, po czym nisko schylony nad grzbietem wzgórza poprowadził ich kilkaset metrów do miejsca, z którego lepiej było widać wóz-jurtę sha'shana. Podczołgali się bliżej na łokciach i kolanach, by dokładniej rozpoznać sytuację.

– Nadal sześciu wartowników – policzyła Lydia.

– Nie mówiąc już o strażnikach pilnujących krańców obozowiska – dodał Hal. – Nim zdejmemy obstawę sha'shana, będziemy musieli ich ominąć.

Najbliższy z tych strażników stał trzydzieści metrów od nich. Pełnił straż plecami do obozowiska, oparty o wbitą drzewcem w ziemię włócznię. U lewej nogi miał małą, obciążoną skórą tarczę. Właśnie uniósł dłoń do ust i głośno ziewnął. Hal jak zwykle musiał zwalczyć śmieszny odruch, by uczynić to samo. Zawsze uważał, że ziewanie jest wyjątkowo zaraźliwe.

– Niezbyt sobie bierze do serca swoje obowiązki – zauważył Stig.

– Podejrzewam, że za pamięci żyjących nie zdarzyła się jeszcze napaść na obóz Temudżeinów. – Hal zaśmiał się cicho. – Jak już mówił Thorn, na nich się nie napada, to oni napadają. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby połowa z tych strażników spała na stojąco.

– A można tak? – zainteresował się Stig. – Spać na stojąco?

– Na stojąco i z otwartymi oczami – potwierdził Thorn. – Chyba nie będzie bardzo trudno ich ominąć. Musimy dołożyć starań, żeby nie narobić hałasu. A jak sobie poradzimy ze strażnikami sha'shana? – spytał.

Hal jeszcze przez chwilę dokonywał oceny sytuacji. Miał już gotowy plan, w jaki sposób upora się z przeciwnikami pełniącymi wartę. Teraz właśnie się upewnił, że odkąd ostatnio obserwował ich razem z Lydią, nie zmienili swoich pozycji.

Tworzyli krąg wokół jurty wodza, każdy z mężczyzn stał w odległości około czterech metrów jeden od drugiego. Po jednym przy każdym końcu i czterech pozostałych jakby na rogach wozu. Każdy z nich widoczny był dla dwóch pozostałych, znajdujących się po obu jego bokach.

– Lydio – odezwał się – masz może pod ręką kilka tępych strzałek?

Znał odpowiedź. Wiedział, że w swym kołczanie dziewczyna zawsze ma dwa albo trzy ślepaki. Były to pociski zaopatrzone w stępiony grot, w przeciwieństwie do ostrych jak igła pozostałych. Wytworzono je specjalnie po to, by móc pozbawić kogoś przytomności, niekoniecznie od razu zabijając. Hal nie miał ochoty pozbawiać życia niczego nie spodziewających się strażników.

– Mam trzy – odpowiedziała. – Nie wystarczy, żeby unieszkodliwić wszystkich. – Wykonała przy tym ruch mający oznaczać krąg strażników.

– Potrzebuję, żebyś zdjęła tylko jednego – odpowiedział Hal. – Tego przy schodkach w przedniej części wozu. Zdołasz tego dokonać?

Lydia zmrużyła oczy, oceniając odległość do wskazanego przez Hala strażnika. Po krótkiej chwili odparła:

– Nie ma problemu.

Hal jednak wolał się upewnić.

– Jesteś pewna? Światło nie jest najlepsze.

Leżeli na grzbiecie pagórka w odległości osiemdziesięciu a może nawet dziewięćdziesięciu metrów od strażnika.

Lydia zerknęła z ukosa na Hala.

– A chcesz, żebym stąd go trafiła? Zakładałam, że podejdziemy nieco bliżej.

– Podejźmy. Myślę, że trzeba go będzie trafić z odległości około czterdziestu metrów – wyjaśnił Hal.

Energicznie skinęła głową.

– W takim razie, jak mówiłam, nie ma problemu. Jak chcesz to przeprowadzić?

– Zakradniemy się poza zewnętrzny krąg strażników, potem trzeba dać Stigowi i Thornowi czas, by zbliżyli się do twojego celu. Kiedy zajmą pozycję, wtedy go zdejmiesz.

– W porządku – odpowiedziała Lydia, marszcząc czoło – ale skoro będą w pobliżu, to przecież mogą się uporać ze strażnikami sami?

– Chodzi o to, że dwaj pozostali, pełniący straż od przodu wozu, mogliby ich zauważyć. A tak, jeżeli ty go trafisz, zobaczą tylko, że ich towarzysz z jakiegoś niezrozumiałego powodu po prostu upadł. Wtedy zaś zajmą się nimi Thorn i Stig – rzekł i zerknął na dwóch towarzyszy, którzy słuchali go uważnie.

W kąciку ust Thorna dostrzegł uśmiezek. Wiadomo, stary wilk morski uwielbia takie podchody – pomyślał Hal.

– Jeżeli niczego nie zauważą, ułożcie go, jakby spał – dodał. – W końcu i tak się zorientują, że go nie ma, więc będą chcieli sprawdzić, co się stało. Jeżeli uznają, że śpi, nie będą się tak mieli na baczności.

– A co, jeżeli zamiast podejść, po prostu podniosą alarm? – spytał Stig.

– Myślę, że tego nie zrobią. Nie ośmielą się zbudzić sha'shana ze snu, zechcą wpięrsz się upewnić, że mają po temu powód. Tamtego ranka, kiedy go obudzili, raczej nie był zachwycony.

– Czyli istnieje szansa, że śpiąca królowna się nie obudzi? – spytał Stig, szczerząc się w uśmiechu.

Hal pokręcił głową.

– Nie przypomina z wyglądu królowny, oj nie. Tak czy inaczej, kiedy rozprawicie się z tymi dwoma, przekradniemy się na drugą stronę i załatwimy trzech pozostałych. Po jednym na każdego z nas, a ty, Lydio, zostań w odwodzie i bądź gotowa, żeby załatwić każdego, który będzie próbował zwać albo podnieść alarm.

Lydia bez słowa skinęła głową. Hal odczekał jeszcze chwilę i spytał:

– Wszystko jasne? Każdy wie, co ma robić?

Odpowiedziały mu trzy stłumione pomruki. Uznając je za potwierdzenie, Hal przypadł do ziemi, kryjąc się całkowicie w wysokich trawach.

– W takim razie: naprzód!



Doczłgali się w ten sposób do stóp wzgórza, Hal jako pierwszy, trójka pozostałych za nim. Po krótkim czasie minęli zewnętrzny krąg strażników, wpatrzonych w pustkę na zewnątrz. Teraz raczej należało się obawiać wartowników pilnujących sha'shana. Sądząc jednak po ich miernej czujności, kłopoty wydawały się mało prawdopodobne.

To dziwne – pomyślał Hal. Wiedzą przecież, że wróg czai się w pobliżu, ukryty pośród traw, a także na jeziorze. Powinni się spodziewać, że będzie ich nękał. Tymczasem najwyraźniej z punktu widzenia Temudżeinów wyglądało to zupełnie inaczej. Owszem, wiedzieli, że gdzieś na jeziorze jest zapewne kilkunastu Skandian. Cóż to znaczy wobec tysięcy zbrojnych? Temudżeini najwyraźniej uznali, że nie ma czego się obawiać. Skandianie mogą okazać się uciążliwi, natomiast najeźdźcy nie uważali ich za realne zagrożenie.

Hal i jego towarzysze znaleźli się w odległości około czterdziestu metrów od wybranego na pierwszą ofiarę wartownika. Skirl dał znak, żeby Lydia pozostała na miejscu, a potem machnął Thornowi i Stigowi, by dalej czołgali się, przygotowując zasadzkę na dwóch następnych.

Razem z Lydią czekał, aż tamci dotrą w pobliże celu. Widzieli lekko poruszające się źdźbła wysokiej trawy, lecz poza tym wojownicy poruszali się szybko i bezgłośnie; kto by nie wiedział, że tam są, niewielkie miałyby szanse, by ich zauważyć. Zresztą ten ktoś z pewnością uznałby, że trawą kołysze wieczorny wiatr.

Hal odczekał jeszcze dłuższą chwilę, aby mieć pewność, że Stig i Thorn są już gotowi. Potem, starając się nie przyspieszać, odliczył sekunda po sekundzie jeszcze dwie minuty. Wreszcie dotknął przedramienia Lydii i skinął głową w stronę wartownika, który wciąż stał oparty o włócznię, najwyraźniej okrutnie znudzony.

Lydia dobyła z kołczana stępiony pocisk, odpięła od pasa atlatl z kościaną rączką. Powolotku uniosła się, by przyklęknąć na jedno kolano, umocowała drzewce strzałki w zakrzywionej części miotacza. Odczekała, aż wiatr powiał nieco mocniej, wprawiając w falisty ruch źdźbła traw, po czym płynnym ruchem powstała, wycelowała i wypuściła pocisk.

Natychmiast, gdy poszybował ku swemu celowi, znów padła w trawę, wciąż poruszając się miękko i gładko.

Po sekundzie Hal usłyszał głuchoe stuknięcie tępego grota o czaszkę temudżeińskiego wartownika. Mężczyzna wydał ledwo dosłyszalne, stłumione stęknięcie. Kolana się pod nim ugięły, osunął się w trawę, znikając Skandianom z oczu.

Hal i Lydia pozostali w bezruchu, wstrzymując dech, czekając, jak zareagują pozostali wartownicy; podobnie Stig i Thorn przyuczajeni w pobliżu powalonego przez Lydię strażnika. Nasłuchiwali w napięciu, czy pozostali wartownicy nie spostrzegli, że ich towarzysz padł. Mijały sekundy.

Nic.

– Naprzód – szepnął prawie bezgłośnie Thorn.

Obaj ze Stigiem poczołgali się, trąc brzuchami o ziemię; wyłonili się z trawy dopiero na wydeptanej wokół wozu otwartej przestrzeni. Szybko przemknęli ku nieprzytomnemu mężczyźnie. Leżał twarzą do ziemi, skulony, z jednym ramieniem wyciągniętym, z podkuloną pod siebie prawą nogą. Jego włócznia upadła kilka metrów dalej, wypuszczona z bezwładnej dłoni. Strzałka Lydii spoczywała tuż obok.

Szybko przewrócili go na plecy. Thorn sprawdził przy okazji, czy wojownik oddycha. Obszyta futrem filcowa czapka złagodziła uderzenie grota. Stig wetknął mu ją na głowę, a Thorn skrzyżował ramiona na piersi. Na skroni wojownika wykwitał już paskudny siniak, lecz z daleka nie było go widać. Thorn zatknął za pas strzałkę, a Stig ułożył włócznię i tarczę u boku nieprzytomnego mężczyzny.

Stig przyjrzał mu się krytycznie.

– Nie powinniśmy związać mu rąk? – spytał, ale Thorn pokręcił głową.

– Nieprędko dojdzie do siebie. Ta dziewczyna i jej atlatl są poważnym zagrożeniem dla otoczenia.

Stig machnął ręką.

– Nie wie, biedak, jakie ma szczęście. Co by było, gdyby użyła ostrego grota?

Zerknął raz jeszcze na bezwładnego strażnika, żeby na wszelki wypadek sprawdzić, czy nie da się mu nadać jeszcze bardziej naturalnej pozycji. Uznał, że nie, ostrożnie podniósł głowę. Ujrzał wartownika pełniącego straż po ich lewej stronie. Dotąd Temudzein z pewnością nie zauważył, że jego towarzysz już nie stoi tam, gdzie stał.

– Co teraz? – spytał Thorna. Jednoręki wojownik popatrzył w stronę odległych o kilka metrów wysokich traw.

– Kryjemy się znowu i czekamy, aż zauważą, że ich kumpel przestał pełnić wartę – powiedział. Obaj wpełzli w gąszcz, by ukryć się w odległości kilku metrów od siebie – tak, aby być w pobliżu, kiedy pojawią się dwaj kolejni strażnicy, żeby sprawdzić, co się dzieje – i móc zająć ich od tyłu.

Czekali zaledwie minutę czy dwie, po czym wartownik po stronie Thorn'a zawołał przyciszonym głosem, w którym pobrzmiwał niepokój. Odezwał się w swoim języku, więc go nie zrozumieli, natomiast sama intonacja wskazywała, że było to pytanie, którego znaczenia nietrudno było się domyślić: gdzie jesteś?

Thorn ocenił, że Hal miał rację. Nie zamierzali narażać się na gniew sha'shana, wszczynając alarm, zanim nie upewnili się, że jest po temu istotny powód. Przecież możliwe, że ich towarzysz po prostu oddalił się, żeby sobie ulżyć w wysokiej trawie.

Minęła chwila; wartownik zawołał znowu, tym razem trochę głośniej, lecz wciąż było to pytanie, nie alarmujący okrzyk. Tym razem odpowiedział mu strażnik po stronie Stiga, również stłumionym głosem. Wywiązała się krótka rozmowa. Thorn, który wystawił głowę ponad trawy, ujrzał, że obaj ruszają w stronę miejsca, gdzie powinien znajdować się powalony strażnik. Powoli zniżył się, ukrył i rzekł półgłosem:

– Idą. Obaj.



## Rozdział 26



**W**artownicy podeszli do miejsca, gdzie ich towarzysz leżał na plecach, upozowany tak, by zdawało się, że śpi. Gdy się zbliżyli, wartownik od strony Thorny dostrzegł stopy nieprzytomnego mężczyzny w gęstej trawie, zatrzymał się i mruknął coś gniewnie pod nosem. Zawołał cicho na drugiego strażnika, który przyspieszył kroku i po chwili do niego dołączył. Obaj stanęli nad swoim towarzyszem.

Drugi wartownik parsknął wzgardliwie. Rzekł coś do swojego towarzysza, po czym kopnął leżącego w nogę, wcale nie delikatnie.

Mężczyzna stęknął i poruszył się, lecz się nie obudził. Wartownik zmarszczył czoło, zdziwiony, pochylił się, żeby spojrzeć z bliska. Teraz obaj strażnicy byli blisko siebie.

– Teraz – szepnął Thorn. Wstał, znajdował się niemal bezpośrednio za przeciwnikiem. Nie miał założonej zamiast przedramienia potężnej maczugi, ale wystarczył mu solidny hak z utwardzonego drewna. Trzasnął nim w tył czaszki wartownika. Łupnęło i temudżeiński strażnik padł bez życia, nim zdążył się zorientować.

Drugi z wartowników osłupiał na widok Thorny, który tak nagle wyłonił się z traw. Przez ułamek sekundy nie mógł pojąć, co się dzieje. Właśnie o ułamek sekundy za długo.

Już wciągnął powietrze, by zawołać na alarm, lecz muskularne ramię Stiga otoczyło jego szyję, odcinając dopływ powietrza i uniemożliwiając wydanie jakiegokolwiek dźwięku. Wartownik szarpał się przez chwilę, lecz Stig był silniejszy i wyższy. Skandyjski wojownik podniósł przeciwnika,

którego stopy straciły kontakt z ziemią, wciąż miażdżąc mu krtań przedramieniem. W ten sposób ciężar Temudżeina zwiększył jeszcze nacisk na gardło. Wił się, próbował krzyknąć, lecz nie zdołał nawet jęknąć. Na próżno rozpaczliwie kopał Skandianina po goleniach, łapcie z miękkiego filcu nie były w stanie uczynić napastnikowi krzywdy. Wkrótce zwiotczał, jego oczy zaszyły mgłą. Rosły Stig przytrzymał go jeszcze przez kilka chwil, na wypadek gdyby Temudżein udawał. Potem ułożył ciało delikatnie na ziemi.

– Ile można czekać? – burknął Thorn.

Stig wzruszył ramionami.

– Nie mam łapy z drewna, żeby tak po prostu nią walnąć.

– Rzeczywiście. Tymczasem ja akurat miałem haka na swojego – oznajmił radośnie Thorn.

Odwrócił się, słysząc za sobą szelest. Pojawili się Hal i Lydia. Wyprostowali się, wyszli na udeptaną ziemię wokół wozu. Hal na widok trzech nieprzytomnych wartowników skinął głową z aprobatą.

– I o to chodziło – rzekł. – Zajmijmy się teraz pozostałymi, zanim zauważą brak swoich kolegów na stanowiskach.

Stig chciał znów się skryć w wysokiej trawie, ale Hal go powstrzymał.

– Lepiej pod wozem – poradził. – W ten sposób wyjdziemy bezpośrednio za nimi.

– Dobry pomysł – przyznał Stig.

Hal wczołgał się pod wielki wóz-jurtę, przeszedł pod nim na łokciach i kolanach, za nim podążali Stig i Thorn. Przedostali się w ten sposób na drugą stronę, tam gdzie znajdował się tył wozu.

Tak jak przewidział to Hal, po wyjściu spod wozu znaleźli się dokładnie za plecami trzech wartowników, którzy niczego się nie spodziewali, wypatrując zagrożenia od zewnątrz. Do tej pory żaden nie spostrzegł, że ich trzej towarzysze już nie pełnią straży. Nic dziwnego – pomyślał Hal – bardziej przecież zwracają uwagę na to, co może nadejść z tamtej strony, nie przewidują ataku od tyłu, a nie jest ich głównym zadaniem, by sprawdzać, co dzieje się z towarzyszami. Wiadomo jednak, że taka sytuacja nie potrwa zbyt długo. Prędzej czy później któryś spojrzy w stronę sąsiedniego wartownika i zobaczy, że nie ma go na stanowisku. Hal odczekał, aż Stig i Thorn do niego dołączą, leżeli teraz wszyscy trzej oparci łokciami pod wozem u jego krańca. Hal wskazał dłonią wartownika po lewej stronie, potem palcem na siebie samego. Potem środkowego



wyznaczył Stigowi, a tamtego po prawej – Thornowi. Jego towarzysze bez słowa skinęli głowami na znak, że zrozumieli polecenie. Hal poczołgał się więc, nie zwlekając już więcej, w stronę koła po lewej stronie wozu, Thorn w prawo. Stig, który znajdował się już bezpośrednio za wyznaczonym sobie celem, czekał, aż obaj znajdą się na swoich miejscach.

Lydia leżała na ziemi za nimi ze strzałką wyjętą już z kołczana i umocowaną w wyrzutni. Tym razem sięgnęła po pocisk zaopatrzony w ostry grot z hartowanego żelaza. Gdyby coś poszło źle, gdyby jeden z wartowników zorientował się, że grozi mu niebezpieczeństwo, nie będzie chwili do stracenia. Nie wolno ryzykować życia towarzyszy, uderzenie musi nastąpić natychmiast i być śmiertelne.

Hal starał się przebić wzrokiem mrok pod dnem wozu. Był już gotów, skryty za jednym z potężnych drewnianych kół. Dostrzegł, że i Thorn dotarł do koła po drugiej stronie. Spoglądał teraz w stronę Hala, czekając na jego rozkaz. Stig także na niego patrzył.

Hal dobył saksy, uniósł ją i wysunął na zewnątrz, by zaśniła w słabym blasku gwiazd. Następnie wykonał nią ruch do przodu i zaczął czołgać się w stronę swojego Temudżeina, którego sylwetka widniała na tle nieba.

Nie spuszczał celu z oczu, choć kusiło go, by zerknąć, czy Stig i Thorn także zabrali się do dzieła. Jego ludzie z załogi „Czapli” pracowali i walczyli ramię w ramię już od wielu lat. Ufali sobie nawzajem i Hal wiedział, że go nie zawiodą.

Uniósł się powoli, by stanąć tuż za wartownikiem. Ten jednak musiał dosłyszeć szelest jego ubrania, zaczął się odwracać.

Hal uderzył mosiężną głowicą rękojeści swojej saksy w sam środek czaszki nieszczęśnika. Wartownik jęknął cicho i padł na ziemię, wypuszczając z dłoni oręż; włócznia poleciała w jedną, tarcza w drugą stronę. Upadły jednak na miękką trawę, prawie nie czyniąc hałasu.

Mniej więcej w tym samym czasie rozległo się głucho łupnięcie i wartownik wyznaczony Thornowi padł bez czucia, powalony drewnianym hakiem, Stig zaś zdusił w zarodku krzyk trzeciego wartownika, który zdołał tylko cicho zacharczeć.

Hal przykucnął nad ciałem powalonego przez siebie wartownika, by spojrzeć w stronę zewnętrznego kręgu strażników. Najbliższy z nich znajdował się jednak w odległości co najmniej pięćdziesięciu metrów i niczego nie słyszał. Stał spokojnie, wpatrując się w noc.

Lydia wy dostała się spod wozu, przewróciła nieprzytomnego Temudżeina na brzuch, wykręciła mu ramiona do tyłu i skrępowała kciuki za pomocą rzemiennych kajdanek. Krótkim kawałkiem liny związała mu nogi w kostkach, po czym zdjęła z jego szyi długi szal z gęstej wełny, by owinąć go wokół głowy, uniemożliwiając w ten sposób skrępowanemu wołanie o pomoc czy wszczęcie alarmu.

Hal skinął głową w podziękowaniu. Teraz dopiero popatrzył na swoich towarzyszy; oni także wiązali i kneblowali swoich przeciwników. Odczekał, aż skończą i popatrzą w jego stronę, potem dał znak, by wszyscy udali się z powrotem ku wejściu do jurty.

Związali i zakneblowali wszystkie ofiary leżące w trawie. Żaden z wartowników nie sprawiał wrażenia, jakby miał wkrótce odzyskać przytomność, ale Hal był zdania, że ostrożność nigdy nie zawadzi.

Potem zaś, zgięty wpół, wszedł pierwszy po drewnianych stopniach prowadzących do wnętrza rozstawionej na wozie jurty.

Stopnie cicho zaskrzypiały pod jego ciężarem, lecz odgłos stłumił szelest poruszanego przez wiatr grubego materiału, z którego zrobiono namiot.

Hal zatrzymał się przed wiszącym w wejściu ciężkim kocem, który umocowano dodatkowo za pomocą sznurów, by nie trzepotał na wietrze. Wsunął ostrze saksy, rozciął sznur, uchylił koca i zajrzał do środka.

Odetchnął z ulgą, widząc, że wnętrze jurty rozświetla nikłe światło. W rogu znajdował się ołtarzyk, przed którym paliło się kilka oliwnych lampek. Rozjaśniały wnętrze czerwona w poświata. Panował tam półmrok, lecz nie nieprzeniknione ciemności, jak się obawiał. Dał znak pozostałym, żeby zaczekali, po czym wślizgnął się do środka, podnosząc koc, który zaraz opadł na swoje miejsce.

Stał przy wejściu, czekając, aż jego oczy przyzwyczają się do nikłego światła. Po chwili zaczął rozróżniać szczegóły.

Wnętrze jurty było jednym dużym pomieszczeniem. Pośrodku znajdował się żelazny piec z rurą komina prowadzącą do góry i na zewnątrz. Palenisko było wygaszone. Po jednej jego stronie znajdował się niski stół i wokół niego poduchy do siedzenia. Wzdłuż dwóch ścian ciągnęły się drewniane wieszaki, na których dostrzec można było różnego rodzaju odzienie. Pod trzecią ścianą znajdowało się szerokie łóże, w zasadzie gruby materac umieszczony na drewnianej podłodze, pokryty kobiercami i futrami. Gdy oczy Hala przywykły bardziej do półmroku, dostrzegł też leżące na nim

dwie postacie. Jedna z nich lekko pochrapywała. Usta Hala wykrzywiły się w uśmiechu. Prawdopodobnie to właśnie był sha'shan.

Odczekał jeszcze minutę, by upewnić się, że nie zakłócił snu żadnej z osób zajmujących łoża. Potem znów odchylił koc i skinął głową na Stiga oraz Lydię, żeby weszli. Jak wcześniej uzgodnili, Thorn miał ich ubezpieczać od zewnątrz.

Kiedy weszli, bez słowa pokazał im piec, stół i poduszki. Chodziło mu o to, żeby nie potykali się o wyposażenie wnętrza. Potem wskazał na łoża.

Oboje przytaknęli skinieniem głowy, ale Stig przechylił swoją na bok, co oznaczało znak zapytania. Hal domyślił się, o co chodzi. Kto jest kim? – nie sposób bowiem było rozpoznać leżących. Hal wzruszył ramionami, przesadnie, żeby było widać. Tego dowiedzą się dopiero, kiedy podniosą kołdry.

Uniósł dłoń, co znaczyło czekać. Chciał, żeby jego towarzysze, nim przystąpią do działania, na ile to możliwe przywykli do słabego światła. To również ustalili podczas planowania wypadu. Po mniej więcej minucie zarówno Stig, jak i Lydia dali znak, że są gotowi. Hal dobył saksy, po czym ruszył w stronę łoża. Teraz jednak to Lydia go powstrzymała. Z wieszaka zdjęła gruby, ciężki szal. Potem dopiero podeszła z powrotem do towarzyszy, z szalem w obu dłoniach, gotowym do użycia. Hal odgadł jej zamiar, wykonał ruch, jakby podnosił kołdrę, i wskazał ich oboje, przypominając, że to oni mają zająć się leżącymi. To również omówili wcześniej, więc zrobił to tylko dla przypomnienia.

Bezgłośnie niczym duchy przeszli po drewnianej podłodze jurty, stanęli przy materacu. Hal spojrział na boki, by upewnić się, że jego przyjaciele są gotowi. Pochylił się, nasłuchując pochrapywania. Teraz mógł już ocenić, że na pewno odgłos ten wydaje osoba znajdująca się bliżej nich. Wskazał ją, potem skinął głową na Stiga. Rosły wojownik dał ręką znak, że zrozumiał. Lydia, która musiała się przesunąć nieco dalej, by sięgnąć swojego celu, przeszła krok czy dwa, wciąż trzymając szal przed sobą.

Hal wyciągnął prawą rękę z wyprostowanymi trzema palcami. Zgiął je jeden po drugim, odliczając w ten sposób: jeden, dwa, trzy.

Potem chwycił stanowczym gestem futro i koc okrywające oba ciała i ściągnął na bok.

Sha'shan mruknął gniewnie przez sen. Leżał na boku, plecami do trójki Skandian. Nim jednak zdążył się na dobre obudzić i wydać jakikolwiek

głos, wielka łapa Stiga zasłoniła mu usta, przewracając jednocześnie na plecy, a czubek klingi dotknął krtani temudżeińskiego wodza.

Żona sha'shana zareagowała jeszcze wolniej. Powiedziała coś, wcale się nie budząc, próbowała tylko sięgnąć po kołdrę, by ją odzyskać. Hal mimo woli uśmiechnął się, widząc ten odruch – bo domyślił się, że podczas chłodnych nocy nieraz się zdarzyło, że małżonek przez sen pozbawiał ją okrycia. Musiała być do tego przyzwyczajona, skoro nawet jej to na dobre nie obudziło.

Potem jednak coś musiało ją zaniepokoić, bo uniosła powieki, na jej twarzy odmalowało się przerażenie. Próbowwała usiąść i otworzyć usta, ale Lydia była szybsza. Rzuciła się na nią i błyskawicznie owinęła głowę kobiety grubym szalem, skutecznie tłumiąc rodzący się krzyk. Spod gęstej tkaniny dobyło się tylko zduszone stęknienie. Sha'shan rozbudził się już tymczasem na dobre i doskonale zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji, choć zapewne nie wiedział, jak do tego doszło. Spojrzał z ukosa na przyłożoną do jego gardzieli klingę i skulił się ze strachu, widząc schyloną nad sobą potężną postać.

Zakładając, że mężczyzna musi choć trochę rozumieć wspólną mowę, Hal odezwał się cicho, lecz wyraźnie:

– Tylko piśnij, a jesteś trupem.



## Rozdział 27



**K**obieta nadal próbowała się wyrywać, dopóki nie uspokoiło jej ostre słowo rzucone gniewnym szeptem przez sha'shana.

Stig cofnął ostrze saksy o kilka centymetrów od gardła mężczyzny. Sha'shan skinął głową, doceniając ten gest, po czym powiedział półgłosem:

– Moja żona nie rozumie wspólnej mowy.

Lydia przygwoździła kobietę swoim ciężarem do łoża. Ruchy nóg żony sha'shana krępowały okrycia, ciasno owinięty wokół głowy szal tłumiał głos. Hal zauważył, że kobieta próbuje odwrócić głowę w stronę męża.

– Powiedz żonie – rzekł Hal – że o ile zachowa milczenie, nic jej się nie stanie. Będzie mogła swobodnie oddychać, ale jeżeli powie choćby słowo albo spróbuje krzyknąć, zginiecie oboje.

Wiedział, że tej groźby z pewnością nie spełni. Żadne z nich nie zdobyłoby się na to, żeby z zimną krwią zabić bezbronną kobietę. Jednak sha'shan nie musiał o tym wiedzieć, a ponieważ Temudzeini sami słynęli z bezwzględnego okrucieństwa, Hal był pewien, że takiego samego postępowania spodziewać się będą po innych. Przecież zarówno wódz, jak i wszyscy jego ludzie postąpiliby tak bez wahania. Więzień zerknął na Hala, próbując dopatrzeć się rysów jego twarzy. Jednak wobec panującego w jurcie półmroku był to daremny wysiłek.

– No już, powiedz jej – ponaglił go Hal. Mówił półszepem, starał się jednak, by jego głos brzmiał jak najgroźniej. Najwyraźniej z powodzeniem. Sha'shan znowu się odezwał, teraz wypowiedział dłuższe zdanie, kobieta

odpowiedziała coś, a spod grubej tkaniny dały się słyszeć mocno stłumione dźwięki.

– Mówi, że zrozumiała – wyjaśnił jej małżonek.

Hal skinął głową na Lydię, dziewczyna ostrożnie odwinęła szal. Ujrzeni żonę sha'shana – miała potargane włosy i czerwoną twarz. Gwałtownie zaczerpnęła powietrza, napełniając płuca. Najwyraźniej dusiła się pod szalem. Rzuciła wściekłe spojrzenie Lydii, potem spojrzała w stronę męża, który znów się odezwał, coś tłumacząc. Uspokoila się, jej głowa opadła na poduszki. Lydia, która trzymała w pogotowiu szal, by w razie potrzeby znów zatkać kobiecie usta, opuściła ręce.

– Przydałoby się trochę światła – ocenił Hal.

Już wcześniej zauważył stojącą na stoliku oliwną lampkę i leżący obok niej kawałek knota. Wziął go, podszedł do ołtarzyka, zapalił knot od jednej z czerwonych lampek, po czym wrócił do stołu. Zapalił dużą oliwną lampę, żółty płomień rozgorzał, rozświetlając żółtym światłem wnętrze namiotu.

– No, wstajemy – polecił Hal sha'shanowi.

Stig podniósł temudżeińskiego wodza, stawiając go na nogi lewą ręką, którą mocno trzymał kołnierz odzienia mężczyzny. Jego prawa ręka dzierżąca sakse czekała w pogotowiu. Żona wodza chciała też wstać, ale Hal powstrzymał ją gestem.

– Ty możesz zostać – powiedział.

Kołdry nadal krępowały ruchy jej dolnej części ciała i Hal uznał, że tak będzie najlepiej. Nie zrozumiała jego słów, ale znaczenie gestu było oczywiste. Wróciła do leżącej pozycji. Lydia siadła obok niej na łóżku, gotowa użyć szala, gdyby kobiecie przyszło do głowy wołać o pomoc.

Sha'shan mógł mieć około czterdziestu lat. Był niski i krępy, jak większość Temudzeinów. Minęło już jednak sporo czasu, odkąd spędzał całe dni w siodle i prowadził wojowników do boju. Został wodzem, wiodło mu się dobrze, więc przybyło mu też sporo sadła. Miał pulchną twarz i podwójny podbródek. Ubrany był w sięgającą do kolan lnianą nocną koszulę, która uwidoczniała krągły, wydatny brzuch.

– Niezle ci się żyło, co? – spytał Stig.

Sha'shan zerknął na niego ciekawie. Stig powiedział to po skandiańsku, więc go nie zrozumiał. Popatrzył znów na Hala.

– Wy jesteście ci z jeziora – rzekł. – Żeglarze.

– Zgadza się – potwierdził Hal. – Jesteśmy Skandianami.

Sha'shan zmarszczył brwi.

– Jak dostaliście się na jezioro?

– Przebrunęliśmy – wyjaśnił Stig, również we wspólnej mowie.

Temudzein popatrzył na niego z niedowierzaniem. Widocznie poczucie humoru nie było jego mocną stroną. Stig wyszczerzył się w uśmiechu i zamachał rękami, naśladując ruch skrzydeł. Wtedy sha'shan zdał sobie sprawę, że olbrzym kpi sobie z niego, więc fuknął gniewnie.

– Co chcecie z nami zrobić? – spytał Hala.

– Ty idziesz z nami – powiadomił go Hal. – Jesteś nam potrzebny, przekonasz wasze strażę w południowej części jeziora, żeby zechciały nas przepuścić.

– Nigdy wam na to nie pozwolą – odparł sha'shan.

Hal uśmiechnął się promiennie.

– Och, chyba pozwolą – odparł. – Zresztą wkrótce się przekonamy.

– A co z moją żoną? – spytał Temudzein. – Co z nią chcecie zrobić?

– Zostanie tutaj. Musimy minąć strażników pilnujących waszego obozowiska, nie chce nam się wlec ze sobą was obojga.

Kobieta spoglądała na przemian to na Hala, to na swojego męża. Zrozumiała, że teraz o niej mowa, w jej oczach pojawił się strach. Poruszyła się niespokojnie, Lydia już miała ją na nowo zakneblować, ale sha'shan rzucił krótki rozkaz i kobieta natychmiast znieruchomiała.

– Zamierzacie ją zabić? – spytał wódz Temudzeinów. To było konkretne, rzeczowe pytanie. Nie widział innego rozwiązania i w sytuacji odwrotnej tak właśnie by postąpił. – Jeżeli ją zostawicie, podniesie krzyk, gdy tylko odejdziemy.

Hal pokręcił głową.

– Zwiążemy ją porządnie i zakneblujemy – zapewnił. – W ten sposób zyskamy cztery, a może i pięć godzin. Aż nazbyt wiele czasu, żeby dotrzeć na nasz statek.

Wódz Temudzeinów wzgardliwie wydał wargi.

– Dla was lepiej byłoby ją zabić – powiedział.

– Przekażę jej twoją opinię – odpowiedział Hal. – Widzę, że bardzo ją lubisz.

Sha'shan wzruszył ramionami. Dla niego to było oczywiste: kobieta z punktu widzenia Skandian stanowić będzie zagrożenie. Najrozsądniej byłoby uciszyć ją raz na zawsze.

– Kiedy się wyswobodzi, pośle moich ludzi naszym śladem – poinformował.

– Nie uda jej się wyswobodzić – odpowiedział Stig. – Jesteśmy żeglarzami. Znamy się na węzłach.

Sha'shan spoglądał na niego przez krótką chwilę.

Hal zmarszczył czoło.

– Mówisz tak, jakbyś wolał, żebyśmy ją zabili – odezwał się, nie mogąc zrozumieć zachowania Temudżeina.

Sha'shan potrząsnął głową.

– Nie o to chodzi. To dobra zona. Nie moja rzecz, ale taka słabość doprowadzi was do klęski. Temudżeini robią, co trzeba, choćby i ze wstrętem.

– Nas na przykład napawa wstrętem konieczność zabrania cię ze sobą, ale jesteś nam potrzebny. A więc w drogę.

Pochylił się nad kobietą. Przemawiał cicho, starając się, by w jego głosie nie było groźby. Wiedział, że nie rozumie słów, może jednak spokojny ton złagodzi jej obawy.

– Zwiążemy cię i zakneblujemy... – zaczął.

Sha'shan zaczął tłumaczyć, ale Hal odwrócił się do niego natychmiast.

– Zamknij się! – rozkazał. Nie miał pojęcia, co sha'shan zamierza jej powiedzieć, a przecież nie rozumiał jego języka. Równie dobrze mógł jej kazać podnieść raban, nie dbając o to, że mogą ją uśmiercić. Już aż nazbyt dobitnie dał do zrozumienia, że niezbyt dba o jej zdrowie i życie.

Sha'shan uśmiechnął się wyniośle, ale umilkł. Hal znów zwrócił się do kobiety:

– Nie zrobimy ci nic złego. Twojego męża zabierzemy ze sobą, a ty tu zostaniesz.

Jednocześnie próbował wyjaśnić to samo za pomocą gestów, ale sądząc po wyrazie twarzy kobiety, niczego nie rozumiała. Machnął więc ręką.

– Podnieś ją – polecił Lydii – ale delikatnie. Zwiąż jej ręce i nogi, zaknebluj. Tylko tak, żeby mogła oddychać.

Lydia wstała, ściągnęła kołdry. Żona sha'shana miała około trzydziestu lat. Też była niska i krępa, lecz nie pozbawiona wdzięku. Podobnie jak małżonek miała na sobie lnianą koszulę, którą obciągnęła pospiesznie, zasłaniając kolana.

Lydia wzięła ją pod ramię, pomogła wstać. Uśmiechnęła się do niej i uśmiech ten prawdopodobnie działał znacznie więcej niż wszystkie usiłowania Hala.

– Ręce z tyłu czy z przodu? – spytała.



Hal zawahał się przez krótką chwilę. Ręce związane z przodu to mniejsze upokorzenie i niewygoda, jednak w tej pozycji o wiele łatwiej będzie jej się uwolnić. Postanowił więc:

– Z tyłu.

Lydia przepraszająco wzruszyła ramionami, patrząc na kobietę, po czym odwróciła ją i skrzyżowała jej ręce za plecami. Starła się to robić jak najdelikatniej; podobnie jak Hal chciała, żeby kobieta uwierzyła, że nic złego jej się nie stanie. W dodatku jeżeli będzie o tym przekonana, tym większa szansa, że nie będzie chciała za wszelką cenę się uwolnić.

Lydia wyciągnęła spod barankowej kamizelki kawałek liny. Wszyscy czworo przed opuszczeniem statku wyposażyli się w kajdanki na kciuki oraz sznury, wiedzieli bowiem, że może zajść potrzeba związania jeńców lub pozbawionych przytomności wartowników.

– Przykro mi, pani sha'shanowo – mruknęła, owijając jej nadgarstki sznurem.

Żona wodza sapnęła cicho, gdy Lydia zaciągnęła mocniej więzy. Lina musiała się wpijać w skórę, bo żonę wodza trzeba było związać mocno. W przeciwnym razie mogłaby się uwolnić, jeszcze zanim zyskają na tyle przewagi, że pościg będzie bezskuteczny.

– No mówię, przepraszam – powtórzyła, kobieta jakby zrozumiała. Lekko wzruszyła ramionami, chociaż skrzywiła się, kiedy poruszyła rękami i poczuła, jak sznur wpija się mocniej.

– Teraz knebel – polecił Hal.

Lydia wynalazła pośród ubrań dużą jedwabną chustę i długi szal z tego samego materiału. Nadawały się na knebel znacznie lepiej niż szorstka wełna. Poskładała chustę i przyłożyła ją do ust kobiety.

– Otwórz – powiedziała, potem gestem pokazała, czego od niej chce. Gdy kobieta wykonała polecenie, wepchnęła jej poskładaną tkaninę do ust, później umocowała ją za pomocą szala, który owinęła kilkakrotnie wokół twarzy i karku, zwracając jednocześnie uwagę, żeby żona sha'shana mogła swobodnie oddychać przez nos. Następnie związała jej nogi w kostkach drugim kawałkiem liny. Wyprostowała się.

Kobieta spoglądała na nią gniewnie i z wyrzutem.

– Ciesz się, że żyjesz – rzuciła Lydia.

Hal niecierpliwie strzelił palcami.

– Zostaw ją – zarządził. – Teraz trzeba przygotować do drogi jej męża.

Sam wybrał parę wełnianych spodni oraz sięgającą do połowy uda czerwoną kurtkę z ciężkiego, wyszywanego materiału, po czym rzucił je sha'shanowi.

– Włóż to – rozkazał.

Wódz Temudżeinów wciągnął na siebie spodnie, wetknął do nich koszulę nocną. Przy łóżku stała para filcowych butów, które także włożył. Następnie na polecenie Hala Stig związał ręce wodza z przodu, a koniec liny przeciągnął między jego nogami, a potem z tyłu, zaciskając pętlę na jego szyi. W razie jakiegokolwiek zbyt gwałtownego ruchu lina zacisnęłaby się na jego krtani. Następnie Stig oderwał rękawy od jednej z wiszących przy ścianie lnianych koszul, jeden z nich zwinął w knebel, który umocował drugim, owijając go wokół twarzy wodza.

Hal rozejrzył się po ciemnym wnętrzu jurty, zastanawiając się, czy czegoś jeszcze nie powinni zrobić. Kobieta wierciła się, usiłowała rozluźnić więzy. Próbowwała coś powiedzieć przez knebel, ale jedwab spełnił swoje zadanie, prawdopodobnie nie byłoby jej słyhać przez grube, filcowe ściany jurty. Na wszelki wypadek pogroził jej palcem.

– Spokój – polecił. Kobieta znieruchomiała, chociaż w jej oczach błyszczał gniew. – Stig, trzymaj mocno naszego przyjaciela – powiedział, a Stig na próbę pociągnął za sznur.

– Pamiętaj – powiedział sha'shanowi – najłżejszy odgłos i już po tobie.

Podniósł lśniąca główkę saksy trzymaną w drugiej ręce.

Sha'shan skinął głową na znak, że rozumie.

– Dobrze – rzekł Hal. Zdmuchnął lampkę i odsunął koc zwisający w wejściu. – Zmykamy stąd.



## Rozdział 28



**H**al wysunął się na zewnątrz, przycisnął plecy do zewnętrznej ściany jurty. Pełniący wartę Thorn uniósł rękę na powitanie. Następnie Hal odgarnął połę koca, tak żeby Stig mógł wyprowadzić temudżeińskiego wodza trzymanego żelazną ręką za kołnierz. Wypchnął otyłego sha'shana przed wejście, potem zatrzymał go. Za plecami Stiga pojawiła się bezgłośna niczym duch Lydia.

Hal rozejrzał się prędko, sprawdzając, czy powaleni przez nich wartownicy nadal nie stanowią zagrożenia. Wszyscy trzej leżeli bez ruchu. Spojrzał teraz w stronę strażników pilnujących obozowiska. Nic się nie zmieniło, ciągle stali do nich plecami, nie zwracając uwagi na to, co dzieje się wewnątrz tworzonych przez nich kręgu. Teraz należało przejść stosunkowo blisko jednego z nich – tak, by niczego nie zauważyli dwaj sąsiedni strażnicy.

Skinął głową na towarzyszy i szybko zbiegł po schodkach. Za nim Stig, prowadzący sha'shana. Potem Thorn i na samym końcu Lydia. W następnej chwili znikli już pośród wysokich traw. Dotąd sha'shan nie stawiał oporu, Hal jednak nie wiedział, jak się zachowa, kiedy mijać będą o kilka metrów jednego ze strażników. Bez niego skryci w zaroślach Skandianie bez trudu wydostaliby się poza obręb pierścienia straży. Skoro jednak prowadzili ze sobą jeńca, sprawy przedstawiały się zgoła odmiennie. Hal przywołał gestem Lydię, wskazał jej najbliższego wartownika.

– Idziemy tamtędy – wyszeptał. – Możesz go unieszkodliwić?

Przyglądała się przez chwilę, oceniając dystans i trajektorię pocisku.

– Mam go zabić czy ogłuszyć? – spytała ledwie dosłyszalnym szeptem.

– O ile dasz radę, to ogłuszyć.

Zastanowiła się jeszcze przez chwilę, po czym odpowiedziała:

– Wolałabym podejść trochę bliżej.

Hal ruchem ręki wykonał gest zaproszenia.

– Proszę bardzo, tak blisko, jak tylko zechcesz.

Brał pod uwagę możliwość posłania przodem Thorna, żeby to on powalił wartownika, jednak zanim stary wilk morski przekradłby się i zaatakował, minęłoby sporo czasu. Co więcej, walka dwóch mężczyzn, nawet jeśli trwałaby tylko kilka sekund, mogłaby zwrócić uwagę pozostałych wartowników. Uznał więc, że Lydia załatwi sprawę szybciej i bezpieczniej.

Lydia w milczeniu wydobyła z kołczana kolejną strzałkę o stępionym grocie i zaczęła czołgać się w stronę wartownika.

Znikła Halowi z oczu na dwadzieścia sekund, po czym pojawiła się nagle w odległości trzydziestu metrów od wartownika i wyprostowała z atlatem w prawej ręce, gotowym do użycia.

Tak jak poprzednio rzut wykonała z pozycji stojącej. Jej ramię wystrzeliło do przodu, uwalniając pocisk. W mroku Hal nie widział go w locie, ujrzał natomiast, jak wartownik gwałtownym ruchem rozkłada ramiona i wypuszcza z dłoni włócznię, a potem pada na twarz. Lydia tymczasem zdążyła już skryć się w trawie.

Hal odliczył do dziesięciu, żeby się przekonać, czy nie nastąpi jakaś reakcja ze strony pozostałych wartowników. Żaden z nich nie poruszył się i nie wydał żadnego odgłosu, toteż Hal skinął głową na swoich towarzyszy.

– Idziemy.

Ruszyli, schyleni, truchtem pod górę. Stig wciąż mocno trzymał sha'shana za kołnierz, prowadząc jeńca przed sobą, a silnym naciskiem zmuszał go jednocześnie, by schylił się i ugiął kolana, aby stać się mniej widocznym.

Dotarli do Lydii, która kłęczała przy nieprzytomnym wartowniku. Zdążyła już związać mu ręce i nogi, teraz kneblowała go jego własną chustą. Hal zatrzymał się obok.

– Nieźle – pochwalił.

Machnęła ręką.

– Po to tu jestem.

Zerknął na strażników po lewej i prawej stronie. Widział ich sylwetki, jednak obaj patrzyli w nieco innym kierunku, dzięki czemu droga, którą

zaplanował Hal, znajdowała się trochę poza bezpośrednim zasięgiem ich wzroku.

– Kryć się i naprzód – wydał rozkaz.

Wciąż skuleni, prowadząc więźnia, brnęli w pośpiechu przez gęstą trawę. Hal szedł przodem, za nim podążał Stig z sha'shanem, potem Thorn. Pochód zamykała Lydia. Dziewczyna zatrzymywała się od czasu do czasu i odwracała, by sprawdzić, czy nikt ich nie ściga. Nic jednak nie wskazywało na to, że zostali zauważeni. Po kilkuset metrach Hal skinął głową na Thorna.

– Teraz ty idź przodem.

Kudłaty wojownik dzięki swej sile i potężnej budowie torował drogę, dzięki temu pozostałym szło się łatwiej. W tej kolejności dotarli do grzbietu następnego wzgórza, dalej droga wiodła w dół.

– Wszystko w porządku – rzuciła z tyłu półgłosem Lydia. Hal rozejrzał się. Teraz przed wzrokiem nieprzyjaciół zasłaniało ich ukształtowanie terenu. Z ulgą wyprostował plecy i nogi.

– Teraz byle prędzej. Niedługo ktoś natknie się na skrępowanych strażników albo żonie sha'shana uda się oswobodzić.

Najprawdopodobniej – jak sądził – nastąpi to w czasie zmiany warty. Nie wiedział, kiedy do niej dojdzie. Mógłby oczywiście spytać o to sha'shana, ale tylko potrząsnął głową. To nie miało sensu. Dotąd jeniec nie stawiał oporu, lecz nie miał żadnego powodu, żeby udzielić prawdziwej odpowiedzi na takie pytanie.

Hal znowu zmienił Thorna i ruszył przodem, biegnąc przez wysokie trawy. Starał się zyskać jak najwięcej na czasie, możliwie zwiększyć dystans dzielący ich od obozowiska Temudżeinów.

Thorn zrównał się z nim.

– Zostawiamy bardzo widoczny ślad – zauważył.

Hal obejrzał się. Rzeczywiście, pięć osób idących gęsiego wydeptywało wyraźną ścieżkę. Minie sporo czasu, zanim źdźbła na nowo się rozprostują.

– Nic na to nie poradzę – odparł.

– Moglibyśmy iść obok siebie – zaproponował Thorn. – Wtedy ślady znikną dużo szybciej.

Thorn oczywiście miał rację. Co innego, kiedy źdźbła zostaną zdeptane przez jedną osobę, co innego, gdy przejdzie po nich pięć par stóp. Gdyby ruszyli dalej równolegle, być może o świcie nie dałoby się już ich wytropić. Niby tak, ale jednak... Hal potrząsnął głową.

– Stracilibyśmy w ten sposób zbyt wiele czasu – zdecydował.

W dotychczasowym tempie, kiedy prowadzący zmieniał się co kilkanaście do dwudziestu minut, poruszali się znacznie szybciej. Gdyby szli obok siebie, każde z nich musiałyby sobie samodzielnie torować drogę, a byłoby to tym trudniejsze, że Stig prowadził jeńca. Trudno, zostawiali widoczny ślad, ale dzięki temu pokonywali o wiele większy dystans.

Przedzierali się stale przez wysokie trawy. Stig musiał nieustannie zmuszać prowadzonego przez siebie jeńca do pośpiechu, ten zaś nie przejawiał wcale nadmiaru chęci, wciąż się potykał i Stig przekonany był, że robi to naumyślnie. Nie mógł jednak nic na to poradzić, wiedząc, że groźby na nic się zdadzą. Przecież tamten doskonale pojmował, że jest im potrzebny cały i zdrowy. Próbując mu grozić, Stig traciłby tylko niepotrzebnie energię. Zerkał gniewnie na tył głowy sha'shana. Musiał przyznać sam przed sobą, że w pewnym sensie podziwiał odwagę tego grubaska.

Thorn zwolnił i zaczekał na Stiga.

– Zamienimy się miejscami?

Stig przystał z radością na propozycję. Może Thornowi uda się skłonić opieszałego Temudzeina, żeby szybciej przebierał nogami. Thorn nie należał do ludzi rzucających czerne pogroźki. Jeśli zapowie jeńcowi, co go czeka w razie utrudniania marszu, z pewnością spełni swą groźbę, gdy tamten nie zastosuje się do polecenia.

Przekazał sha'shana Thornowi. Jednoręki wojownik chwycił mocno lewą dłonią jeńca za kołnierz. Szarpnął, odwrócił temudzeińskiego wodza twarzą do siebie.

– Obserwowałem cię, wasza sha'shanowatość – powiedział. Thorn nigdy nie dbał o zaszczyty i tytuły. – I co zobaczyłem? Że wleciesz się i próbujesz nas opóźnić. Rób tak dalej, a oto, co cię czeka.

Trzasnął drewnianym hakiem w czubek jego czaszki. Łupnęło porządnie, aż sha'shan zachwiał się nieco od siły uderzenia. Łzy napłynęły mu do oczu. To nie był cios, który mógłby powalić, ale naprawdę zabolął. Thorn potrząsnął lewą ręką i kołnierzem jeńca.

– Rozumiemy się? – spytał.

Sha'shan spuścił wzrok, ale za karę znowu boleśnie oberwał w to samo miejsce na czubku głowy.

– Rozumiemy się? – powtórzył Thorn z jeszcze większym naciskiem.

Sha'shan skinął głową.

– Rozumiemy – odburknął gniewnie.

Thorn rozpromienił się.

– Tak właśnie sobie myślałem, że łatwo się dogadamy. A teraz jazda! – To mówiąc, pchnął Temudżeina w kierunku marszu, podtrzymując go jednocześnie, żeby się nie przewrócił.



Lek'to, żona sha'shana, nie była żadną mimozą. W przeciwnym razie nie zostałyby małżonką samego naczelnego wodza. Była kobietą dzielną i przebiegłą, a dopiero co została boleśnie upokorzona, bo związano ją jak prosię we własnej jurcie, we własnym łóżu.

Szamocząc się, przeturlała się do brzegu materaca, a potem na podłogę, uderzając boleśnie prawym łokciem o twarde deski. Tak się złożyło, że to ta część ciała przyjęła na siebie cały impet uderzenia.

Hałas – pomyślała. – Narobić hałasu, żeby zaalarmować wartowników. Niech tu przybiegną i ją uwolnią, a ona pošle ich w pościg. Dźwignęła z trudem tułów, oparła się o łożo, aby rozejrzeć się po pomieszczeniu.

Na ołtarzyku pod ścianą stały metalowe i ceramiczne naczynia. Mogłaby je zrzucić mocnym kopnięciem, wtedy na pewno narobiłyby mnóstwo hałasu. Jednocześnie jednak zdała sobie sprawę, że na tym samym ołtarzu stoją trzy płonące oliwne lampki z czerwonymi szybkami. Jeśli je zrzuci, jurta może stanąć w ogniu.

Zapewne to całkiem niezły sposób, żeby ściągnąć tu ludzi, ale mogą się zjawić zbyt późno, żeby ją ocalić. Nie, to nie był dobry pomysł. Na stoliku pośrodku pomieszczenia stał mosiężny czajnik i sześć kubków. Kiedy zrzuci je, brzęk spadających blaszanych naczyń powinien zwrócić uwagę wartowników. Wijąc się i wiercąc, dotarła do stolika. Wsunęła pod niego nogi, próbując przewrócić mebel. Był jednak na to za niski i za szeroki, a więc wyjątkowo stabilny. Zdołała tylko przesunąć go dalej od siebie.

Na jednym z kołków wisiał sztylet w pochwie, jednak dla niej zbyt wysoko, a związana nie mogła dźwignąć się na nogi. Zresztą nawet gdyby udało jej się tego dokonać, ręce miała mocno skrepowane za plecami, więc nie miała jak sięgnąć po broń.

Zastanawiała się gorączkowo, co robić dalej. Wewnątrz jurty na poziomie podłogi nie było chyba niczego, co pomogłoby jej pozbyć się więzów lub

knebla.

A na zewnątrz?

Wiedziała, że wokół wozu pełnili wartę strażnicy, ale zdawała sobie sprawę, że nim napastnicy dostali się do wnętrza, musieli się z nimi rozprawić. Na pomoc z ich strony nie miała co liczyć. Potem jednak wpadła na pewien pomysł.

Przypomniał jej się mianowicie gwóźdź wystający ze schodów na samej górze. Już od dawna nudziła małżonka, żeby kazał któremuś ze swoich ludzi wbić go porządnie. Tymczasem on, jak to mężczyzna, machał tylko ręką i zaraz zapominał, a gwóźdź wciąż sterczał.

Taką przynajmniej miała nadzieję. Pełzła przez podłogę jurty, aż udało jej się dotrzeć do wiszącego w wejściu koca, a potem na zewnątrz.

Gwóźdź wystawał jak przedtem, Pa-Tong oczywiście nie pamiętał, żeby zrobić z nim porządek.

Niech Trójkonni Bogowie błogosławią jego niechlujstwo i opieszałość!

Teraz trzeba było tylko w jakiś sposób zahaczyć liną krępującą jej ręce w nadgarstkach o gwóźdź, a może uda się poluzować więzy. Jeśli nie, trzeba będzie trzeć tak długo, aż ustąpią.

Tak czy inaczej, to potrwa, a liczy się przecież każda chwila.

Innego wyboru jednak nie miała.





## Rozdział 29



**Z**męczony Hal zatrzymał się na grzbiecie ostatniego pasma wzgórz przed zejściem do brzegu jeziora, na którego wodach czekała „Czapla”.

Bolały go mięśnie ud i łydek, bo brnął przez gęstą trawę całymi kilometrami, a do tego ukryte w niej zagłębienia i nierówności czyhały niczym pułapki zastawione po to, by go powalić na ziemię. Przebycie takiej drogi dwukrotnie w ciągu kilku godzin to ciężka harówka – pomyślał.

Niebo na wschodzie rozjaśniało się, błysnęły pierwsze nieśmiałe promienie światła. Przed sobą widzieli jezioro, oddzielone tylko długim trawiastym zboczem. Księżyc zawisł niemal tuż nad zachodnim horyzontem, jego poświata malowała na wodzie srebrzyście lśniący szlak. Skirl nie widział „Czapli”, ale miał pewność, że jeśli jego statek znajduje się w pobliżu, to na pewno załoga ustawiła go tak, by był niewidoczny na tle wyspy.

Zaczekał na pozostałych członków drużyny, chciał dać im chwilę wypoczynku przed ostatnim odcinkiem trasy. Stig znowu prowadził sha’shana. Gdy tylko się zatrzymali, otyły wódz Temudżeinów opadł na kolana. Stig tym razem mu nie bronił. Wszyscy byli skonani.

Wszyscy oprócz Lydii – zauważył Hal. Dziewczyna wydawała się zupełnie niepodatna na zmęczenie, przemykała wśród traw bezgłośnie i zwinnie, nie potknęła się ani razu. Przez całą drogę zamykała pochód, wypatrując jednocześnie pogoni.

– No, dotarliśmy na miejsce – odezwała się.

Hal rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie. Zbytńia pewność siebie nigdy nie popłaca. Nigdy nie wiadomo, czy los nie nasłuchuje, gotów splatać paskudnego figła. Jakby nie miał nic innego do roboty – pomyślał gniewnie.

– Prawie – sprostował. Wydobył z zawieszanej u pasa sakiewki krzesiwo, a z pochwy sakse.

Trzykrotnie, raz za razem, uderzył tylną częścią klingi, krzesząc po trzykroć jasne snopy iskier.

Kilka z nich opadło u jego stóp. Po wielu miesiącach przebywania pod grubą warstwą śniegu źdźbła były martwe, a nieustanne wichry wiejące przez minione kilka tygodni wysuszyły je na wiór. Podsycane powiewem porannej bryzy od jeziora płomyki zajaśniały u jego stóp.

– Ej, uważaj – ostrzegł go Thorn.

Hal szybko rozdeptał rodzący się ogień, który już zaczął syczeć pod jego stopami. Spojrzał znów na wyspę, w samą porę, żeby dojrzeć trzy rozbłyśki jako odpowiedź na jego sygnał.

– Są tam – powiedział – widzieli nas. W drogę!

Ruszył pierwszy w dół łagodnym, długim zboczem opadającym do samego brzegu jeziora. Przebyli może pięćdziesiąt metrów, kiedy na wodzie pojawiła się niska, czarna sylwetka „Czapli”, która wypłynęła z cienia rzucanego przez wyspę i sunęła w ich stronę na wiosłach.

Hal obejrzał się nerwowo przez ramię. Wciąż byli sami na rozległym pustkowiu.

Tak czy inaczej nie mieli czasu do stracenia.

– Szybciej, szybciej! – ponaglił towarzyszy. Przyspieszyli jeszcze kroku, podwajając prędkość biegu. Ślizgali się i potykali na nierównej, niepewnej powierzchni.

„Czapla” była już w połowie odległości od brzegu. Smukły kadłub łodzi pruł powierzchnię jeziora, wiosła poruszały się w zdwojonym tempie; kiedy sięgały powierzchni, wzbijały fosforyzującą pianę.

– Hal? – W głosie Lydii usłyszał ostrzeżenie. Jak zwykle podążała kilka metrów za nimi, wciąż wypatrując ewentualnego pościgu. Hal zatrzymał się i obejrzał. Na grzbiecie wzgórza pojawiło się sześciu jeźdźców.

Zorientował się, że Thorn i Stig również się zatrzymali, machnął na nich niecierpliwie ręką.

– Jazda, prędzej! – rozkazał głosem ochrypłym od zdenerwowania. – Thorn, pomóż Stigowi. Lydia i ja spróbujemy ich powstrzymać.

Thorn bez słowa podbiegł do sha'shana. Razem ze Stigiem dźwignęli jeńca za ramiona, zmuszając do powstania i chwiejnego biegu w stronę jeziora. Hal patrzył za nimi przez chwilę. Serce podeszło mu do gardła, kiedy Stig potknął się i przewrócił, pociągając za sobą obu mężczyzn. Wstał jednak natychmiast, Thorn również i dalej wlekli nieszczęśnika. Thorn bez przerwy przeklinał pod nosem, ale całkiem sprawnie posuwali się do przodu.

Teraz Hal skierował całą uwagę na ścigających. Tamtych sześciu zatrzymało się na szczycie wzgórza. Teraz jednak dołączyło do nich jeszcze trzech, a potem sześciu kolejnych. Potem jeszcze sześciu. Rozstawili się na krawędzi w szereg i wciąż ich przybywało.

– Mamy tu chyba cały ałum – mruknął. Obejrzał się na Stiga i Thorna. Nadal ciągnęli za sobą sha'shana, znajdowali się już zaledwie kilka metrów od brzegu, a „Czapla” właśnie do niego dotarła. Wioślarze wciągali wiosła, dziób łodzi wyhamował w miękkim błocie. Stig i Thorn, brodząc pośród trzciny, dźwignęli sha'shana na pokład, z którego sięgnęły gorliwe ramiona towarzyszy, by pomóc wciągnąć jeńca.

Ingvar ucapił nieszczęsnego sha'shana, cisnął go na deski niczym kupę szmat. Następnie pomógł wspiąć się Thornowi, Stig zaś chwycił za poręcz i jednym desperackim skokiem znalazł się na górze. Potem spojrzął w stronę Hala i Lydii, którzy przyglądali się nadciągającym jeźdźcom. Oceniał odległość dzielącą ich od statku oraz dystans, który pozostał konnym do przebycia.

– Nie dadzą rady – powiedział.

Znajdujący się na stoku wzgórza Hal doszedł właśnie do tego samego wniosku. Jeźdźcy ruszyli teraz stępą, ich wierzchowce szorowały brzuchami o wysokie źdźbła traw, wyraźnie słychać było brzęk uprzęży. Hal ściągnął z ramienia kuszę, naciągnął ją i umieścił bełt w rowku łoża.

– Uciekaj – rzekł półgłosem do Lydii. – Ja ich zatrzymam.

Potrząsnęła głową.

– Nie zostawię cię – mówiąc te słowa, nałożyła strzałkę. – Załatwię trzech w czasie, w którym ty zabijesz jednego.

Temudżeińscy jeźdźcy przyspieszyli. Hal zwrócił uwagę, że nie sięgnęli po łuki. Jednak każdy z wojowników miał długą włócznię. Czuł na karku chłodny powiew bryzy – i to nasunęło mu pewną myśl.

Rzucił kuszę i znów sięgnął po krzesiwo oraz sakwę. Gorączkowo krzesał iskry stalową głownią, kaskady iskier sypnęły się na wysuszoną trawę.

Lydia w lot pojęła, jaki powziął plan, i również sięgnęła po sztylet i krzesiwo. Po chwili uklękła, żeby rozdmuchać rozpalające się płomienie. Po kilku sekundach płomień rozgorzał śmieiej i już po chwili u jej stóp płonęło małe, wciąż podsycane wiatrem ognisko.

Hal spojrział w stronę jeźdźców. Byli już dużo bliżej i wciąż przyspieszali. Rozpoczął się wyścig z czasem; chodziło o to, czy obronny wał ognia utworzy się, zanim Temudżeini dopadną Lydię i Hala. Wciąż krzesał nowe iskry, zerkał, podczas gdy wiatr wzniecał kolejne płomienie, aż wreszcie płonąca zapora miała już dziesięć metrów szerokości, a wiatr pchał ją ławą w stronę zbliżających się jeźdźców.

Jak to bywa z ogniem, im potężniejsze stawały się płomienie, tym silniejszy podmuch same wywoływały, przez co rozprzestrzeniały się coraz gwałtowniej i szybciej, pędząc na spotkanie konnych. W następnej chwili ognisty front miał już kilkanaście metrów i rozrastał się gwałtownie. Płomienie sięgały na wysokość stojącego człowieka, trawiaste zbocze wzgórza zaszło dymem. Hal uznał, że zrobili, co mogli.

– W nogi! – wrzasnął.

Chciał podnieść z ziemi kuszę, ale gdzieś się zapodziała w trawie. Nie tracąc więcej czasu, odwrócił się i ruszył pędem w dół. Potykał się, ślizgał i przewracał, lecz błyskawicznie wstawał, po czym znów biegł dalej. Słyszał za sobą narastający huk ognia, tętent kopyt i okrzyki Temudżeinów. Potem pojawił się jeszcze jeden odgłos, przerażone rzenie koni, które spostrzegły, że ogień pędzi prosto na nie.

Lydia biegła tuż obok, może metr przed Halem. Zaryzykował i obejrzał się, o mało nie tracąc przy tym równowagi, jednak jakimś cudem zdołał utrzymać się na nogach.

Ściana ognia i czarnego dymu niemal przesłoniła jeźdźców. Widać było, że kilku z nich próbuje zmusić swoje wierzchowce do przebicia się na drugą stronę, jednak konie cofały się, stawały dęba, a ich przerażenie udzielało się pozostałym zwierzętom.

Usłyszał teraz okrzyki swoich kolegów z załogi, którymi ponaglali biegnących towarzyszy. Znowu spojrział za siebie, tym razem jednak przewrócił się i upadł, przeturlał kilka razy, nim zdołał znów powstać i podjąć bieg. Niektórzy z jeźdźców zorientowali się, że zapory ognia nie da się przebyć, ruszyli więc bokiem, aby zajechać Hala z flanki, omijając płomienie.

Udało się to już dwóm z nich; pędzili galopem, końskie kopyta dudniły o ziemię, jakby nie porastała jej miękka trawa. Zza kłębowisk dymu i płomieni wyłonił się trzeci jeździec.

Hal biegł ostatkiem sił. Brakowało mu tchu, czuł dotkliwy kłujący ból w boku. Słyszał za sobą narastający tętent, odruchowo ściągnął łopatki, oczekując w każdej chwili śmiertelnego uderzenia stalowego grota włóczni.

SLAM!

Do jego świadomości dotarł znajomy dźwięk. Uświadomił sobie, że ktoś wystrzelił z Zadymiarza umieszczonego na dziobie „Czapli”.

Choć wiedział, że popełnia błąd, odwrócił się, by spojrzeć w stronę nadciągających Temudżeinów. W tej samej chwili jadącego na przedzie wojownika jakby niewidzialna ręka strzepnęła z siodła i cisnęła w tył, prosto na następnego jeźdźcę, tak że obaj wraz z końmi runęli na ziemię, tworząc płataninę ramion i nóg.

Trzeci szarpnął gwałtownie wierzchowca, by ich ominąć, a potem pochylił się nad końskim karkiem, pędząc wprost na Hala. Śmiertelnie zmęczony, pokonany skirl stał i czekał swojego losu.

Jak przez gęstą mgłę dobiegł go okrzyk Lydii. Potem coś świsnęło w powietrzu, mijając go w odległości kilkunastu centymetrów. Jeździec odchylił się gwałtownie w siodle, z jego piersi sterczał pocisk z atlatla. Rozłożył szeroko ramiona, wypuścił z dłoni włócznię, a potem spadł w tył przez koński zad na ziemię.

– Rusz się, Hal!

Głos Lydii rozległ się tuż za nim. Skirl otrząsnął się z bezwładu i odwrócił, by przebiec czterdzieści metrów dzielących go od statku. Lydia biegła przodem. Ingvar sięgnął, chwycił ją za obie ręce i wciągnął płynnym ruchem na pokład. Hal oparł się o burtę, nie był już w stanie uczynić najmniejszego ruchu.

– Wyciągnij ręce!

To był głos Stiga. Hal spojrzął, ujrzał nad relingiem twarz przyjaciela i wyciągnięte ku sobie ramiona. Z trudem podniósł ręce, pozwolił się wwindować na górę, po czym zwałił się na pokład twarzą w dół. Leżał tak przez chwilę, dotykając policzkiem gładkich desek, wokół zaś rozbrzmiewały znajome głosy i dźwięki.

Stig wykrzykiwał rozkazy, a statek drgnął, poruszył się, wyswobodził z miękkiego uścisku błotnistej brzozy. Hal z trudem dźwignął się na nogi, powlókł się na środek pokładu i oparł ciężko o grube drzewce masztu.

Ingvar, Ulf, Wulf i Stefan napierali na wiosła; najpierw cofnęli statek, potem dokonali zwrotu, by wypłynąć na głębszą wodę. Hal poczuł na swoim ramieniu czyjąś dłoń. Odwrócił się, zobaczył Thorna i uśmiech na jego brodatej twarzy. Nieco dalej na pokładzie siedział ze skrzyżowanymi nogami przygnębiony sha'shan.

Stig wykrzyknął kolejne rozkazy, podniosły się wiosła, w górę powędrował żagiel. Hal i Thorn cofnęli się na rufę, żeby nie przeszkadzać swoim ludziom. Lydia już tam była, stała obok Stiga dzierżącego rumpel. Hal skłonił się jej lekko.

– Dzięki – wymamrotał. – Ten ostatni na pewno by mnie dopadł.

Skinęła poważnie głową, spojrzała w stronę brzegu, gdzie nad falującymi trawami unosiły się coraz gęstsze kłęby dymu.

– Nie mogłam na to pozwolić – odparła i uśmiechnęła się. – Potrzebujemy kogoś, kto utrzyma prosty kurs.

Stig prychnął z udawanym gniewem. Hal podszedł do niego, a rosły marynarz spytał:

– Chcesz przejąć ster?

Hal jednak tylko machnął ręką. Przez chwilę chciał się jedynie cieszyć tym, że znalazł się u celu, że nie musi już biec. Przesunął dłonią po dobrze znajomym gładkim drewnie relingu sterburty.

– ...A w domu najlepiej – powiedział cicho.



## Rozdział 30



**C**ały poranek spędzili na kotwicy u brzegu wyspy, Hal zarządzał przygotowaniami do podróży przez ujście jeziora, gdzie będą musieli minąć pilnujących go Temudżeinów.

Członkowie załogi ścięli i otrymowali trzy wysokie świerki, po czym użyli ich, by podwyższyć reling po lewej stronie, mocując je za pomocą sznurów i gwoździ. Na wzmocnionej konstrukcji umieścili tarcze. Dzięki temu dysponowali tak solidną osłoną, że wioślarze mogliby wstać i się wyprostować, a dzięki dodatkowym umocnieniom i tarczom nadal pozostaliby bezpieczni. Hal założył, że Temudżeini nie przekroczą rzeki i dodatkowe osłony po zachodniej stronie nie będą potrzebne.

Umocowane nierówno, z grubsza ociosane bale nie wyglądały elegancko, zapewniały jednak skuteczną obronę.

Podczas gdy załoga zajęta była budową tymczasowych umocnień na statku, Hal sklecił dla siebie schron na pokładzie sterowym, aby zapewnić sobie osłonę przed temudżeińskimi strzałami, a jednocześnie móc swobodnie kierować okrętem. Użył do tego desek z niewielkiego zapasu drewna, który zawsze trzymał w pogotowiu pod pokładem „Czapli”.

Co prawda, jeśli jego plan by się powiódł, tych strzał nie powinno być zbyt wiele. Jednak w każdym temudżeińskim ałumie zazwyczaj znajdował się co najmniej jeden strzelec wyborowy, należało więc liczyć się z tym, że o ile większość wojowników obawiać się będzie ostrzeliwania okrętu, by nie trafić swojego sha’shana, o tyle owi szczególnie wprawni łucznicy mogą się pokusić o zamach na sternika. Inaczej mówiąc, zamiast siejącego

spustoszenie gradu strzał, jeden czy dwa bezbłędnie wymierzone mordercze groty.

Przyjrzał się następnie efektom prac załogi, by upewnić się, że zrobiła wszystko, co w jej mocy. Potem kazał Edwinowi przygotować pożywny posiłek, nie miał bowiem pojęcia, kiedy znów będą mieli okazję włożyć coś do ust. Zaradny kucharz-uzdrowiciel złowił nocą kilka ryb w jeziorze, co zapewniło im mile widziane urozmaicenie w monotonnej dotąd diecie złożonej z solonego mięsa i sucharów. Kiedy już na dobre minęło południe, odbili od wyspy, gotowi postawić żagiel i płynąć w stronę południowego krańca jeziora.

Nim jednak wyruszyli w tamtym kierunku, Hal skierował okręt z powrotem na wschodni brzeg. Wszedł na ląd i wspiął się aż do miejsca, gdzie wzniecił ogień. Po jakimś czasie odnalazł wśród nietkniętych ogniem traw swoją kuszę. Przynajmniej teraz – pomyślał – będę mógł odpowiedzieć pięknym za nadobne, jeśli ktoś zechce do mnie mierzyć.

Późnym rankiem zmienił się kierunek wiatru – teraz uparcie wiał z południa. Czekala ich więc jazda na wiosłach, rzeka była w tym miejscu zbyt wąska, żeby można było na niej halsować. Na razie jednak wioślarze mogli jeszcze wypoczywać, wiatr niósł „Czapłę” zakosami po powierzchni jeziora na południe.

Gdy znaleźli się w odległości kilku kilometrów od miejsca, w którym z akwenu wypływała rzeka, Kluf uniosła nagle łeb i zaczęła węszyć, wydając niski, groźny pomruk. Sha'shan, który nadal był związany i siedział na pokładzie, zerknął nerwowo w jej stronę.

– Spokojnie – odezwał się Hal. – Nie na ciebie warczy. Coś wyczuła.

– Dym – wyjaśniła Lydia, która poczuła zapach zaraz po tym, jak wywęszył go pies. – Ogień obozowe. Wiatr wieje w naszą stronę.

Hal wyteżył wzrok i zauważył, że z brzegu, do którego zmierzali, istotnie wznoszą się ku niebu smużki dymu. Przez chwilę zastanawiał się, czy to aby nie wynik pożaru, który sam wzniecił tej nocy, ale natychmiast zdał sobie sprawę, że tamten ogień, o ile jeszcze płonął, nie mógł tak szybko przebyć równie dalekiej drogi, aż z północno-wschodniego odcinka brzegu jeziora. Po chwili on również poczuł charakterystyczną gryzącą woń.

– To oni – rzekł.

Ku swojej satysfakcji spostrzegł, że wszystkie dymy widnieją po wschodniej stronie rzeki. Znaczyło to, że Temudżeini nie zdołali przedostać



się bezpośrednio na zachodni brzeg, nie zdążyli też dotrzeć tam od drugiej strony. Hal odetchnął z ulgą.

– Opuścić żagiel – rozkazał półgłosem. Obsługa żagla opuściła reję i zebrała łopoczącą tkaninę, a Stefan, Jester, Ulf i Wulf zasiedli do wiosła. – W ten sposób łatwiej nam kontrolować kurs – wyjaśnił. – Stig, Thorn, bądźcie gotowi w razie potrzeby też chwycić za wiosła. Lydio, pozostań w ukryciu, ale miej oko na strzelców wyborowych.

Miarowe ruchy wiosła stopniowo przybliżały „Czapłę” do ujścia rzeki. Po pewnym czasie Hal mógł już dostrzec więcej szczegółów: skupisko jurt przy brzegu, a także kręcących się pośród nich jeźdźców. Oceniał szacunkowo, że przebywało tam ponad stu Temudżeinów. Oddział liczący około sześćdziesięciu wojowników formował się właśnie na brzegu jeziora, w miejscu, w którym wypływała rzeka. Jeźdźcy sformowali dwa szeregi, by odpowiednio powitać nadpływający okręt.

Hal wskazał ruchem głowy sha’shana i zwrócił się do Thorna:

– Zechciej przymocować jego wysokość do masztu, tak żeby dobrze go widzieli.

Thorn chwycił sha’shana za łokieć, podniósł go z pokładu, zaciągnął do masztu. Hal pomyślał, że właściwie można by rozwiązać jeńcowi nogi, ale potem uznał, że to nie jest dobry pomysł. Owszem, prawdopodobnie Pa’Tong nie umie pływać, bo nie była to umiejętność powszechna pośród Temudżeinów, ale gdyby przypadkiem jednak ją posiadał, to z rozwiązanymi nogami mógłby podjąć desperacką próbę – skoczyć do wody i próbować dostać się do brzegu wpław. Tymczasem, dopóki nogi ma związane – pomyślał Hal – nawet mu to nie przyjdzie do głowy. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że poszedłby na dno jak kamień.

Thorn szybko i sprawnie przywiązał niskiego grubasa do masztu z rękami w górze, tak że musiał stać na palcach. Czerwona, wyszywana kurtka, w którą Hal kazał ubrać się wodzowi, musiała być widoczna z daleka. Kiedy skirl razem z Lydią obserwowali obozowisko, sha’shan ten właśnie strój miał na sobie, Hal liczył więc, że dzięki jaskrawej barwie Temudżeini rozpoznają swojego wodza.

Jeźdźcy oczekujący ich w pierwszym szeregu zsiadli z koni, postąpili kilka kroków naprzód. Na komendę sięgnęli do kołczanów zawieszonych na plecach, dobyli strzał i założyli je na cięciwy, wpatrzeni w prędko nadpływający okręt. Nie podnieśli jeszcze łuków, lecz trzymali je w gotowości.

– Zwolnijcie! – zawołał Hal do wiosłarzy. Ulf zmienił tempo, aby ułatwić towarzyszom wiosłowanie, a „Czapla” stopniowo wytracała prędkość. – Dajmy im jak najwięcej czasu, żeby mogli mu się przyjrzeć – dodał.

Mężczyzna stojący w prawym końcu szeregu uniósł łuk, mierzył przez krótką chwilę, po czym wypuścił strzałę. Usłyszeli świst, gdy leciała w ich stronę, następnie zaś Hal dostrzegł, jak wpada do wody pod kątem czterdziestu pięciu stopni. A więc to maksymalny zasięg – pomyślał.

Strzała wypuszczona dla określenia odległości skutecznego ostrzału plusnęła w wodę kilkanaście metrów przed dziobem „Czapli”.

– Stać! – rozkazał Hal. Cztery wiosłarze zanurzyli wiosła, aby przyhamować, nim dziób okrętu znajdzie się tam, gdzie wroga strzała wpadła do wody. – Utrzymajcie ją w tym miejscu – dorzucił skirl. Ulf i Wulf niewielkimi poruszeniami wiosł kontrolowali działanie lekkiego prądu pchającego „Czapkę” w stronę rzeki. – Jeszcze go nie rozpoznali – mruknął Hal.

Chociaż, kto wie – pomyślał – może rozpoznali, tylko nie kochają go aż tak bardzo, żeby martwić się, czy czasem nie zginie naszpikowany strzałami razem z garstką Skandian.

Ten sam mężczyzna sięgnął po kolejną strzałę, nałożył na cięciwę, podniósł łuk i znowu strzelił. Jego ruchy były płynne, niespieszne, co zdradzało niemałe umiejętności i doświadczenie strzeleckie. Ta strzała plusnęła w wodę zaledwie kilka metrów przed stwą dziobową „Czapli”.

– Zając się nim? – spytała cicho Lydia. – Mam większy zasięg od niego.

Hal pokręcił głową.

– Nie teraz, jeszcze nie. Ale zachowaj czujność, bo może zaraz będziesz potrzebna. – Istniała obawa, że jeśli strzelca trafi strzałka z atlatla, reszta łuczników na brzegu rozpocznie zmasowany ostrzał, co doprowadzi do patowej sytuacji. „Czapla” nie będzie mogła podpłynąć bliżej, bo sha’shan zostałyby wtedy zabity, co z kolei uniemożliwiłoby Skandianom wydostanie się z jeziora. – Thorn! – zawołał Hal. – Spróbuj im wytłumaczyć, kto do nich płynie, przywiązany do masztu. Tylko ostrożnie. Nie wystawiaj się za bardzo na strzały.

Thorn, który czaił się skryty na dziobie za Zadymiarzem, przebiegł skulony po pokładzie i schował się za sha’shanem. Wsadził hak oraz lewą dłoń pod pachy temudżeińskiego wodza, unosząc go lekko do góry, tak żeby ludzie na brzegu ujrzeli mężczyznę w całej okazałości.

– Ej, wy, tam! – ryknął. – Patrzcie, kogo tu mamy!

Łuki uniosły się, słychać było wyraźnie, jak trzeszczą, naciągane, aby uzyskać największy zasięg. Jednak wtedy sha'shan wydarł się na cały głos. Krzyczał w swoim języku, więc Hal go nie rozumiał, rozpoznał jednak powtarzane wielokrotnie imię Pa'tong. Wódz krzyczał wniebogłosy, że to on i żeby nie strzelać. W następnej chwili rozległ się na brzegu jakiś gorączkowy okrzyk, najwyraźniej rozkaz, bo wszystkie łuki opadły. Hal odetchnął z ulgą. Mało brakowało. W przeciwnym razie, gdyby tylko się zbliżyli, cenny jeniec zostałby naszpikowany strzałami, nim jego ludzie zorientowaliby się, do kogo mierzą.

Hal rozejrzał się, napotkał spojrzenie Stiga.

– Przejmij ster – rozkazał. – Idę na dziób.

Stig zajął miejsce za drewnianą tarczą, którą Hal zbudował rano. Tymczasem skirl przemknął wzdłuż osłoniętej bakburty na śródpokład i do masztu.

– Ja się nim zaopiekuję – powiedział do Thorny. – A ty się kryj.

Thorn skinął głową, wrócił na swoje miejsce za Zadymiarzem. Hal syknął do ucha sha'shana:

– Chcę rozmawiać z kimś, kto zna wspólną mowę. Zawołaj go i powiedz mu to sam.

Pa'tong wykrzyknął coś po temudzeińsku, ale Hal szarpnął go za kołnierz, zmuszając do milczenia.

– We wspólnej mowie, powiedziałem – rzucił gniewnym tonem. – Chcę wiedzieć, co mówisz.

– Nie jestem pewien, czy ktoś tam ją zna – odparł Pa'tong.

Hal szarpnął jeszcze mocniej za jego kołnierz.

– Jesteś, jesteś – rzekł. – No już, wołaj.

Sha'shan obejrzał się na Hala. Dostrzegł twarde, stanowcze spojrzenie i zdał sobie sprawę, że zbyt wiele by ryzykował, próbując oszukać tego młodego mężczyznę. Sapnął gniewnie i zawołał we wspólnej mowie:

– Ho'mat! Jesteś tam? Pokaż się.

Mężczyzna pośrodku drugiego szeregu podniósł ramię i podjechał konno do spieszonych łuczników. Wykrzyknął kilka słów po temudzeińsku, a Hal znowu szarpnął sha'shana.

– Powiedz mu, żeby trzymał się wspólnej mowy! – rzucił ostrzegawczym tonem.

– We wspólnej mowie! – zawołał Pa'tong. – Barbarzyńcy chcą wiedzieć, co mówimy.

– Tak, mój panie – odpowiedział jeździec z wyraźnym temudżeińskim akcentem. – Czego chcą barbarzyńcy?

Hal zachnął się.

– Przede wszystkim nie życzą sobie, żeby ich nazywać barbarzyńcami – warknął. Pa'tong już miał przekazać wiadomość, ale Hal go powstrzymał. – Nieważne – dodał.

Następnie podniósł głos i zawołał do jeźdźca na brzegu, powoli i wyraźnie wymawiając każde słowo, tak by mieć pewność, że zostanie zrozumiany.

– Ty, Ho'mat! Jak widzisz, mamy tu waszego sha'shana. Jest naszym jeńcem.

Umilkł.

Temudzein, rozumiejąc, że oczekuje się od niego odpowiedzi, zawołał:

– Rozumiem.

– Mnie i moim ludziom wasze strzały nie zagrażają. Jeżeli ostrzelacie nasz okręt, możecie co najwyżej trafić swojego sha'shana. Tego chyba nie chcecie, co?

Nastała chwila milczenia. Potem wódz ałumu pospiesznie odkrzyknął:

– Nie, nie.

– A więc powiedz swoim ludziom, żeby odłożyli łuki i dali nam przepłynąć – zażądał Hal. – Popłyniemy rzeką z waszym wodzem. W przeciwnym razie już po nim.

Na brzegu zapanowało zamieszanie, Ho'mat tłumaczył słowa Hala tym, którzy nie rozumieli wspólnej mowy. Widać było, że niektórzy z nich się sprzeciwiają, wskazują łukami ich mały okręt, który tymczasem powoli zbliżał się do ujścia rzeki. Któryś nawet wysunął się do przodu, wymierzył i strzelił. Pocisk wbił się w drewnianą tarczę, za którą krył się Stig.

– Lydia! – zawołał Hal.

Dziewczyna wstała, pocisk już czekał założony na atlatla. Jej ramię cofnęło się, po czym rozprostowało płynnym, silnym ruchem. Pocisk wzbil się, a potem z niespodziewaną siłą trafił strzelca, przebijając go na wylot. Łucznik runął martwy na ziemię.

– Nie radzę próbować drugi raz! – zawołał Hal w odpowiedzi na zaskoczone okrzyki zgromadzonych na brzegu wojowników. Potem rozległ się wściekły wrzask Ho'mata wykrzykującego swoim ludziom rozkazy. Ci, którzy już gotowali się do wypuszczenia kolejnych strzał, opuścili niechętnie łuki, naburmuszeni i niezadowoleni.

– Niech tak będzie! – zawołał Ho'mat. – Możecie jechać. Pozwolimy wam przepłynąć rzeką.

– Tak właśnie myślałem – rzekł cicho Hal, a potem zawołał do Stiga: – Płyniemy, Stig! Ale trzymaj się od wschodniego brzegu jak najdalej.



## Rozdział 31



**D**o wiosła – zarządził półgłosem Hal. Ulf, Wulf, Jesper i Stefan wsunęli drzewca w dulki. – Naprzód, ale powoli – rozkazał Hal, widząc, że są gotowi.

Wioślarze naparli na wiosła, „Czapla” gładko wpłynęła na wody rzeki. Ho’mat, temudżeiński dowódca oraz kilku jego ludzi spięło ostrogami wierzchowce. Jeźdźcy ruszyli wzdłuż brzegu, zamierzając dotrzymać towarzystwa okrętowi. Kilku pieszych Temudżeinów też ruszyło w tym samym kierunku. Jeden nawet ośmielił się podnieść łuk i sięgnąć po strzałę, ale rzucony ostrym tonem rozkaz Ho’mata natychmiast go powstrzymał.

– Chyba zadziało – ocenił Thorn, wyglądając ostrożnie zza bariery na bakburcie.

– Na razie – zauważył Hal. – Przyspiesz odrobinę, Ulf.

Ulf zapowiedział zmianę rytmu. Wiosła poruszyły się prędzej i „Czapla” przyspieszyła. Temudżeińscy jeźdźcy zostali w tyle. Hal obserwował ich; chwilę potem Ho’mat dał znak ręką, jeźdźcy ściągnęli wodze, zatrzymali się. Spoglądali w stronę okrętu. Po chwili „Czapla” minęła zakręt i Temudżeini zniknęli wszystkim z oczu.

Thorn wyprostował się, podszedł do Hala i stanął obok niego.

– Sądysz, że się ich pozbyliśmy?

Hal pokręcił głową.

– Wątpię. Nawet jeżeli tak, to nie na długo.

– Dowódco! – zawołał Pa’tong spod masztu. – Musimy porozmawiać!

Nawet nie wie, jak zwracać się do kapitana statku – pomyślał Hal. Nic w tym dziwnego, Temudżeini niewiele mają wspólnego z żegluga.

Skinął głową na Thorną.

– Rozwiąż go i przyrowadź na rufę – polecił.

Thorn przeszedł na środek pokładu. Rozsupłał więzy mocujące Temudżeina do masztu, ale ręce pozostawił skrupowane. Chwycił więźnia pod ramię i poprowadził na rufę, gdzie czekał Hal, który cały czas uważnie obserwował rzekę przed dziobem „Czapli”.

W pobliżu platformy sterowej znajdował się żelazny pierścień przymocowany do pokładu. Hal wskazał go Thornowi.

– Przywiąż tu koniec sznura – nakazał. Tak samo jak przedtem nie zamierzał ryzykować, nie chciał, żeby sha’shanowi przyszło do głowy rzucić się za burtę. Zerknął na jeńca. – Czego chcesz?

– Jak się domyślam, zamierzacie spłynąć rzeką aż do nizin?

– Zgadza się – odparł Hal, chociaż nie bardzo wiedział, jak zdoła tego dokonać. Temudżeini z pewnością będą ich ścigać i mogą sprawić wiele kłopotu w miejscach, gdzie trzeba było przeprować się łodem.

– Co zamierzacie teraz ze mną zrobić? – spytał Pa’tong.

Hal odpowiedział po krótkiej chwili wahania.

– Zawieźć cię do Hallasholm, gdzie będziemy cię trzymać jako zakładnika, żeby twoi ludzie dali nam spokój.

Pa’tong pokiwał głową, po czym powiedział:

– To dobry sposób, oczywiście, że tak. Ale nie na długo.

– A to czemu? – zainteresował się Hal. – Dlaczego nie na długo?

Pa’tong wzruszył ramionami.

– Moi ludzie wierzą, że sha’shan jest półbogiem, wybrańcem Końskiego Ducha.

– Kogo? – zdziwił się Hal.

– Naszego najważniejszego boga. Czczymy Moriego, wielkiego końskiego ducha, który jest jednym z trzech końskich bogów. Przestrzegamy jego nakazów. Jestem jego wybrańcem, więc moi ludzie nie pozwolą, żeby mi się stała krzywda. Sam mogłeś się przekonać.

– To mi jak najbardziej odpowiada – rzekł Hal, zastanawiając się, do czego zmierza jego rozmówca.

– Owszem, ale to potrwa dopóty, dopóki będą wiedzieć, że żyję. Jak rozumiem, chcesz mnie zawieźć do swojego miasta... – zawahał się, niepewny nazwy. – Do Hallasholm, tak? I chcecie mnie tam więzić?

– Tak, taki miałem zamiar – przyznał Hal.

– Otóż wśród Temudzeinów są ludzie, którzy chętnie zajmą moje miejsce. Wkrótce zaczną rozpowiadać, że Skandianie mnie zabili, więc trzeba wybrać następnego wodza, czyli oczywiście któregoś z nich. Reszta, o ile nie będą mieli pewności, że żyję, prędzej czy później się na to zgodzi. Armia potrzebuje wodza.

– I zrobiliby to, choć jesteś wybrańcem końskiego boga? – zdziwił się Hal. Na zazwyczaj pozbawionej wyrazu twarzy Pa'tonga pojawił się cyniczny uśmiezek.

– Religia to jedno – powiedział – a polityka to coś zupełnie innego. Ci, którzy chcą zająć moje miejsce, znajdą sposób, żeby usprawiedliwić swoje postępowanie. Na pewno złożą Moriemu sowite ofiary.

Hal zastanawiał się przez chwilę. Brzmiało to całkiem prawdopodobnie.

– Co więc proponujesz?

– Owszem, zabierz mnie do Hallasholm. Tam uzgodnimy z waszym oberjarlem warunki pokoju. A potem pozwólcie mi wrócić do moich ludzi, zanim rywale zdążą zyskać sobie posłuch i zająć moje miejsce.

– Mamy cię puścić wolno? – wtrącił z niedowierzaniem Thorn. – Tak po prostu i zwyczajnie? A niby dlaczego mielibyśmy ci uwierzyć?

– Thorn... – zaczął Hal.

Jednak sha'shan wtrącił:

– To zupełnie zrozumiałe pytanie. – Popatrzył kudłatemu wojownikowi prosto w oczy. – Złożę potrójną przysięgę na ducha Moriego. Takiego ślubowania nie złamałby żaden Temudzein.

– Nawet taki, który chce zająć twoje miejsce? – spytał Hal.

Pa'tong pokręcił głową.

– Nawet oni nie ośmieliliby się tego zrobić. Skazaliby się w ten sposób na wiekuiste męki.

Hal w zamyśleniu podrapał się po brodzie.

– A więc proponujesz pakt? – odezwał się po chwili.

– Tak, układ o nieagresji, w którym zapewnię, że Temudzeini powstrzymają się od napaści na Skandię. Nie będą was atakować, nie będą naruszać waszych granic.

– Po wieczne czasy? – upewnił się Hal.

– No, dajmy na to, przez trzy lata. – Sha'shan uważnie przyglądał się twarzy Hala. – Wiesz, że moi ludzie podążą za nami doliną rzeki, prawda?



– powiedział, a gdy Hal przytaknął, spytał: – Jak zamierzasz ich powstrzymać, kiedy znajdą się na równinie?

– W pewnym miejscu dolina się zwęża. Tam w dziesięcioro możemy powstrzymać twoich ludzi.

– Ale jak długo? Przez tydzień? Przez miesiąc? Może dwa miesiące? W końcu się przebiją.

– Ponieśliby przy tym niewyobrażalne straty. – Hal nie dawał za wygraną.

Sha'shan uśmiechnął się ponuro.

– Ludzi mamy pod dostatkiem. Wielu zginie, ale wciąż zachowają liczebną przewagę nad waszymi wojskami. Uwierz mi, moja propozycja to dla wszystkich najlepsze rozwiązanie.

Przez długą chwilę panowało milczenie. Hal wiedział, że Temudżein ma rację, nie miał jednak ochoty tak od razu się zgodzić.

– Przemyślę to – oświadczył.

– Uczyń tak – odpowiedział Pa'tong. – Trzeba ci będzie...

Hal odwrócił się ku niemu gniewnym ruchem.

– Powiedziałem, że przemyślę! – syknął. – A teraz przestań gadać, żebym mógł usłyszeć własne myśli.

Pa'tong związanymi rękami wykonał gest mający oznaczać „jak sobie chcesz”.

Hal przywołał Thorna.

– Zabierz go i przywiąż do masztu.

Płynęli dalej; Hal rozważał propozycję sha'shana. Im dłużej się nad nią zastanawiał, tym bardziej zdawał sobie sprawę, że ich jeniec ma słuszość: to było najlepsze rozwiązanie. Tymczasem jednak musiał się uporać z innymi problemami. Przede wszystkim w jakiś sposób należało przebyć rzekę, a w tym celu przedostać się przez miejsca, w których okręt musiał zostać przetransportowany lądem, przy czym należało mieć na uwadze depczących im po piętach Temudżeinów. Chyba już po raz pięćdziesiąty spojrzał za siebie. Nie było ich widać, ale wiedział, że gdzieś tam są. Pierwsze miejsce przenoski wymagało niewiele czasu i było raczej łatwe do przebycia. Zyskali dość przewagi nad ścigającymi, by móc wyciągnąć okręt na brzeg i przemieścić go po rolkach; do tego czasu Temudżeini nie zdążyli ich dogonić. Jednak podczas tych czynności tracą przewagę, więc druga i trzecia przeprawa lądowa mogą już okazać się dużo bardziej problematyczne.

Tymczasem jednak musiał pozbyć się bieżącego problemu. Trzy długie belki umocowane do relingu po lewej stronie niweczyły równowagę okrętu, który ciągle znosiło na bakburtę. Utrudniało to sterowanie. Hal odczekał, aż ukazał się fragment brzegu, łagodnie opadający do rzeki, i skierował „Czapłę” w tamtą stronę.

– Do wiosła – rozkazał. W odpowiedzi na pytające spojrzenia wyjaśnił: – Odczepcie te bale – polecił, pokazując palcem tymczasową barykadę na burcie. – „Czapla” zrobiła się przez nie ociężała jak gruba maciora.

Załoga zabrała się więc do roboty; powyciągała gwoździe, rozwiązała sznury mocujące świerkowe pnie, po czym wrzuciła je przez burtę do wody. Prąd porwał je, zabrał ze sobą w dół rzeki.

Właśnie kolejny pień wpadł do wody z głośnym pluskiem i zaczął się oddalać, kiedy usłyszeli w górze jakieś poruszenie. Odwrócili się i ujrzeli pływającego konia, który wydostał się na brzeg, otrzepując się z wody. Stał kilka metrów od ich okrętu, przez chwilę nie ruszał się, potem otrzepał się znowu, wzbijając w powietrze kropelki wody. Był osiodłany, miał na pysku uzdę. Stał na płyciźnie przez dłuższą chwilę, odzyskując siły, później potrząsnął łbem i pocwałował w dal. Po chwili zniknął za drzewami.

Stig popatrzył pytająco na Hala.

– Jak myślisz, skąd się tu wziął?

– Patrzcie! – zawołała Lydia, pokazując na środek rzeki.

Z prądem płynął człowiek, twarzą w dół, z rozkrzyżowanymi ramionami i nogami. Jego skórzana kurtka obszyta futrem wydeła się, co znaczyło, że zostało pod nią uwięzione powietrze, dzięki czemu nieboszczyk nie poszedł na dno – przynajmniej na razie. Topielec przepłynął obok nich i zniknął za zakrętem rzeki.

– Przypuszczam, że to jeździec od tamtego konia – odezwał się Hal.

– Ale dlaczego znalazł się w wodzie? – spytała Lydia, marszcząc czoło.

– Dlatego, że Temudżeini właśnie próbują konno przepłynąć przez rzekę – wyjaśnił Hal. – Temu akurat się nie udało. Natomiast co do innych...

Popatrzyli po sobie. Wszyscy wiedzieli, co wynika z przekroczenia rzeki przez Temudżeinów. Gdy znajdą się na zachodnim brzegu, gdzie jest więcej otwartej przestrzeni, łatwiej im będzie ścigać „Czapłę”. Jednak przede wszystkim to po tej stronie znajdowały się miejsca, gdzie można było zrobić przenoskę.

– Wielu z nich tego nie przeżyje – oznajmił Stig.

– Ale jeszcze więcej zdoła się przedostać na drugi brzeg – odparł Hal. – Przecież wiemy, że Temudżeini nie liczą się ze stratami, jeśli tylko przyczyniają się one do osiągnięcia celu.

– Patrzcie! – zawołała znowu Lydia. Spojrzeli we wskazanym przez nią kierunku. Na przeciwległym brzegu, opodal ostatniego zakrętu, pokazało się trzech jeźdźców, potem zaś następni, którzy zmierzali stępa w ich stronę.

– Chyba im się udało – ocenił Hal. – Ruszamy!



## Rozdział 32



**S**tig oraz Ingvar dołączyli do wiosłarzy. Na sześciu wiosłach, gnana dodatkowo bystrym nurtem, „Czapla” szybko pozostawiła temudżeińskich jeźdźców daleko w tyle, tym bardziej że na tym odcinku brzegu musieli się przedzierać przez gęste zarośla.

Wkrótce znikli z oczu załogi, lecz Halowi nie poprawiło to humoru.

Widząc jego ponurą minę, Lydia, która stała obok, spytała:

– O co ci chodzi? Przecież nas nie dogonią.

– Stracimy mnóstwo czasu przy pierwszej bystrzynie. Pewnie nam się uda, ale przy drugiej i trzeciej może być ciężko.

– Myślisz, że zaryzykują atak? Przecież mamy ich sha’shana jako zakładnika.

– Jego grubość zapewnia, że w temudżeińskiej armii nie brak takich, którzy nie będą płakać, jeśli trafi go zbłąkana strzała. Dopóki znajdować się będziemy na rzece, nie ośmielą się tego zrobić, to byłoby zbyt oczywiste. Natomiast jeśli dojdzie do potyczki na brzegu, jakże łatwo o pomyłkę pośród bitewnego zamieszania...

Lydia z wolna pokiwała głową.

– Rozumiem – powiedziała. – Co więc zamierzasz zrobić?

Hal nie odpowiedział od razu. Miał uczucie, że kiedy wypowie te słowa na głos, zwiększy prawdopodobieństwo ich spełnienia. W końcu wzruszył ramionami.

– Może trzeba będzie przepłynąć bystrzyny – odparł w końcu.

Twarz Lydii wyraźnie pobladła.

– Jak wtedy, kiedy ścigaliśmy Zavaca?

Swego czasu podążali tropem pirata, który skradł skandyjski skarb, Andomala. Rzeka przed nimi została przegrodzona, musieli więc obrać inną drogę, popłynąć rwącym nurtem. Dla Lydii jako żeglarskiej nowicjuszki było to wstrząsające przeżycie.

– Tak. Tylko tym razem przeprawa może się okazać o wiele trudniejsza. Tam przesmyk był szerszy i progi nie tak wysokie – rzekł Hal i uśmiechnął się do niej, ale nie był to zbyt przekonujący uśmiech. – Natomiast jeżeli nam się uda, zyskamy znaczną przewagę nad jeźdźcami.

– Jeżeli? – powtórzyła.

Hal wzruszył ramionami, nic już więcej nie mówiąc.

Dotarli do pierwszego obejścia bystrzyn. Hal doprowadził okręt do brzegu.

– Nie ma czasu do stracenia! – ponaglił załogę, gdy wszyscy natarli na burtę, by podłożyć pod „Czapłę” przygotowane rolki.

– Nie powinniśmy zmniejszyć ciężaru? – spytał Stig.

Hal pokręcił głową.

– Nie, kiedy jedziemy w dół, to zbędne. W tej sytuacji im cięższy okręt, tym łatwiej. Zaoszczędzimy nieco czasu.

Na szczęście nie mieli zbyt długiej drogi do przebycia, a zbocze nie było tak strome, jak następne dwa. Sprowadzali okręt powoli, asekurując linami, a Lydia jak zwykle pełniła tylną straż, wypatrując ścigających Temudżeinów. Dotarli bez przeszkód do końca obejścia, potem spuścili okręt na rzekę. Lydia zbiegła za nimi, po czym wspięła się na pokład.

– Dotąd Temudżeini się nie pokazali – zameldowała.

Hal ponuro skinął głową. Wioślarze już wyprowadzali „Czapłę” na środek rzeki. Skirl nadal uważnie obserwował brzegi w tyle. Ścigających jeźdźców nie było widać, ale wkrótce czekało go podjęcie decyzji – zrobić kolejną przenoskę czy zaryzykować przeprawę przez bystrzyny.

Gdy zbliżyli się do miejsca, w którym u zachodniego brzegu rzeki należało wywindować okręt na plażę i następnie przeciągnąć go drogą lądową, Thorn stanął u boku młodego dowódcy.

– Chcesz przepłynąć bystrzyny, prawda? – spytał półgłosem. Nie słyszał wcześniejszej rozmowy Hala z Lydią, ale znał swojego skirla od dziecka, a przy tym nie mógł nie zauważyć troski na obliczu przyjaciela narastającej w miarę, jak zbliżali się do następnego obejścia.

– To się może okazać konieczne – odpowiedział Hal, po czym znów zerknął niespokojnie za siebie. – Jeżeli zdołają nas dogonić w połowie przeprawy, to już po nas.

– Zyskaliśmy nad Temudżeinami dużą przewagę – rzekł Thorn z namysłem. – Powinno wystarczyć.

– A co, jeżeli nie wystarczy? – spytał Hal.

Jego przyjaciel i mentor rozłożył ręce.

– Wtedy staniemy do walki i zrobimy, co w naszej mocy. A jeżeli zanosić się będzie na przegraną, to poderzniemy gardło sha’shanowi.

– Niektórzy z Temudżeinów byłiby wtedy bardzo zadowoleni, bo wyręczylibyśmy ich w tym niewdzięcznym zadaniu – wyjaśnił Hal.

Thorn ściągnął wargi w zamyśleniu.

– Ach, więc to stąd wiatr wieje?

– Właśnie stąd – potwierdził Hal. Zapanowało milczenie.

– Cóż, cokolwiek postanowisz, decyzję musisz podjąć niedługo. Zaraz dopłyniemy do miejsca przenoski – poinformował Thorn. Przekrzywił głowę, nasłuchując. – Słyszysz?

Tak, Hal również słyszał głośny szum bystrzyn wznoszący się ponad normalny odgłos płynącej rzeki. Szum? Raczej głęboki, gardłowy ryk, narastający z każdą chwilą. Rozprostował palce i znów zacisnął dłoń na drzewcu steru, potem rzucił okiem na wiatrowskaz. Akurat w tej chwili wiatr nie miał znaczenia, ale był to odruch. Zawsze kiedy Hal miał podjąć trudną decyzję, sprawdzał – skąd wiatr wieje.

W następnej chwili już podjął decyzję. Wyprostował się.

– Wyciągamy „Czapkę” na brzeg – oznajmił. – Omijamy bystrzyny.

Raz jeszcze spojrzął za rufę. Temudżeinów ani śladu. Przywołał Stiga:

– Przygotować się do lądowania. Obchodzimy bystrzyny łodem!

Stig skinął głową, po nim uczyniło to samo kilku innych członków załogi. Hal nie omawiał z nimi tej sprawy, ale przecież nie byli głupi. Wszyscy doskonale wiedzieli, że przenoska stanowi ryzyko oraz że ich skirl może podjąć próbę przebycia bystrzyn z nurtem rzeki. Do niego należało podjęcie decyzji, godzili się na nią z góry. Ufali Halowi jako doskonałemu sternikowi i wyśmienitemu żeglarzowi.

Nie zmieniało to faktu, że wszyscy widzieli, jak wyglądają progi na Rzece Lodowej, i postanowienie dowódcy przyjęli z niemałą ulgą.

Czekał ich jeszcze jeden zakręt, a potem rozpostarła się otwarta przestrzeń, gdzie należało wylądować, po czym wyciągnąć okręt i umieścić

go na konstrukcji, jaką zbudowali, płynąc w tę stronę.

– Ulf i Wulf, na razie zostańcie przy wiosłach. Reszta z was schodzi na ląd, gdy tylko dobijemy do brzegu. Zaprzec się i pchać! Lydia, Edvin, przygotujcie rolki.

Odpowiedział mu pomruk załogi jako sygnał, że przyjęli rozkazy. Stefan i Jesper wyciągnęli wiosła, ułożyli je wzdłuż pokładu. Ulf i Wulf wiosłowali dalej, podczas gdy Hal kierował okręt ukosem ku brzegowi. Tym razem trzeba było przetoczyć ciężki kadłub na rolkach, choć tylko przez czterdzieści metrów – do miejsca, gdzie zaczynał się spadek. Edvin już przygotowywał wypolerowane okrągłe belki. Lydia stanęła obok niego.

Okręt zatrzymał się gwałtownie, gdy wbił się dziobem w piasek. Dwie trzecie kadłuba pozostało nadal w wodzie.

– Teraz! – krzyknął Stig, po czym przeskoczył nad relingiem. Reszta załogi podążyła jego śladem. Brodząc w płytkiej wodzie, wypychali ciężki kadłub. Z początku przesuwali się powoli, jednak kiedy pchnął również Ingvar, dokładając do ich wysiłku masę swoich potężnych mięśni, „Czapla” zdecydowanie przyspieszyła. Edvin i Lydia podkładali rolki pod kil, dzięki czemu okręt poruszał się płynnie i szybko.

Sha’shan pozostał na miejscu, przywiązany do masztu.

– Stać! – zakrzyknął Hal, kiedy dotarli na górę zjazdu. Zdyszana załoga okrętu mogła teraz odetchnąć; niektórzy oparli się dłońmi o kolana.

Hal skinął głową na Lydię.

– Zbierz rolki. A potem wracaj na brzeg i obserwuj. Jeśli Temudżeini się pojawiają, krzycz.

Lydia odpowiedziała potakująco ruchem głowy. Nie była tak zmęczona jak reszta załogi. Ona i Edvin podczas tej przeprawy mieli zadanie wymagające najmniejszego wysiłku. Przerzuciła trzy belki przez okrężnicę, rozległ się łoskot, gdy potoczyły się po pokładzie. Resztę z nich pozostawiła Edwinowi. Wiedziała, że będą potrzebne do ostatniej przenoski. Następnie wskoczyła na pokład, przerzuciła kołczan ze strzałkami przez ramię i w następnej chwili już biegła z powrotem na brzeg.

Stig tymczasem mocował liny do kadłuba. Gdy okręt zacznie zjeżdżać, trzeba będzie za ich pomocą hamować go, aby nie nabrał zbyt dużej prędkości.

– Trzymać cumy! – rozkazał, po czym zawołał do Ingvara: – Ruszaj!

Potężnej budowy wojownik napał jeszcze raz ramieniem na stewę rufową, pchnął. Przez chwilę nie działo się nic, a potem „Czapla” drgnęła.

Z początku wolno, potem coraz szybciej, w miarę jak Ingvar pokonywał siłę bezwładu. Dziób obniżył się, rufa uniosła do góry. Przywiązany do masztu sha'shan wydał piskliwy okrzyk przerażenia.

– Trzymać mocno! – rozkazał Hal. – Żeby nam „Czapla” nie uciekła!

Przez chwilę wyobraził sobie, jak jego okręt pozbawiony kontroli zjeżdża coraz prędzej i prędzej, aż w końcu roztrzaskuje się o drzewa i kamienie. Jednak załoga mocno dzierżyła liny, zapierając się z całych sił piętami, dzięki czemu „Czapla” zsuwała się statecznie i powoli.

Stig zerknął na Hala.

– Bierz kuszę i dołącz do Lidii – rzucił. – My tu sobie poradzimy, a pewniej będziemy się czuli, kiedy i ty dopilnujesz, żeby Temudżeini nie wsiedli nam na karki.

„Czapla” znajdowała się już w połowie drogi. O ile ścigający nie pojawią się w ciągu kilku minut, istniała szansa, że popłynie dalej. Hal wdrapał się na pokład, chwycił kuszę. Przewiesił ją razem z kołczanem przez ramię, nie zwracając uwagi na przerażone spojrzenie sha'shana. Zeskoczył na ziemię i pobiegł z powrotem, a Kluf susami podążyła za nim.

Lydia pełniła wartę za drzewem rosnącym kilka metrów od brzegu. Usłyszała ich, skinęła głową, by dołączyli. Hal przyklęknął obok, zdjął z ramienia kuszę.

– Leżeć, Kluf – rzucił polecenie. Wielkie psisko przypadło do ziemi, kładąc pysk na przednich łapach. Kluf wyczuwała napięcie, sierść jeżyła jej się na karku. Wydała z siebie głęboki, gardłowy pomruk. – Spokój – rozkazał Hal. – Wszystko w porządku? – spytał, zwracając się do Lidii.

– Na razie nic się nie dzieje – odpowiedziała. – Może istotnie...

Oboje schylili się, gdy strzała świsnęła w powietrzu między nimi. W odległości czterdziestu metrów pojawił się jeździec. Zdążył już nałożyć na cięciwę nową strzałę i wypuścić pocisk w ich stronę. Grot wbił się z głośnym stuknięciem w pień drzewa, za którym się kryli.

Hal wsunął stopę w strzemię kuszy i naciągnął ją obiema rękami aż po hak spustu. Umieścił na łożu ciężki, krótki bełt wydobyty z kołczanu.

– Ja to załatwię – powiedział. Gdyby Lydia miała wypuścić jedną ze swoich strzałek, musiałaby się wyprostować, wystawiając się tym samym na atak. Z kuszą Hal mógł pozostać przynajmniej częściowo w ukryciu.

Jeździec zakrzyknął coś w swoim języku.

– Przywołuje towarzyszy – rzekł Hal.



Oparł się o pień, uniósł kuszę, przyciskając ją do ramienia. Jeździec musiał to zauważyć, bo czym prędzej wypuścił kolejną strzałę. Śmignęła tuż nad głową Hala i poleciała dalej w las. Wiedząc, że nim tamten zdoła znów wystrzelić, pozostało mu kilkanaście sekund, Hal wymierzył w sam środek piersi Temudżeina i pociągnął za spust.

Kuszy nie da się porównać pod względem szybkostrzelności do łuku, za to znacznie łatwiej jest z niej wycelować, strzelić – i trafić. Nie wymaga to miesięcy czy wręcz lat mozolnych ćwiczeń prowadzących do mistrzowskiego opanowania broni. Co więcej, kusza Hala zaopatrzona była we własnego pomysłu przyrządy celownicze, co zapewniało jej wyjątkową skuteczność.

Jeździec właśnie nałożył na cięciwę swojego łuku kolejną strzałę, gdy bełt z kuszy trafił go w lewe ramię. Impet uderzenia zrzucił napastnika z siodła na ziemię. Przerażony koń zarżał głośno, stając dęba. W tej chwili spośród drzew wyłoniło się jeszcze trzech Temudżeinów. Widząc, że ich towarzysz zwija się z bólu na ziemi, cofnęli się czym prędzej, aby na powrót skryć się w lesie.

Hal powtórnie naciągnął kuszę, stękając przy tym z wysiłku, nałożył drugi bełt. Lydia wyszła zza drzewa. Chciała być gotowa, gdy Temudżeini znów się pojawią. Kiedy musiała wyprostować się przed wykonaniem rzutu, przeciwnik zyskiwał kilka cennych sekund przewagi. Stojąc, była w stanie od razu wypuścić śmiertcionośną strzałkę. Hal mógł celować z ukrycia, pozostał więc za pniem drzewa z kuszą gotową do wystrzelenia pocisku. Odnotował rozlegające się w oddali okrzyki załogi „Czapli”, słyszał łomot zsuwającego się kadłuba.

– Co teraz? – spytała Lydia.

– Czekamy, co zrobią – odpowiedział Hal – a potem ich zatrzymamy.



## Rozdział 33



**T**rzeciej jeźdźcy wypadli z ukrycia bez żadnego ostrzeżenia, w pełnym galopie.

Pędzili w odległości kilku metrów od siebie. Natychmiast rozpoczęli też ostrzał, ich pociski świstały w powietrzu wokół Lydii i Hala. Na szczęście gęste listowie chroniło przed strzałami, które traciły impet, uderzając o gałęzie i pnie, rykoszetując przy tym w najdziwniejszych kierunkach.

Hal i Lydia wystrzelili jednocześnie. Niestety, oboje wymierzili do tego samego napastnika. Środkowy jeździec został niemal w tej samej chwili przebity strzałką i trafiony w nogę bełtem z kuszy Hala. Dwaj pozostali gnali dalej, lawirując pośród drzew.

– Ja biorę tego z prawej! – zakrzyknęła Lydia, aby nie powtórzyć sytuacji sprzed chwili. Wypuściła swój pocisk, który strącił jeźdźca z siodła. Temudzein z łoskotem runął na ziemię, a jego koń uniósł się na zadnich nogach, po czym odwrócił się i uciekł w kierunku, z którego przybiegł.

Hal tymczasem zmagał się, usiłując naciągnąć kuszę, jednak w pośpiechu nie trafił na zaczep spustu. Lydia sięgnęła po broń, ale wojownik był już przy nich. Odrzucił łuk, zobaczywszy, że liście zmieniają bieg strzał, dobył zaś długiej, lekko zakrzywionej szabli. Zamachnął się, a wtedy z ziemi u kopyt jego wierzchowca wzbił się czarno-brązowo-biały kształt. Kluf, warcząc groźnie, skoczyła na jeźdźca, przstraszyła jego konia, który odskoczył na bok. Szabla świsnęła w powietrzu, nie czyniąc nikomu

krzywdy, ale ledwie pół metra od Hala, który dalej zmagał się ze swoją kuszą.

Kluf wylądowała na ziemi za końskim zadem, przeokoziółkowała. Odzyskała zaraz równowagę, przypadła do ziemi, warcząc groźnie i strosząc sierść na karku. Mrużąc ślepią, obserwowała Temudżeina. Napastnik jako godny przedstawiciel swojego plemienia był wybornym jeźdźcą, toteż natychmiast odzyskał równowagę w siodle, ściągnął wodze i obrócił w miejscu wierzchowca, by zmierzyć się z bezpośrednim zagrożeniem – wielkim, groźnym psem. Spiął konia ostrogami, biorąc jednocześnie zamach szablą. Kierował wierzchowca kolanami wprost na psa, zamierzając go stratować. Jednak Kluf była gotowa. Śmignęła w prawo, potem z powrotem w lewą stronę, poruszając się szybciej niż jeździec i jego koń.

Temudżein próbował za nią nadążyć, lecz w tym celu musiał pochwycić wodze dłonią, w której trzymał szablę; broń zwiśla na pętli wokół jego nadgarstka. W tej samej chwili Kluf skoczyła znowu, jej potężne szczęki z siłą imadła zacisnęły się na rękę jeźdźcy. Ciężarem potężnego cielska ważącego dobre pięćdziesiąt kilo ściągnęła go z końskiego grzbietu, powalając na ziemię.

Temudżein zawył z bólu. Suka wiedziała, że nie wolno wypuścić jego ręki z zębów, nie wolno pozwolić, żeby dźwignął się na nogi. Z całej siły zaciskając szczęki, wlokła go po ziemi, szarpiąc przy tym łbem na boki i wściekle warcząc.

Miotając się desperacko, Temudżein zdołał lewą ręką dobyć długiego sztyletu zawieszzonego u pasa. Zamachnął się, by ugodzić Kluf w bok. Wiedział dokładnie, gdzie trzeba trafić, aby zabić psa.

Ostrze już miało dosięgnąć Kluf, kiedy Hal strzelił.

Temudżein padł na plecy, rozwierając szeroko oczy, nóż wypadł z jego dłoni. Kluf natychmiast puściła rękę jeźdźcy, cofnęła się. Sierść na jej karku nie stroszyła się już tak mocno, lecz suka nadal warczała gniewnie. Hal przykląkł, by przyjrzeć się rannemu.

Stojąca za nim Lydia nadal obserwowała drzewa, spośród których wyjechali napastnicy.

– Co z nim? – spytała.

– Przeżyje – odparł Hal. Bełt trafił jeźdźcę w prawe ramię. Rana była bolesna, ale nie śmiertelna. – Tylko przez jakiś czas nie postrzela sobie z łuku.

W oddali usłyszeli nawoływanie Thorna. Stary wilk morski przywykł do wykrzykiwania rozkazów, które były głośniejsze od wycia wichru i huku fal.

– Hal! Lydia! Wracajcie!

Spojrzeli na siebie. Hal raz jeszcze zerknął na drzewa w oddali. Na razie więcej jeźdźców się nie pojawiło. Wyprostował się.

– Biegiem! – zakomenderował.

Pędzili w dół i w głąb lądu. Na miękkiej ziemi wyraźnie widoczny był ślad kila „Czapli” i odciski stóp pozostawione przez hamujących zsuwający się kadłub członków załogi. Lękając się, że lada chwila pojawić się mogą kolejni Temudżeini, Hal i Lydia zbiegali na łeb, na szyję, ślizgając się i potykając, coraz prędzej i prędzej, i coraz bardziej wyciągając nogi. Kluf pędziła przodem, machając dla zachowania równowagi ogonem, poszczekiwała, zachwycona. Gdy znaleźli się już na dole, Hal i Lydia z trudem mogli ustać.

Zatrzymali się, dysząc ciężko, z trudem chwytając powietrze. Kluf tymczasem tańczyła wokół nich, merdając ogonem i poszczekując. Spodobał jej się ten wyścig i miała ochotę go powtórzyć.

– Łatwo ci mówić – sapnął Hal z wyrzutem. – Masz cztery łapy.

– Dobry piesek – powiedziała Lydia, czochrając kudłaty łeb Kluf.

Znajdowali się jakieś pięćdziesiąt metrów od brzegu rzeki.

– Dalej! – zakomenderował Hal.

Znowu ruszyli biegiem, Kluf jak zwykle przodem.

Byli w połowie drogi, kiedy za ich plecami rozległy się dzikie okrzyki oraz tętent końskich kopyt walących w miękką ziemię. Skandanie z „Czapli” przyspieszyli biegu, oglądając się co chwila za siebie. Napastnicy wciąż jeszcze pozostawali niewidoczni, choć słyhać już było odgłosy pogoni.

Hal i Lydia wypadli z gęstwiny drzew przy brzegu rzeki. Kluf zdążyła tymczasem wskoczyć na pokład „Czapli”, która kołysała się, gotowa do odpłynięcia. Wioślarze czekali na rozkaz, zaś Stig i Thorn na pokładzie rufowym stali w gotowości, by pomóc Lydii i Halowi dostać się na pokład. Hal poczuł, że podnoszą go do góry muskularne ramiona Stiga. W następnej chwili stał już na pokładzie. Chwilę potem Thorn dźwignął Lydię. Gdy tylko ich stopy dotknęły pokładu, Stig wydał rozkaz:

– Odepchnąć od brzegu! A potem do wiosł i cała naprzód!

U steru stał Edvin. Ingvar, uzbrojony w długi drag, odepchnął z całej siły okręt, pióra wiosła pogrzały się w wodzie. „Czapla”, zataczając łuk, skierowała się momentalnie w stronę przeciwnego brzegu, aby trudniej było ją trafić z dużej odległości.

Hal ujrzał pięciu Temudżeinów na brzegu, od którego dopiero co odbili. Dwóch jeźdźców podniosło łuki.

– Kryć się! – zawołał Hal.

Skandianie schowali się za barierą okalającą pokład, tylko sha'shan pozostał wystawiony na strzały. Właśnie dwie świsnęły nad miejscem, gdzie przyczał się Hal. Jedna z nich przeleciała nad pokładem i wpadła do rzeki. Druga wbiła się w zwinięty żagiel, kilka metrów od sha'shana. Pa'tong wykrzyczał coś, co najwyraźniej było stekiem obelg skierowanym do jego ludzi. Żaden z nich już nie wystrzelił.

„Czapla” znów pędziła z prądem. Hal, spoglądając na uciekające w tył brzegi, uświadomił sobie, że płyną coraz prędzej, a koryto rzeki staje się coraz węższe. Znowu słychać było ryk wody rozbryzgującej się o kamienie. Spojrzał w górę rzeki, dostrzegł ruch wśród drzew. Nie było co się łudzić, to nie przednia straż. Podczas drugiej przeprawy Temudżeini zdołali ich dogonić.

– Drugi raz się nie uda. Są za blisko – rzekł do Thorn.

– A więc czeka nas ostra jazda – powiedział Thorn i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Jak za dawnych dobrych czasów.

– Na brodę Orloga, mam nadzieję, że nie aż tak ostra – zaproponował Hal, który doskonale pamiętał pełne grozy chwile, kiedy ścigali pirata Zavaca. Jednak tamto doświadczenie dało im przynajmniej świadomość, czego można się spodziewać, i zyskali tyle doświadczenia, ile tylko można było w takiej sytuacji zdobyć.

Bystrzyny zbliżały się nieuchronnie, od wpłynięcia na nie „Czaple” dzieliły już tylko chwile, więc Hal wydawał pospiesznie rozkazy:

– Ulf i Wulf, zostańcie przy wiosłach.

Bliźniacy skinęli głowami, przyjmując rozkaz.

– Stig, ty i Stefan idźcie na dziób. Weźcie bosaki, żeby odpychać się w miarę możliwości od skał. Thorn, ty też idź z nimi.

Stary wojownik ze swoją siłą i świetnym refleksem mógł stanowić dla Stiga bezcenną pomoc, choć nie był w stanie tak sprawnie operować bosakiem jak Stefan – mając tylko hak zamiast jednej dłoni.

– Ingvar! – zawołał Hal do osiłka. – Przynieś mi wiosło sterowe i przywiąż je do relingu.

Ingvar skinął głową, wydobył z zagłębienia leżące wzdłuż pokładu wiosło. Zwykły ster w kipiącej, wirującej wodzie bystrzyn byłby niemal bezużyteczny. Co innego wiosło przymocowane do sterburty, które zapewniało Halowi możliwość częściowego przynajmniej zapanowania nad okrętem.

Ingvar przymocował je do potężnego kołka sterczącego w tym właśnie celu ze sterburty w taki sposób, że pióro wiosła sięgało daleko za rufę. Spojrzał w stronę Hala.

– Gotowe – zameldował.

Skirl podszedł, chwycił za drzewce, opuścił pióro do wody i poruszył kilka razy, kierując dziób okrętu najpierw w jedną, potem w drugą stronę.

– W porządku – orzekł. – A teraz wyciągnij ster i stań obok, na wypadek gdybym potrzebował twojej pomocy podczas sterowania.

Przesunął wzrokiem po pozostałych członkach załogi, zastanawiając się, czy komuś jeszcze powinien wyznaczyć specjalne zadania. Uznał, że nie ma takiej konieczności, więc przywołał ich:

– Edvin, Jesper, Lydio, wszyscy na rufę. Dziób musi być jak najwyżej. Weźcie każde po wiosło, bo może trzeba będzie odpychać się od skał.

– A co z jego wysokością? – spytał Thorn, spoglądając w stronę skulonej postaci u stóp masztu. Sha'shan był blady jak ściana. Nie całkiem pojmował, co się dzieje, rozumiał jednak, że zanosí się na coś tyleż nieprzyjemnego, co niebezpiecznego.

– Niech zostanie tam, gdzie jest – orzekł Hal. Nie chciał, żeby sha'shan plątał się w takiej chwili pod nogami załogi. – Możesz sprawdzić jego więzy – dodał po namyśle.

Thorn przemknął na śródpokład, przykucnął, żeby przyjrzeć się linom krępującym nadgarstki sha'shana i mocującym je do masztu. Gestem dał Halowi znak, że trzymają mocno, po czym udał się na dziób.

Prąd stawał się coraz bardziej rwący, okręt z każdą chwilą płynął coraz szybciej. „Czapla” zaczęła skręcać, Hal musiał naprzec na sterujące wiosło, by wyprostować jej kurs.

– Ulf! Wulf! – zawołał. – Prędeż, musimy zachować sterowność!

Zdawało się szaleństwem, żeby chcieć płynąć jeszcze szybciej – ale „Czapla” musiała pomknąć prędeż od niosącego ją prądu, w przeciwnym

bowiem razie mogłaby tylko dryfować bezwładnie, zdana na kaprysy rozszalałego nurtu, a sterowanie stałoby się prawie niemożliwe.

Bliźniacy z całej siły napierali i ciągnęli wiosła, sapiąc przy tym głośno z wysiłku. „Czapla” przyspieszyła jeszcze, pędząc teraz z oszłamiającą prędkością.

A potem wypłynęli za ostatni zakręt, prosto na bystrzyny.



## Rozdział 34



**W**oda pośrodku była gładka i lśniąca niczym wypolerowany metal. Przy obu brzegach kotłowała się, spieniona, wokół najeżonych skał, wzbijając w powietrze mgłę nieustannie wznoszącą się nad rzeką. Fale odbijały się od brzegu w stronę środka nurtu, który swoim pędem wygładzał je, tworząc złudne wrażenie spokojnej toni.

Licząc na to, że pośrodku nie będzie skał, Hal tam właśnie skierował okręt. Wypłynął nieco po lewej stronie owej gładkiej powierzchni; gdy znalazł się na niej, „Czapla” nie zdążyła jeszcze całkowicie wyrównać kursu do biegu rzeki.

Wystrzeliła naprzód, jej dziób zawisł przez ułamek sekundy nad progiem, a potem runął w dół, wzbijając fontanny wody po obu stronach. Hal poczuł, że nurt odbiera mu kontrolę nad okrętem. Nastąpiło to, czego się obawiał – woda pędziła prędzej od „Czapli”.

– Ulf! Wulf! Jeszcze mocniej, szybciej! – krzyknął.

Bliźniacy dawali z siebie wszystko, ale rufa nadal kierowała się ku lewej stronie. Hal co prawda nie mógł już skutecznie sterować, natomiast dzięki długiemu wiosłu mógł stawić opór sile usiłującej skierować okręt burtą do nurtu. Naparł więc na drzewce, jednak siła wody okazała się zbyt wielka. Okręt nadal się obracał. Hal wiedział, że jeśli „Czapla” stanie prostopadle do biegu rzeki, nie przetrwa nawet pięciu sekund. Rozpędzona masa wodna przewróci ją, czyniąc z okrętu strzaskaną kupę drewna, a załoga wyląduje w wodzie, bez większych szans na przeżycie.

– Ingvar! Pomóż! – wrzasnął.



Ingvar w mgnieniu oka znalazł się przy nim, z całych sił naparł swoim potężnym ciałem na drzewce. Wygięło się niepokojąco, przez moment Hala ogarnęło przerażenie. Jeśli pęknie, to koniec.

– Trochę lżej! – zawołał.

Ingvar posłusznie zmniejszył nacisk. Drzewce nie wyginało się już tak bardzo i, o dziwo, zmniejszona siła przyniosła nawet jakby lepszy efekt. Z wolna rufa zaczęła cofać się na prawą stronę, aż wreszcie okręt ustawił się z nurtem.

Wtedy jednak stojący u dzioba na sterburcie Stig dostrzegł czającą się kilka centymetrów pod powierzchnią skałę zagrażającą delikatnemu poszyciu „Czapli”. Zaparł się nogami, wyciągnął drąg przed siebie i oparł go o przeszkodę, napierając jednocześnie całą siłą i masą, by przesunąć dziób w prawo.

Spowodowało to znowu przesunięcie rufy w lewą stronę, a więc zniweczenie wysiłków Hala oraz Ingvara; okręt, jak poprzednio, ustawiał się ukosem w stosunku do nurtu.

– Pchaj! – wrzasnął Hal. Wspólnie z najwyższym trudem przywrócili prosty kurs „Czapli”. Potem zaś Thorn ostrzegł głośnym krzykiem Stefana, pokazując mu skalny kiel, tym razem tuż nad wodą, od strony sterburty. Stefan mocno oparł bosak o skałę i odepchnął się. Tym razem dziób powędrował na lewą stronę, przesuając rufę w prawo.

Kiedy się to stało, Hal oraz Ingvar wciąż napierali na wiosło sterowe, próbując ustawić rufę w tym właśnie kierunku. Nieoczekiwana pomoc ze strony stojącego na dziobie towarzysza sprawiła, że drzewce nagle ustąpiło pod ich naciskiem. Ingvar stracił równowagę i runął na pokład, tak że ster pozostał tylko w dłoniach Hala, który teraz z całej siły starał się powstrzymać niespodziewany ruch.

W następnym momencie Ingvar już dołączył do wysiłków skirla. Nie potrafili jednak dostroić się do rytmu rzeki, wciąż musieli przeciwdziałać gwałtownym skrętom i podrygom „Czapli”. Gdy tylko udało im się dokonać poprawki kursu, natychmiast okazywało się, że przedobrzyli, więc musieli po raz kolejny z całych sił ustawiać okręt równolegle do nurtu. W pewnej chwili Hal poczuł zgrzytnięcie pod nogami; „Czapla” ledwo prześlizgnęła się nad podwodną półką, której nie sposób było dostrzec.

Prąd spychał teraz okręt w prawo. Nie mogło się to zdarzyć w gorszym momencie.

– Następny próg! – wykrzyknął ostrzegawczo Thorn, na sekundę czy dwie zanim „Czapla” runęła w dół, spadając z wysokości kilku metrów. Uderzyła dziobem o powierzchnię wody. Rozległ się ogłuszający trzask, woda zalała pokład.

Sha’shan był co prawda solidnie przywiązany do masztu, ale nacierająca woda zwała go z nóg i przelała się po nim. Wydał okrzyk przerażenia, którego nikt nie słyszał, gdy zaś fala przeszła po pokładzie, nie wstał, leżał u stóp masztu.

Przy sterze Hal i Ingvar, uczepleni drzewca wiosła, zaparli się nogami o okrężnicę, by stawić czoło nacierającej wodnej masie. Hal poczuł, że się zsuwa, a rzeka porywa go ze sobą, ale wtedy Ingvar chwycił go mocno za kołnierz kurty i zaciągnął z powrotem na pozycję.

– Dzięki – wykrztusił Hal. Napił się przy okazji sporo mętnej cieczy.

Ingvar niedbale skinął głową.

– Znowu odpadamy – rzucił. – „Czapla” ustawia się burtą do kursu.

Halowi niemal udało się przywrócić okrętowi właściwą pozycję. Słyszał dobiegające z pokładu dziobowego okrzyki Stiga, Thorna i Stefana, gdy przestrzegali jeden drugiego przed kolejnymi zagrożeniami. Okręt szarpał się, wciąż odpychany to w jedną, to w drugą stronę od sterczących skał. Ingvar nie mylił się, „Czapla” wciąż odpadała od nurtu, jej rufa znowu kierowała się w lewą stronę.

– Już zaraz koniec! – zawołał Hal, mrużąc oczy; jeszcze tylko kilkadziesiąt metrów dzieliło ich od miejsca, w którym powierzchnia rzeki stawała się gładka. – Jeszcze tylko kilka minut, musimy wytrzymać.

Siedzący przy wiosłach Ulf i Wulf wciąż pracowali bez wytchnienia, usiłując prześcignąć nurt rzeki, by odzyskać sterowność. Jednak prąd był zbyt silny, więc „Czapla” pędziła wraz z nim niemal bezwładnie. Jedyne dzięki nadludzkiej sile Ingvara okręt trzymał się mniej więcej prosto, ale ciągłe drobne zmiany kursu powodowane przez Stiga i Stefana czuwających na dziobie, odpychających kadłub od skał, sprawiały, że coraz trudniej było zapanować nad okrętem.

Zaczęło ich znów znosić w lewo, prosto na potężny wir, który szalał w miejscu, gdzie główny nurt rzeki rozbijał się o skały, unosząc w powietrze rozbryzgi piany. Czując, że okręt zbacza, Ulf i Wulf jeszcze wzmogli wysiłki, dziób zaczął kierować się zgodnie z przyjętym kursem.

Zbliżał się następny, metrowy próg. Prowadził do niego wąski przesmyk, akurat w sam raz, żeby „Czapla” mogła tamtędy przemknąć. Hal zawołał,

usiłując przekrzyczeć ryk rozszalałej wody:

– Kurs między te dwie skały! Ulf! Wulf! Teraz z całej siły!

Bliźniacy wiosłowali, stękając z wysiłku, Hal oraz Ingvar usiłowali manewrować za pomocą wiosła; udało im się ustawić okręt dziobem do przesmyku. „Czapla” trafiła prosto w jego środek, pędząc jak burza z wysoko uniesionym dziobem, podczas gdy cała załoga zgromadziła się na rufie. W następnej chwili, gdy dziób zaczął opadać, Hal ujrzał skałę, która dotąd kryła się za progiem.

Nie mógł zrobić absolutnie nic, żeby ją ominąć. „Czapla” pędziła prosto na nią bez szansy na zmianę kursu i ominięcie przeszkody w ciągu tych kilku chwil.

Okręt uderzył o skałę z ogłuszającym hukiem, pokład zadrżał, co Hal poczuł pod stopami. Serce mu się krajało, bo wiedział, że ukochanej łodzi dzieje się straszna krzywda.

Na szczęście skała była płaska, bez wystających ostróg, które mogłyby przebić deski pokładu. Jednak tak silne uderzenie musiało poczynić znaczne szkody. Nurt porwał okręt dalej, „Czapla” jeszcze kołysała się gwałtownie, ale w miarę jak wypływali na spokojniejsze wody, wyrównywała kurs.

– Myślisz, że „Czapla” to wytrzymała? – spytał Ingvar. On też słyszał potężny trzask i poczuł wstrząs pod stopami.

Hal pokręcił głową.

– Nie wiem, ale chyba nie.

Nie było jednak czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Zawołał do swoich ludzi zgromadzonych na rufie.

– Wracać do wiosła! Musimy dotrzeć do zwężenia rzeki.

Jesper zajął swoje miejsce, obok niego zasiadł Stefan. Rozumiejąc, jak ważna jest w tej chwili prędkość, do wiosłujących dołączyli też Stig oraz Ingvar.

Hal nie miał czasu, żeby na nowo zamocować ster. Pozostał więc przy wiosle sterowym, tymczasem okręt stopniowo przyspieszał. Zachowywał się jednak dziwnie, reagował ospale na próby manewrowania.

– Edvin! – krzyknął Hal. – Sprawdź, czy „Czapla” nie nabiera wody.

Nie zdziwiłby się, gdyby tak było. Uderzenie, nawet jeśli nie spowodowało o wiele poważniejszych szkód, mogło poluzować kilka desek.

Edvin przypadł do klapy prowadzącej pod pokład, żeby sprawdzić, czy nie gromadzi się tam woda, i w razie potrzeby zacząć ją wypompowywać.

Po chwili pojawił się znowu.

– Wygląda, że nic się nie stało – oznajmił. – Wody trochę jest, może tu i tam kadłub trochę się rozszczelnił. Poradzimy sobie.

Hal mruknął gniewnie pod nosem, bo przed momentem znów poczuł, jak opornie okręt reaguje na ster. Wiedział, że stało się coś złego. Coś o wiele poważniejszego niż rozszczelnienia kadłuba.

Edvin spostrzegł to.

– Jak ci się steruje?

Hal zawahał się, nim odpowiedział:

– Kiepsko. „Czapla” zrobiła się ociężała i reaguje z dużo większym opóźnieniem niż przedtem. – Urwał, a po chwili dodał: – Może to z powodu wiosła sterowego.

Edvin przytaknął, on również wbrew rozsądkowi miał nadzieję, że nie stało się nic gorszego.

– Kto wie. Może zaczniesz się zachowywać inaczej, jak znowu założymy ster.

Hal nie odezwał się już. Nie łudził się; w głębi duszy wiedział, że źródłem kłopotów nie jest wiosło sterowe. Nie miał jednak czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Zbliżali się do miejsca, w którym zamierzał powstrzymać pościg Temudżeinów. Rzeka płynęła tam przez wąwóz, brzegi zwężyły się – po wschodniej stronie w pewnym punkcie urwiste klify od wody dzieliły zaledwie dwa metry. Na zachodnim brzegu plaża była nieco szersza, ale nadal nadawała się do obrony; tam przestrzeń między wodą a urwiskiem wynosiła około dwunastu metrów.

– Przybijamy! – zawołał Hal. – Stig, Jesper, przygotować się do cumowania. Pozostali, wiosłować wolniej.

„Czapla” jakby z niechęcią podążyła ku brzegowi. Dziób wbił się w miękką nawierzchnię, przy czym Hal dołożył starań, by odbyło się to możliwie jak najłagodniej. Stig i Jesper zamocowali cumy. Hal z Thornem stali na pokładzie dziobowym. Skirl wskazał najwęższy odcinek brzegu.

– Chcę, żebyś tutaj ich powstrzymał – powiedział. – Ja popłynę z sha’shanem do Hallasholm. Przyślę wam wsparcie, ale ty musisz ich zatrzymać. Nie możemy pozwolić, żeby kilkuset Temudżeinów wdarło się na naszą równinę. Wtedy bowiem będzie niezwykle trudno ich dopaść.

Thorn skinął głową.

– Zbudujemy tu barykadę i ścianę z tarcz – odparł. – Na razie, skoro jest ich tylko kilkuset i nie mogą natrzeć szerszym frontem, powinniśmy sobie

poradzić. Już kiedyś stwierdziliśmy, że w bezpośrednim starciu nie są wcale takimi mistrzami. My zaś – jak najbardziej! – Klepnął skirla w ramię. – Nie przejmuj się. Nie damy im przejść. Tylko nie guzdraj się, wracaj jak najprędzej.

Stig wdrapał się z powrotem na pokład i stanął obok nich.

– Jak się miewa nasz okręt?

Hal przygryzł wargę. Nie było powodu, by ukrywać dalej prawdę.

– Źle się miewa – wyznał. – Obawiam się, że straciliśmy kil.

Stig pobladł.

– Całkowicie?

Hal pokręcił głową.

– Gdyby był zupełnie zmiądzony, nie utrzymalibyśmy się na powierzchni. Prawdopodobnie jest pęknięty. Czuję, że „Czapla” mnie nie słucha, kiedy próbuję nią manewrować.

– Jak w takim razie chcesz się dostać do Hallasholm? – zdziwił się Thorn.

– Wezmę ze sobą Edvina, popłyniemy na żaglach. We dwóch damy radę halsować. Powinna wytrzymać, to raptem pół dnia żeglugi. Byle tylko utrzymała się pogoda.

Spojrzeli wszyscy na niebo. Po błękitnym nieboskłonie wędrowały rozproszone chmury gnane jednostajnym wiatrem.

Thorn pociągnął nosem, próbując wywęszyć pogodę:

– Nie zanosz się na zmianę – ocenił.

Odwrócił się potem i krzyknął do załogi:

– Rozładować statek, wynosić broń i żywność! Ulf, Wulf, Stefan! Zaczynajcie kopać rów, od tego drzewa do samego brzegu rzeki. Musimy powstrzymać tutaj wszystkich Temudżeinów, więc kopcie naprawdę głęboko.



## Rozdział 35



**K**iedy Thorn uznał, że umocnienia obronne są gotowe, Edvin przyszykował posiłek dla całej załogi. Do tej pory Temudżeini jeszcze się nie pokazali.

– Tyle przynajmniej zyskaliśmy dzięki szalonemu spływowi po bystrzynach – rzekł nie bez goryczy Hal. Przebyli je w takim tempie, że daleko w tyle zostawili jeźdźców, którzy na tym odcinku musieli przedzierać się przez gęsty las.

Thorn skończył posiłek, wytarł jeszcze talerz kawałkiem chleba, po czym oblizał palce. Skłonił się nisko Edwinowi.

– Potrafisz dobrze gotować, nawet kiedy masz do dyspozycji tylko suszone czy solone żarcie – przyznał. Potem zaś skrzywił się, spoglądając na Hala. – A ty go zabierasz ze sobą i zostawiasz nas na łasce Jespera.

Jesper zastępował Edvina w kucharzeniu i mówiąc oględnie, nie dorównywał mu kulinarnymi umiejętnościami.

– No dzięki bardzo – odezwał się. – Kto nie chce, zawsze może nie jeść.

– Czego on nie zje, to ja chętnie przygarnę – zaoferował się ochotczo Stig.

Jesper parsknął pogardliwie.

– To też żaden komplement, bo ty zeżarłbyś nawet zdechłego borsuka, byle go trochę podgrzać.

Stig uśmiechnął się promiennie.

– Zdechły borsuk? To dzisiaj mamy na kolację? Mniam!

Odpowiedział mu rehot załogi. Hal spoglądał na nich z rozczeniem. Kilka lat temu ci ludzie byli wyrzutkami bez szans na dostanie się do którejkolwiek ze skandyjskich drużyn. A teraz właśnie w pogodnym nastroju przygotowywali się, by stawić czoło setkom temudzeińskich wojowników, broniąc ojczystej krainy.

– Żałuję, że nie mogę z wami zostać – rzekł półgłosem do Thorny, który tylko machnął ręką.

– Lepiej, żebyś jak najszybciej dojechał do Hallasholm i podniósł larum – odpowiedział. Po chwili zaś dodał: – Tylko jak zaledwie we dwóch poradzicie sobie z „Czapłą”?

Hal zdążył już to przemyśleć, więc miał gotową odpowiedź:

– Postawię żagiel przed wypłynięciem. Kiedy znajdziemy się na morzu, wiatr będziemy mieli od sterburty i popłyniemy na nim prosto do Hallasholm.

– Na morzu, zapewne – odpowiedział Thorn. – Ale jak spłyniecie rzeką?

– Rzeką poniesie nas nurt, a do tego postaramy się halsować – brzmiała odpowiedź skirla. – Niewiele to da, jeżeli wiatr zmieni kierunek, ale na razie nie jest najgorzej.

Halsując, czyli płynąc zakosami pod wiatr, można przynajmniej w pewnym stopniu wykorzystać jego siłę; jednostka porusza się wówczas znacznie wolniej, niż gdyby podążała z wiatrem, lecz jednak prędzej niż niesiona wyłącznie prądem.

Hal spojrział na słońce, by ocenić godzinę, przyglądał się też przez chwilę chmurom, by sprawdzić, czy wiatr nie zmienia kierunku.

– Cóż – powiedział – czas nam w drogę. Edwin, na pokład – zakomenderował i zaśmiał się. – Jesper może po nas pozmywać.

– Ach, dzięki też i za to – burknął Jesper z udawanym oburzeniem. Edwin, który pozbierał od wszystkich brudne talerze i łyżki, wręczył je teraz koledze.

– Ależ proszę bardzo – odpowiedział.

Ruszył za Halem na brzeg, gdzie „Czapla” kołysała się niespokojnie na napiętych cumach, jakby nie mogła się doczekać, kiedy znów popłynie. Sha’shan znajdował się już na pokładzie, znów solidnie przywiązany do masztu.

Stig wskoczył lekko na pokład, pomógł Kluf, następnie postawił żagiel. Płótno zatrzepotało na wietrze, nim Edwin pochwycił linę umocowaną do dolnego rogu trójkątnego żagla, aby napiąć jego płachtę. Hal wciągnął

cumę rufową, Stig uczynił to samo na dziobie. Podbiegł potem do Hala i uściskał mu dłoń.

– Nic się nie martw – rzekł – damy popalić tym kucykarzom.

– Wiem – zapewnił go Hal.

– Tylko nie zwlekaj za długo, każda pomoc się przyda – rzucił wesołym tonem Stig. Przeskoczył przez reling, by pchnąć okręt w stronę głównego nurtu. Pomogli mu w tym pozostali członkowie załogi. Potem jeszcze rozległ się chór pożegnań i życzeń pomyślnych wiatrów, żagiel wydał się i „Czapla” popłynęła w dół rzeki. Hal zastąpił uprzednio wiosło sterowe zwykłym sterem, teraz miał wypróbować, jak uszkodzony okręt na niego reaguje i na ile da się nim sterować.

Niesiona bystrym nurtem i gnana wiatrem „Czapla” po kilku minutach znikła za zakrętem rzeki.

– Cóż – odezwał się Thorn. – Przygotujmy się na przyjęcie gości.



Płynęli długim halsem ku wschodniemu brzegowi. Biorąc pod uwagę obniżoną sterowność „Czapli”, Hal postanowił zawczasu dokonać zwrotu przez sztag.

– Gotów...! – zawołał do Edvina. – Uwaga... Teraz!

Przesunął ster, a Edvin wypuścił linę, pozwalając żaglowi trzepotać na wietrze. Dzięki opuszczonemu kilowi „Czapla” gładko dokonała zwrotu, na tyle rozpędzona, że przeciwny wiatr nie zdołał jej zatrzymać. Kiedy weszli w prawy hals, Edvin na nowo napiął żagiel.

Obaj poczuli, że okręt zwalnia podczas zwrotu, dryfując bokiem, i Hal znowu spostrzegł, jak kadłub odwraca się wbrew jego woli, poddając się bardziej, niż powinien, sile wody oraz wiatru. „Czapla” jednak płynęła nadal przed siebie, zachowując jako taką sterowność.

Hal odczekał, aż nastąpi właściwy moment, by przejść z powrotem do lewego halsu, dokonał następnego zwrotu. Z głośnym łopotem żagiel wypełnił się wiatrem, teraz kierunek bryzy był korzystniejszy, więc „Czapla” znów nabrała prędkości, ale reagowała na ster z oporem, ospale.

– Jak tam?! – zawołał Edvin.

Hal wzruszył ramionami.

– Może być – odpowiedział wymijająco.



Może, ale tak jednak być nie powinno – pomyślał. Nie było jednak sensu nad tym się rozwodzić. Wiadomo, że okręt albo dopłynie do Hallasholm, albo nie. Hal nic już nie mógł zrobić. Liczył na to, że łatwiej pójdzie, kiedy wydobną się na morze. Uśmiechnął się, chcąc poprawić Edwinowi nastrój.

– Dobrze będzie – zapewnił go. – Wiem coś o tym, sam ten okręt zbudowałem.

Na tym właśnie polegał problem. Zbudował „Czapkę” i znał ją doskonale. Dlatego wiedział, że teraz coś złego się z nią dzieje.



Thorn i Stig przechadzali się wzdłuż barykady. Tak jak poprzednio użyli ziemi wydobytej podczas kopania rowu, by usypać z niej wał. W wykopie zatknęli zaostrome drągi. Stefan i Ingvar ścięli kilka drzew, których użyli do ustawienia palisady, dzięki czemu zapora wznosiła się aż do wysokości ich ramion. Na belkach umieścili wielkie okrągłe tarcze zapewniające lepszą osłonę przed strzałami.

Przeszli kilka metrów w górę rzeki, żeby przyjrzeć się umocnieniom od strony, z której nadejdzie przeciwnik. Nad barykadą jeżyły się stalowe grotty. Każdy z członków załogi miał po dwie włócznie, dzięki czemu można było stworzyć wrażenie, że obrońców jest więcej niż w rzeczywistości. Kilka metrów za barierą usypali kopiec dla Lydii, osłaniając go dodatkowo ścianą zbudowaną z ułożonych na sobie ociosanych naprędce pni drzew. Wzmacniały go też wbite w ziemię pale. W ten sposób powstała tarcza dla młodej łowczyni, Lydia mogła się za nią kryć i wypuszczać nad głowami obrońców strzałki z atlatla wymierzone w temudżeińskich napastników. Początkowo Ingvar zdecydował, że stanie obok Lydii z wielką tarczą, aby osłaniać dziewczynę, jednak Thorn się na to nie zgodził.

– Potrzebujemy cię tutaj, do obrony wału – rzekł.

Rosły wojownik, który przejawiał wobec Lydii nadopiekuńcze skłonności, chciał się spierać, ale dziewczyna położyła dłoń na jego przedramieniu.

– On ma rację, Ing – wytłumaczyła. – Przy barykadzie bardziej się przydasz.

W gruncie rzeczy Ingvar wiedział, że to prawda. Obrona tymczasowych umocnień musiała się opierać na Thornie, Stigu i Ingvarze, najgroźniejszych wojownikach z załogi. Ingvar, dzięki swej niezwykłej sile oraz zasięgowi potężnej halabardy, stanowił ważną część załogi, gdy dochodziło do walki wręcz.

– Nie zapomnieliśmy o czymś? – upewnił się Thorn, taksując wzrokiem linię obrony. Stig zastanowił się.

– Może trzeba było wziąć Zadymiarza z pokładu „Czapli” i ustawić go tam, gdzie umieściliśmy stanowisko Lydii.

Thorn jednak pokręcił głową.

– Do jego obsługi trzeba by dwóch ludzi. Nie możemy tak osłabić obrony barykady.

– Racja – przyznał Stig. – Jak zamierzasz to rozegrać, kiedy się pojawią?

– Tak samo jak nad jeziorem – wyjaśnił Thorn. – Prawdopodobnie zaczną od ostrzału z łuków. Jednak ponieważ jest tu płasko, kiedy ruszą do ataku, będą musieli ostrzał przerwać. Rów i zaostrome pale powstrzymają konie, więc Temudżeini zeskoczą z ich grzbietów, żeby walczyć pieszo. – Umilkł, spoglądając na pole nadchodzącej bitwy, próbując sobie wyobrazić jej przebieg. – Póki będą strzelać, my kryjemy się za tarczami, trzeba je złączyć, żeby stworzyć jednolitą osłonę. Mogą sobie strzelać, ile zechcą, zmarnują tylko strzały. Prędzej czy później zaatakują. Pewnie najpierw konno, chociaż nie ma tu zbyt wiele miejsca na atak jeźdźców, zmieści się jednocześnie cztery, może pięć koni. Kiedy zobaczą rów, zatrzymają się i pewnie zawrócą. A może od razu zeskoczą na ziemię i ruszą naprzód. Jeżeli tak, to jak mówiłem, ci za nimi będą musieli zaprzestać ostrzału.

Thorn w odległości trzech metrów od wykopu wyznaczył butem w piasku linię.

– Jeśli nadjadą konno – mówił dalej – dopuścimy ich aż tutaj, a potem zarzucimy włóczniami. Każdy ciśnie jedną, a drugą zachowa do walki z bliska. Chyba nawet nasi chłopcy dadzą radę trafić z takiej odległości – dodał, ubolewając w duchu, że wbrew swoim zamierzeniom nie zdążył ich lepiej wyszkolić w rzucaniu włócznią. – Jeżeli uda nam się powalić trzech czy czterech, dodatkowo utrudnimy zadanie tym, którzy przyjdą po nich.

– Może tylko my trzej z Jesperem powinniśmy rzucać? – zaproponował Stig. Obaj z Thornem byli doskonałymi włócznienikami, chociaż Thorn rzucał lewą ręką, natomiast Jesper był w tej dziedzinie najlepszy z reszty załogi. –

Każdy z nas wypuści po dwie, jedna po drugiej. To powinno wyrzucić pożądaną skuteczną.

Thorn kiwnął głową.

– Dobry pomysł – ocenił. – Lydia jednocześnie obrzuci ich pociskami. Ta dziewczyna stanowi w bitwie bezcenne wsparcie.

Umilkli, przyglądali się dalej, wciąż wypatrując jakiejś luki, słabego punktu swojej obrony. Niczego takiego jednak nie znaleźli. Thorn znał się na wojennej robocie, bo uprawiał się w tym rzemiośle od wczesnej młodości. Stig zaś, mimo młodego jeszcze wieku, także był doświadczonym weteranem. We dwóch znakomicie się uzupełniali.

Stig pomyślał, że jednak zawsze o czymś się zapomni, a potem, gdy przyjdzie do walki, trzeba to zaniedbanie na gwałt naprawiać. Drgnął, bo usłyszał gwizdnięcie od strony barykady.

Jesper machał na nich, drugą ręką pokazując w górę rzeki.

– Zaraz zaczyna się przyjęcie, przybywają pierwsi goście!



## Rozdział 36



**T**horn i Stig wrócili ku umocnieniom, precyzyjnie się między zaostrozonymi palami w wykopie, potem wspięli się na ziemny wał. Jesper wychylił się, wyciągnął rękę, żeby pomóc im wejść po obsypującym się zboczem.

Kiedy Stig przeskoczył na drugą stronę barykady, pomyślał, jak trudna byłaby ta krótka wspinaczka, gdyby Jesper powitał ich ostrzem włóczni, a nie pomocną dłoń. Wkrótce przekonają się o tym Temudżeini.

Thorn obserwował napastników. Dotąd było ich sześciu. Ściągnęli wodze, zatrzymali się w odległości osiemdziesięciu metrów, czekając na swoich pobratymców. Po chwili pojawiło się jeszcze kilkunastu; uformowali szyk na wąskim brzegu.

– Kryć się, wszyscy – ostrzegł Thorn. Nie można było mieć pewności, czy któryś z jeźdźców nie sięgnie po łuk i strzałę, by zaskoczyć obrońców.

Jednak było to zbędne ostrzeżenie. Obrońcy schowali się już wcześniej za wałem i złączonymi tarczami. Przez chwilę nic się nie działo. Temudżeini wstrzymali konie, obserwowali niespodziewaną przeszkodę stworzoną przez Skandian. Załoga „Czapli” kryła się za barykadą, czekając na pierwszy ruch ze strony napastników.

Zaatakowali bez ostrzeżenia. Pierwszych sześciu ruszyło do przodu jak jeden mąż. Thorn nie słyszał żadnego rzuconego na głos rozkazu, nie dostrzegł znaku danego ręką. Dopiero co stali bez ruchu, a w następnej chwili pędzili przed siebie.

– Trzeba przyznać, że są nieźle wyszkoleni – mruknął, niechętnie podziwiając dyscyplinę typową dla temudżeińskich manewrów wojskowych. Skandianom taki dryl był z natury obcy. W bitwie każdy radził sobie sam, jak potrafił, władając ulubioną bronią. Thorn miał swoją maczugę, Ingvar halabardę, Stig bojowy topór, a Hal w takich okazjach posługiwał się długim mieczem. Choć każdy z nich walczył inaczej, Thorn wyćwiczył drużynę „Czapli”; tworzyli zgrany zespół, w którym uzupełniali się nawzajem.

Brak dyscypliny to z jednej strony błogosławieństwo, z drugiej zaś – przekleństwo – pomyślał. Skandianie nie potrafiliby tak z miejsca przeprowadzić zmasowanego ataku. Z drugiej strony byli zupełnie nieprzewidywalni, więc wróg nigdy nie wiedział, czego się spodziewać – szczególnie taki przeciwnik jak Temudżeini. Stepowi wojownicy polegali na określonym schemacie: z początku grad morderczych strzał, potem atak konno lub w ostateczności pieszo.

Ledwie to pomyślał, usłyszał uderzenia pierwszych strzał wbijających się w tarcze – to pozostali w tyle strzelcy wypuścili pociski nad głowami atakujących towarzyszy.

– Nie pokazywać się! – ostrzegł Thorn, znów niepotrzebnie. Wszyscy członkowie załogi widzieli, jak skuteczny może być ostrzał ze strony Temudżeinów, gdy stanęli z nimi oko w oko pod Fortem Ragnak. Oprócz stukotu grotów Thorn słyszał też rozlegający się coraz bliżej tętent kopyt koni gnających z coraz większą prędkością. Zerknął ostrożnie przez wąską szparę między swoją tarczą a tarczą sąsiadującego wojownika. Sześciu jeźdźców nacierało na nich, w ścisku, bo brzeg stawał się coraz węższy. Niemal stykali się kolanami. Gdy byli już dwadzieścia metrów od umocnień, nagle spostrzegli wykop. Zapewne zamierzali zmusić konie, by wspięły się na wał i ich masą rozbić drewnianą palisadę oraz mur z tarcz. Teraz jednak na wykrzyczany przez dowódcę rozkaz gwałtownie ściągnęli wodze, konie zaryły kopytami w miękkiej ziemi, ślizgając się i przyklękając z rozpędu.

W tym samym czasie bicie grotów strzał o tarcze zelżało, a potem całkiem umilkło, bo jeźdźcy zasłonili widok strzelającym zza ich pleców towarzyszom. Przez chwilę panowało zamieszanie. Temudżeini – całkiem jak nie oni – nie widzieli, co dalej robić. Thorn postanowił tę chwilę wykorzystać.

– Stig! Jesper! Teraz! – ryknął.

Pochwycił jedną z włóczni wetkniętych drzewcem w ziemię, wyprostował się, wznosząc głowę i ramiona ponad górną krawędź tarcz, i cisnął w sam środek kłębiącej się grupki jeźdźców. Po obu jego bokach Stig i Jesper zrobili to samo. Nie czekając, aż pierwszy pocisk sięgnie celu, pochwycił drugą włócznię, wyważył ją w dłoni, wycelował i rzucił.

Usłyszał przenikliwy świst, gdy jedna ze strzałek Lydii przeleciała nad nim i wbiła się w ciało wojownika.

Padło trzech Temudżeinów i jeden koń. Pozbawione jeźdźców wierzchowce wprowadziły jeszcze większy zamęt, kopały na wszystkie strony i rżały przeraźliwie, próbując uciec, gdy tymczasem pozostali w siodłach Temudżeini desperacko usiłowali odzyskać kontrolę nad zwierzętami. Thorną kusilo, by posłać w kłębówisko kolejne włócznie, ale Skandianie nie mieli tej broni w nadmiarze. Poza tym Thorn spodziewał się, że włócznie wkrótce będą potrzebne w bezpośrednim starciu.

Na razie Skandianom udało się osiągnąć zadowalający wynik. Oprócz wykopu dostęp do ich umocnień utrudniały teraz ciała zabitych jeźdźców i zwłoki martwego konia. Kiedy Temudżeini przypuszczą następny atak, będą musieli po nich przejść.

Rozległa się głośna komenda, pozostali przy życiu jeźdźcy zawrócili konie i oddalili się galopem. Niemal natychmiast na obrońców przejścia znowu runął grad strzał. Po kilku minutach ustał, bo temudżeińscy łucznicy uświadomili sobie, że tylko marnują pociski. Przeciwnicy znów obserwowali się wzajemnie z odległości kilkudziesięciu metrów.

– Łatwo poszło – rzucił pogodnie Stig.

Thorn pokręcił głową.

– Następnym razem już nie będzie łatwo. Oni szybko się uczą – przypomniał.

Spoglądał wciąż przez szparę między tarczami. Nadal istniało niebezpieczeństwo, że któraś ze strzał trafi w lukę, gdyby taka powstała. Uderzały od czasu do czasu, nieregularnie, dudniły o drewno obciążone krowią skórą lub grzęzły w ziemnym wale. Zerknął za siebie na kopiec ze schronem wybudowanym dla Lydii. W drewnianej ścianie tkwiło co najmniej kilkanaście grotów. Temudżeini nie mogli nie zauważyć dziewczyny i natychmiast zdali sobie sprawę, jakie niebezpieczeństwo grozi im z jej rąk.

– Lydio, czy wszystko w porządku?! – zawołał.

Odpowiedziała natychmiast:

– Owszem, jak najbardziej. Słuchaj, Thorn, może puścić kilka strzałów na długi dystans? Mam ich bez problemu w zasięgu.

Zastanowił się nad tym pomysłem, ale uznał, że szkoda strzałek – Lydia dysponowała ograniczoną liczbą pocisków, które można będzie lepiej wykorzystać, kiedy Temudżeini znów ruszą do ataku.

– Zaczekaj, aż się zbliżą. Wtedy zachodzi mniejsza obawa, że będą do ciebie strzelać, i w razie potrzeby wesprzesz nas, jeżeli wpadniemy w kłopoty.

– Jak sobie chcesz – odparła niedbałym tonem.

– Uwaga, znów nacierają! – zawołał Stefan.

Thorn błyskawicznie odwrócił się, żeby ocenić sytuację. Tym razem jeźdźcy zrezygnowali z koni, uświadomiwszy sobie, że w tak ograniczonej przestrzeni wierzchowce utrudniają im zadanie, zamiast je ułatwiać; do tego nie było szansy, żeby przedostały się przez wykop. Nadciągali pieszo, było ich około dwudziestu. Dzierżyli w dłoniach długie, zakrzywione szable, swoją ulubioną białą broń, do tego niewielkie okrągłe tarcze z drewna obciążonego wzmocnianą skórą. Kilku z nich niosło długie włócznie, którymi posługiwali się niekiedy, uderzając z końskiego grzbietu.

Wiedzieli już, że Skandianie nie mają łuków czy proc, więc podczas marszu nic im nie grozi. Tylko Lydia dysponowała pociskami mogącymi razić z większej odległości, ale Thorn był pewien, że co najmniej kilkunastu łuczników czai się w ukryciu, by zasypać ją strzałami, kiedy tylko się pokaże.

– Uważaj na siebie, Lydio! – zawołał do dziewczyny. – Oni na pewno już cię zauważyli.

Dwudziestu zbrojnych nacierało w dwóch luźnych szeregach. Tak jak przedtem, gdy się zbliżali, musieli zewrzeć szyki, bo plaża robiła się coraz węższa. Znów rozległ się grad uderzeń strzał o tarcze. Nagle Stefan jęknął z bólu. Thorn spojrzał w jego stronę, zobaczył, że wojownik trzyma się za łydkę. Jedna ze strzał zdołała przedostać się przez szczelinę między tarczami i ugodziła go w nogę. Ulf już się nim zajął, pochwyciwszy leżącą na podorędziu torbę z lekami. Edvin przed odjazdem rozdał im kilka takich zestawów. Ulf odłamał najeżony zadzioremami grot, który przeszedł na drugą stronę mięśnia, po czym szybkim ruchem wyrwał drzewce. Stefan znów jęknął. Ulf posmarował ranę maścią, następnie szybko owinał nogę lnianym bandażem.

– Co z tobą? – spytał Thorn. Nie mogli sobie pozwolić na żadną lukę w linii obrony. Było ich na to po prostu zbyt mało.

– Dam radę – odparł Stefan, ale po brzmieniu jego głosu Thorn poznał, że towarzysz mówi to przez zaciśnięte z bólu zęby. Ból jednak minie, kiedy zaczną działać maść uśmierzająca, sporządzona z zioła ciepłaka. Jej działanie utrzyma się przez godzinę albo i dwie.

Ulf umocował opatrunek, pomógł Stefanowi wstać. Wojownik oparł się na rannej nodze, skrzywił się. Potem przeszedł kilka kroków; po chwili znieczulenie podziało.

– Już lepiej – oznajmił. – Dzięki, Ulf.

– Uwaga! – zawołał Jesper. – Są już przy rowie!

Grad strzał ustał natychmiast, bo atakujący znów przysłonili cel łucznikom. Wojownicy spod znaku „Czapli” wyprostowali się z włóczniami gotowymi, by ugodzić napastników. Wtedy trzech Temudżeinów uzbrojonych w długie włócznie pchnęło swoim orężem, mierząc w luki między tarczami.

– Uwaga! – krzyknął Stig, uchylając się jednocześnie przed wycelowanym w siebie długim grotem. Uwięził włócznię przeciwnika między swoją tarczą i tarczą Wulfa stojącego obok. Temudżein próbował wyszarpnąć broń, ale Stig toporem odrąbał jej stalowe ostrze.

Inni obrońcy zrobili to samo, dzięki czemu włócznie napastników stały się tylko pozbawionymi metalowych grotów kijami. Widząc, że długa broń nie odnosi skutku, włócznicy dobyli szabel i razem z towarzyszami ruszyli na ziemny nasyp.

– Brać ich! – wrzasnął Thorn. Pchnął włócznią jednego z napastników, który runął do rowu, pociągając za sobą kolejnego.

Trzej temudżeińscy wojownicy, którzy zdołali wspiąć się na łokciach i kolanach po stromym zboczu, wyłonili się na górze z wojennym okrzykiem, prostując się czym prędzej i wymachując szablami. Ich wrzask zamarł, gdy ujrzeli przed sobą Stiga gotowego na ich spotkanie. Tarczą ugodził najbliższego, wyrzucając go dosłownie w powietrze, tak że runął prosto do wykopu. Na szczęście dla niego zaostrzone pale skierowane były na zewnątrz, toteż nie nadział się na nie, tylko przygniótł do ziemi własnym ciężarem wzmożonym przez impet upadku. Leżał teraz bez tchu, a towarzysze przeskakiwali go, niektórzy wprost deptali go w gorączce natarcia.



Drugi z Temudżeinów zamachnął się na Stiga szablą. Rosły Skandianin odbił cios tarczą, po czym znów się nią posłużył jak bronią, uderzając okutą żelazem krawędzią w żebra napastnika. Temudżein jęknął z bólu, a potem na widok zataczającego łuk żeleźca topora cofnął się gwałtownie, co sprawiło, że i on runął do rowu.

Trzeci uderzył, mierząc w głowę Stiga, lecz wielka tarcza była już gotowa, by ten zamiar udaremnić. Brzeszczot ugrzązł w drewnie, lecz właściciel szabli popełnił błąd, bo próbował wyzwolić ostrze, wystawiając się przy tym na kontratak topora. Także spadł do wykopu, ale w przeciwieństwie do swoich dwóch towarzyszy nie poruszył się już, kiedy legł na jego dnie.

Tymczasem Ulf i Wulf, którzy jak zwykle walczyli ramię w ramię, posłali na dno wykopu już czterech Temudżeinów. Piąty zbyt wolno wyprostował się, kiedy udało mu się wdrapać na ziemny nasyp, i Wulf ugodził go w sam środek tułowia. Raniony napastnik wrzasnął z bólu, lecz zdążył odwzajemnić cios, uderzając szablą wymierzoną w bok Wulfa. Spadał już jednak i czubek klingi trafił Wulfa niżej, w udo, tuż nad kolanem. Wulf zachwiał się i cofnął. Noga ugięła się pod nim, upadł ciężko na plecy, wypuszczając z dłoni miecz. Chwycił się za ranną nogę, by powstrzymać upływ krwi.

Pośrodku barykady siał spustoszenie kolos Ingvar. Wymachiwał halabardą, za pomocą haka pozbawiał napastników równowagi, po czym rozprawiał się z nimi to ostrzem, to toporem swojego niezwyklego oręża. Temudżeini nie wiedzieli, jak poradzić sobie z tak morderczym narzędziem. Nigdy wcześniej nie mieli do czynienia z czymś podobnym, w dodatku w rękach równie krzepkiego wojownika. W rowie zaczął piętrzyć się stos ciał.

Potem jednak doszło do nieszczęścia. Jeden z Temudżeinów wspiał się po nasypie tam, gdzie powstała luka po upadku Wulfa. Zaszedł z boku, jakby domyślał się, że widzenie peryferyjne olbrzyma jest jego wyjątkowo słabą stroną. Wymierzył cios szablą w głowę Ingvara; wielki Skandianin w ostatniej chwili zdołał zasłonić się drzewcem swojej broni.

Twarde drewno powstrzymało cięcie szabli. Jednak sam impet uderzenia sprawił, że drewniany drąg uderzył Ingvara w bok głowy. Niezbyt mocno, lecz z opłakanym skutkiem. Drzewce rozbiło oprawę patrzalek Ingvara, obie przyciemnione soczewki wypadły, a olbrzym bez nich stał się prawie ślepy. Sięgnął w stronę widniejącej we mgle zamazanej postaci. Zdołał

pochwycić Temudżeina za kubrak z niewyprawionej skóry, podniósł go i rzucił. Temudżeiński wojownik z wrzaskiem wzbil się w powietrze, a w następnej chwili runął ciężko do wykopu, powalając po drodze jeszcze dwóch napastników, którzy przeciskali się właśnie między zaostrozonymi palami, aby dołączyć do atakujących towarzyszy.

Ingvar tymczasem stąpał niepewnie po szczycie nasypu, wyciągając przed siebie ręce, aby utrzymać równowagę. Kolejny Temudżein, widząc to, rzucił się na niego, biorąc zamach do zabójczego ciosu.

Ulf spostrzegł go w samą porę. Dосkoczył do Ingvara, uderzył go ramieniem i przewrócił, a klinga szabli napastnika przecięła powietrze. Teraz z kolei Temudżein stracił równowagę, a Ulf z miejsca rozprawił się z nim jednym zadaniem znad głowy ciosem miecza.

Choć wytrzymali napór uderzenia, linia obrony uległa drastycznemu osłabieniu. Stefan był ranny i kulął, Wulf i Ingvar zostali wyłączeni z walki.

Temudżeiński dowódca spostrzegł to, zakrzyknął na swych ludzi, by podążyli za nim do ataku. Razem z czterema innymi ruszył ku szczytowi nasypu. Zaskoczony Ulf cofał się przed przeważającą siłą wroga, unikając cięć i pchnięć napastników. Inni Temudżeini również rzucili się ku nasypowi, by wspomóc towarzyszy.

Wtedy rozległ się tubalny głos zagłuszający krzyki walczących oraz szcęk oręża.

– Stig, do mnie! – zawołał Thorn i rzucił się ku nacierającym na Ulfa napastnikom. Jednego z nich powalił, zderzając się z nim, a potem jego maczuga zaczęła zbierać śmiertelne żniwo, waląc, młóćąc, miażdżąc i tłukąc. Temudżeini nie byli w stanie przeciwstawić się takiej sile i oszłamiającej prędkości. Teraz to oni zaczęli się wycofywać, przepychając się nawzajem, byle tylko dalej od ogarniętej bitewnym szaleńcem kudłatej zmory. Wtedy z boku zaatakował Stig, zataczając kręgi toporem o długim stylisku, zadając bezlitosne, mordercze cięcia. Obaj wojownicy wprowadzili nacierających Temudżeinów w skrajne przerażenie; ci, którzy spieszyli, aby wspomóc atak, zawrócili gwałtownie, płacząc się w kłębowisku ciał, bo jeden przez drugiego chcieli wycofać się, zejść na dół i przebyć wykop, byle dalej, byle uniknąć morderczego żeleźca.

Stig i Thorn młócili dalej, raniąc i zabijając napastników. W końcu więcej niż połowa z nich znalazła się u stóp nasypu, odniósłszy straszliwe rany.

Ci, którzy jeszcze pozostali, mieli już dość. Woleli odwrócić się i uciec, zsuwając się i zjeżdżając po nasypie, a potem przedzierając na drugą stronę wykopu, niż zmagać się z dwoma niezwyciężonymi skandyjskim wojownikami.

Pozostało jeszcze trzech Temudżeinów, którzy zajęci byli walką z Jesperem i Stefanem, więc nie spostrzegli, że ich towarzyszy nagle ogarnęła panika. Rana w nodze Stefana otworzyła się, dlatego podskakiwał na drugiej, próbując wspierać Jespera w nierównej walce. Jesper zdołał ciąć jednego z napastników w przedramię, tamten wypuścił z dłoni szablę. Skandianin nie zdążył jednak tego wykorzystać, bo tymczasem zaatakował go drugi Temudżein, zmuszając do desperackiej obrony. Jesper zasłonił się, potem skoczył w tył, ponieważ zaatakował go trzeci wojownik. Miecz Stefana w samą porę zatrzymał głównię szabli, metal zadźwięczał o metal.

Wtedy za plecami trzech napastników rozległ się potężny ryk, Thorn i Stig nadbiegli wzdłuż nasypu. Temudżeini nie mieli żadnych szans. Jesper cofnął się tylko, by pozostawić swoim dwóm towarzyszom miejsce do walki. Już po kilku sekundach trzej Temudżeini leżeli martwi.

Thorn, dysząc ciężko, patrzył, jak napastnicy cofają się w popłochu. Odwrócił wzrok, by sprawdzić sytuację na linii obrony. Ingvar wykluczony z walki, bo całkiem bezbronny. Stefan ranny, krew ściekała mu po nodze, która w dodatku zeszywniała. Wulf także raniony w nogę. Ostrze przecięło mięsień, toteż wojownik z trudem mógł się poruszać. Thorn pokręcił głową. Skoro już trzech towarzyszy było niezdolnych, by skutecznie walczyć, sprawy nie przedstawiały się dobrze.

– Następnym razem nie pójdzie tak łatwo – ocenił.



## Rozdział 37



**M**orze rozpościerało się przed nimi. Hal prowadził „Czapłę” ujściem rzeki, halsem na sterburcie, następnie przepłynął nad piaskową barierą i zmierzał na spotkanie fal.

Na szczęście były niewielkie, ledwie na metr wysokie. Jednak mimo to, gdy dziób „Czapli” przeciął grzbiet pierwszej z nich i uniósł się, Hal poczuł ten sam niepokojący bezwład kadłuba. Teraz już wyraźnie słyszał stękanie belek obciążonych ciśnieniem wody pod linią zanurzenia. Przesunął dziób w stronę bakburty. Wiedział, że jeśli zmusi „Czapłę”, by zmagala się z morzem, biorąc na siebie cały impet nadpływających fal, okręt długo nie wytrzyma. Jednak po chwili, ku swojemu zdziwieniu, przekonał się, że kiedy bierze je pod kątem, wbrew wszelkim zasadom logiki łagodzi to efekt zderzenia, zamiast go wzmacniać. Niemniej kadłub wciąż jęczał i opierał się, co dawało się odczuć dosłownie przy każdej fali. Teraz jednak skirl nie miał już dojmującego wrażenia, że okręt za chwilę rozsypie się na kawałki.

Wiatr wiał stale od południa, dzięki czemu można było w pełni wykorzystać uwiązany przez Edvina żagiel. Po jakichś dziesięciu minutach Hal poczuł, że okręt stawia coraz większy opór, coraz bardziej zwalnia. „Czapla”, która zazwyczaj ślizgała się po wodzie niczym szybujący morski ptak, stała się teraz ospała, niemrawa, a na każdej fali wznosiła się coraz o ciężalej. U brzegu rzeki opróżnili zęzy, lecz obecnie „Czapla” najwyraźniej znów nabierała wody, z każdą minutą coraz więcej.

– Edvin! – zawołał. – Bierz się do pompy!

Jego jedyny załogant podniósł rękę na znak, że zrozumiał. Sięgnął do schowka przy ławach wioślarskich i wydobyl stamtąd przenośną pompę ze strzemiem – kolejny wynalazek Hala. Z większości wilczych okrętów wodę czerpano ręcznie, za pomocą rozmaitych naczyń. Jednak załoga „Czapli” nie była taka liczna jak obsady większych skandyjskich jednostek, a przy tym Hal zawsze starał się ulżyć swoim ludziom, w miarę możliwości oszczędzając im ciężkiej fizycznej pracy.

Edvin przeszedł na środek pokładu, otworzył klapę i wsunął długą rurę w mroczną czeluść. Unieruchomił stopą strzemię, po czym zaczął pompować, to ciągnąc, to wpychając uchwyt. Po chwili woda trysnęła na pokład. Wówczas Edvin wyrzucił drugą rurę za burtę i pompował dalej. Równy strumień wody wylewał się na zewnątrz, już po kilku minutach Hal poczuł, że okręt porusza się różnie i lepiej reaguje.

– Nie przestawaj! – zawołał.

Edvin tylko skinął głową, zbyt zajęty, żeby odpowiedzieć. Klonk, klonk, klonk – stukotała rączka pompy, a woda wylewała się za burtę... Problem polegał na tym, że Edvin nie mógł pompować w nieskończoność. Prędzej czy później Hal będzie musiał go zastąpić, pozwalając Edwinowi odpocząć przy sterze.

Niezbyt mu to odpowiadało. Okręt był zbyt mocno uszkodzony, wymagał szczególnej troski i opieki; Hal nie miał ochoty powierzać go w tym stanie komukolwiek innemu. Nagle uświadomił sobie, że sha'shan siedzi beczynnie pod masztem, zerkając tylko nerwowo na Kluf – nic zresztą dziwnego, bo suka również bacznie śledziła każdy jego ruch. Skarżył się już zresztą na nią, lękał się, że go ugryzie, a trzeba przyznać, że takiego ugryzienia można było się obawiać.

– Ugryzie cię tylko wtedy, kiedy jej każę – odpowiedział wtedy Hal. – A jeżeli będziesz mi zawracał głowę, tak właśnie zrobię.

Teraz zrozumiał, że sha'shan może zapewnić rozwiązanie problemu wiążącego się z pompowaniem

– Przekaż pompę Pa'tongowi! – zawołał, widząc, że Edvin słabnie. – Wytłumacz mu, że jeśli pójdziemy na dno, utonie razem z nami. Nie zamierzam odwiązywać go od masztu.

Edvin wyprostował się i odetchnął z ulgą. Podeszedł, chciał wręczyć sha'shanowi urządzenie, ale Pa'tong wyniośle pokręcił głową. Jako wódz nie kalał się fizyczną pracą. Edvin wrzasnął na jeńca, machając jednocześnie rękami. Żywo gestykułując, pokazał mu na migi, jak tonie

statek, potem wskazał sha'shana, a następnie morze za burtą. Sens zarówno jego słów, jak i gestów był jasny: gdy okręt utonie, ty również pójdziesz na dno razem z nim.

Niespodziewanie jego argumentację wsparła Kluf. Podniosła łeb, warknęła nisko i gardłowo. Zrozumiała, że Edvin gniewa się na obcego, tymczasem miała swoje powody, żeby darzyć kucharza wielką sympatią. W końcu kto jak nie on zapewniał jej smaczne kąski.

Pa'tong zerknął spode łba na Hala, ujął w dłoń uchwyt i zaczął pompować, z początku nierówno, potem szybciej i sprawniej, kiedy złapał rytm. Woda znów trysnęła za burtę. Kluf ułożyła się z powrotem. Po chwili jednak zerwała się i podbiegła do relingu, ujadając zawzięcie.

Edvin wstał, przesłonił oczy dłonią od słońca. Wyciągnął rękę, krzyknął:  
– Okręt na horyzoncie!

Pa'tong przestał pompować, dźwignął się na kolana, również spojrzał we wskazanym przez Edvina kierunku.

Wątlej postury kucharz trzepnął go w bok głowy i gestem dał do zrozumienia, że nie czas jeszcze na przerwę w pracy. Pa'tong podjął więc wysiłek, jednak zrobił to nad wyraz niechętnie.

Hal rozpoznał charakterystyczny trójkątny kształt żagla, najprawdopodobniej więc był to klasyczny pełnowymiarowy wilczy okręt, jeden z wielu, których właściciele przekonali się do tego kształtu ożaglowania. Okręt znajdował się w odległości około kilometra na pełnym morzu, zmierzał w kierunku zachodnim. Gdy go obserwował, kadłub jakby skrócił się, a żagiel zmienił kształt. Okręt dokonał zwrotu i płynął teraz z wiatrem.

– Kieruje się w naszą stronę! – zawołał Edvin.

Po chwili widoczna już była biała piana pod dziobem. Teraz Hal mógł rozpoznać znak na płachcie – biegnącego wilka.

– To „Wilczy Pęd”! – odkrzyknął. – Okręt Rollonda!

Rollond był starym przyjacielem Hala, dowódcą jednej z dwóch załóg, które w dawnych czasach konkurowały z drużyną „Czapli” o pierwszeństwo. Był wyśmienitym skirlem, żeglarzem i dzielnym wojownikiem podziwianym przez wszystkich; pod tym względem ustępował tylko Halowi.

„Wilczy Pęd” dokonał ponownego zwrotu, po czym zrównał się z „Czaplą”, jego załoga opuściła żagiel. Edvin poluzował róg płachty napędzającej „Czapkę”, tak że żagiel zatrzepotał na wietrze. Oba okręty

kołysały się burta w burtę, odległe od siebie siedem czy osiem metrów. Rollond odszedł od wiosła sterowego, ujrzeni jego rosłą sylwetkę przy burcie. Przyłożył dłonie do ust i zawołał:

– Hal! A gdzie Thorn i inni? – Rozejrzał się po pustym pokładzie „Czapli”, spostrzegł, że brak jej wioślarzy. – Pewnie potrzebujecie pomocy? Temu Hal nie mógł zaprzeczyć.

– Przydałaby się! – odkrzyknął. – Nabieramy wody. Thorn i reszta załogi zostali nad Rzeką Lodową, powstrzymują nawałę Temudżeinów. Musimy dowieźć tego tu sha’shana – wskazał skuloną przy maszcie postać – do Hallasholm, żeby podpisał traktat pokojowy.

W czasie tej rozmowy zastępca Rollonda kazał jednemu z ludzi przerzucić kotwę z liną. Hak zaczepił się mocno o reling „Czapli”, po czym kilku z załogi „Wilczego Pędu” pociągnęło mocno, przybliżając okręty ku sobie. Po chwili kadłuby zetknęły się z lekkim stuknięciem. Jeden z ludzi Rollonda przeskoczył na pokład „Czapli”, by przejąć pompę od sha’shana, który tymczasem znowu przestał pompować, bo przyglądał się przybyłym. W następnej chwili na pokład wskoczył też sam Rollond, udał się na rufę, żeby pogadać z Halem. Kluf poznała go, zamerdała leniwie ogonem. Rollond nie mógł nie zauważyć, jak wiele wody nabrała „Czapla”.

– Co się stało? – spytał.

– Walnęliśmy o skałę i mamy pęknięty kil. – Rollond skrzywił się. Poznał po wyrazie twarzy Hala, że uszkodzenie jest poważne. – Nie ukrywam, że cieszę się z tego spotkania. Jak rzadko kiedy! – dodał Hal.

– To nie przypadek, że tu jesteśmy – odparł Rollond. – Erak kazał nam patrolować ten odcinek wybrzeża już cztery dni temu. Przewidział, że możecie potrzebować pomocy. Zaraz, mówiłeś, że to jest sha’shan? – spytał, zaciekawiony, przyglądając się jednocześnie pulchnej postaci pośrodku pokładu.

– A jakże. Muszę go dostarczyć do Hallasholm, żeby podpisał z Erakiem układ, a wtedy Temudżeini przestaną nas nękać.

Rollond gwizdnął z zaskoczenia. To dopiero wiadomość!

– A Thorn, Stig i reszta chłopaków powstrzymują nad rzeką całą temudżeińską armię?

Hal przytaknął.

– Zbudowaliśmy prowizoryczne umocnienia na brzegu Rzeki Lodowej, tam gdzie jest zwężenie doliny. Jakies dwa kilometry w głąb lądu.

– A ilu jest Temudżeinów? – spytał Rollond. Hal zmarszczył brwi, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– W tej chwili około stu pięćdziesięciu. To jednak tylko forpoczta, z czasem nadciągnie ich znacznie więcej. Szczęśliwie ciasno tam, więc w tym samym czasie może nacierać na Stiga i Thorna najwyżej dziesięciu, może dwunastu. Muszę dostarczyć sha'shana do Hallasholm, doprowadzić do zawarcia traktatu, a potem przywieźć go z powrotem Lodową Rzeką, żeby odwołał swoich poddanych.

Rollond machnął ręką w stronę „Wilczego Pędu” kołyszącego się lekko na niskiej fali. „Czapla” tymczasem poruszała się coraz ospalej, choć teraz, gdy pompą zajął się wypoczęty marynarz Rollonda, wyraźnie stała się lżejsza.

– Trzeba go zabrać na pokład „Wilczego Pędu”. Dowieziemy was do Hallasholm prędej i raz-dwa załatwicie sprawę tego traktatu.

Hal nie wiedział, co ma zrobić. Jego dłoń otwarła się i znowu zacisnęła na drzewcu sterowym. „Czapla” została poważnie uszkodzona. Nie miał pewności, czy uda się nią dopłynąć do Hallasholm. Z drugiej jednak strony Stig i Thorn mieli do czynienia z miażdżącą przewagą liczebną, tymczasem Rollond dysponował trzydziestką w pełni uzbrojonych i zaprawionych w bojach wojowników. Tylu ludzi bez trudu obroni barykadę przed Temudżeinami.

– No to jak robimy? – ponaglił Hala Rollond.



– Znowu nadchodzą!

Po tym ostrzegawczym okrzyku na tarcze jak zwykle spadł grad pocisków. Stig, Thorn, Ulf i Jesper przyczaili się za nasypem, gotowi stawić opór Temudżeinom, gdy tylko ostrzał ustanie. Za ich plecami znajdowali się Stefan, Wulf i Lydia. Dziewczyna opuściła swoją pozycję strzelecką za pierwszą linią obrony. Temudżeini dawno już ją wypatrzyli i skutecznie uniemożliwili za pomocą swoich strzał jakąkolwiek skuteczną działalność przeciwko nacierającym. Stała więc teraz, zbrojna we włócznię, by zapewnić wsparcie osłabionej linii obrony. Obok niej Stefan i Wulf – chociaż ranni, jednak nadal zdolni byli posługiwać się włóczniami.



Ingvar natomiast, ku swojej niebywalej wściekłości, nie mógł już wziąć udziału w walce. Bez okularów, które kilka lat wcześniej kazał dla niego sporządzić Hal, był praktycznie niewidomy.

– A zapasowych nie masz? – spytał Jesper.

Ingvar rzucił w nieokreślonym kierunku gniewne spojrzenie.

– Pewnie, że mam. Są na „Czapli”, razem z innymi moimi rzeczami.

Akurat tym razem Jesper jakoś zdołał się powstrzymać od dalszych komentarzy.

Stukot strzał nagle ucichł, nie uderzały już o tarcze. Na nasypie widniało ich nadal dziesięć, chodziło o to, żeby Temudżeini nie wiedzieli, że trzech obrońców nie stawi już im oporu. Thorn zerknął przez szparę, dostrzegł pieszych wojowników przekraczających wykop.

– Brać ich! – ryknął. Stig, Jesper i Ulf wraz z nim pojawili się na szczycie wału, by stawić czoło napastnikom.

Trzech Temudżeinów, widząc uszczuploną obronę, skierowało się ku lewej stronie, by wspiąć się po nasypie tam, gdzie nie spodziewali się napotkać oporu. Thorn machnął ręką, wskazując ich dziewczynie.

– Lydia! – wrzasnął. – Uważaj!

Łowczyni pochwyciła długą włócznię i pobiegła tam, gdzie właśnie pierwszych dwóch Temudżeinów pojawiło się na szczycie umocnień, zamierzając zaatakować z flanki.

Zaparła się nogami i mocno pchnęła włócznią. Napastnicy kierowali całą swoją uwagę na linię czterech wojowników w środku wału, nie spostrzegli więc zagrożenia nadchodzącego z dołu. Pierwszego Lydia ugodziła w biodro. Grot włóczni wbił się w jego ciało, a ona przekreśliła broń i pchnęła. Temudżein padł na kolana, następnie spadł z umocnienia. Jego towarzysz teraz już dostrzegł dziewczynę w dole. Zsunął się, odbił jej włócznię małą krągłą tarczą i dobył szabli.

Z odległości kilku metrów Wulf cisnął swoją bronią, trafiając napastnika centralnie w pierś i przyszpilając go do wału. Trzeci, widząc, co spotkało jego pobratymców, cofnął się, zsunął z powrotem do rowu. Uznał, że bezpieczniej będzie spróbować szczęścia w innym miejscu.

Tymczasem Thorn i Stig stali ramię w ramię, a Jesper i Ulf nieco za nimi, pilnując flank. Maczuga i topór siały potworne spustoszenie, miażdżąc i tnąc, powalając Temudżeinów i zrzucając ich do zapełniającego się rowu.

Napastników jednak było po prostu zbyt wielu. Na miejsca dwóch czy trzech powalonych przez drużynę „Czapli” pojawiało się czterech lub

pięciu następnych, tak więc obrońcy nie mieli ani chwili wytchnienia. Stig odniósł już dwie rany – drobne, lecz na dłuższą metę dokuczliwe; sprawiały, że wojownik tracił stopniowo siły, prędzej niżby mogło to sprawić samo zmęczenie. Sztych jednej z szabel otworzył na czole Thorna długie, płytkie nacięcie. Rana była powierzchowna, lecz jak wszystkie rany głowy obficie krwawiła, posoka zalewała oczy, na wpół oślepiając Skandianina. Nadal tłukł i miażdżył swoją maczugą, widząc wrogów przez czerwoną mgłę. W lewej ręce dzierżył sakse i chlastał nią każdego, kto zdołał podejść bliżej, niż sięgała maczuga.

Jednak Temudżeini zorientowali się już, jak bardzo osłabiona została obrona, więc ruszyli ławą, by wreszcie się rozprawić ze znieprawionymi Skandianami. Dowódca wiedział, że ma do czynienia tylko z kilkoma wojownikami. W iście temudżeińskim stylu rzucał do ataku coraz to nowych ludzi, nie dbając o ponoszone straty.

Była to taktyka bezwzględna, lecz skuteczna. Thorn powalił kolejnego zbrojnego w szablę Temudżeina, krusząc jego oręż u rękonożnicy i miażdżąc ramię. Gdy pokonany runął w dół, stary wojownik cofnął się o krok, by przez chwilę odsapnąć. Tyle tylko jednak miał czasu na odpoczynek – chwilę – bo pięli się już ku niemu następni jeźdźcy ze Wschodu. Znużony, znów zamachnął się maczugą i zasłonił przed cięciem następnej szabli.

Jednak zanim zdążył przypuścić kontratak, ciśnięta zza jego pleców włócznia trafiła co prawda w tarczę napastnika, lecz uderzyła z taką siłą, że przewróciła go, więc spadł, pociągając za sobą dwóch towarzyszy. Nagle rozległy się dzikie wrzaski, bo jakby zupełnie znikąd, na umocnieniach pojawiało się coraz więcej skandyjskich wojowników – dziesiątki wypoczętych, rosnących osiłków, którzy mordowali Temudżeinów mieczami, toporami i włóczniami, zmuszając ich do panicznego odwrotu.

Thorn ujrzał wyszczerzoną w uśmiechu twarz Rollonda.

– Ha! powiedział, że pewnie się nudzicie. Wpadliśmy więc, żeby wam dotrzymać towarzystwa.

## Rozdział 38



**T**orval z załogi Rollonda na przemian z Edvinem pracowali przy pompie, woda nieustannie wylewała się za burtę, teraz szybciej niż przedtem. Hal wciąż jednak czuł, że okręt nie poddaje się jego poleceniom tak sprawnie, jak powinien. Domyślał się, że konstrukcja kadłuba pod naporem wody wciąż słabnie, poluzniają się więc kolejne deski poszycia i wpuszczają tyle wody, że wypompowujący ją mężczyźni nie mogą już nadążyć. Okręt stawał się coraz cięższy, coraz niechętniej unosił się na falach. Co więcej, zwiększona masa jednostki sprawiła, że nadwyreżony kil fatalnie wpłynął na jej manewrowość.

Zaniepokojony Hal skierował „Czapłę” w stronę brzegu.

– Kiedy zaczniesz tonąć – mruknął do siebie – po prostu wylądujemy, a potem pójdziemy do Hallasholm pieszo.

Katastrofa z minuty na minutę stawała się coraz bardziej realna. Nagle Hal uświadomił sobie, że to tylko kwestia czasu – prędzej czy później „Czapla” musi zatonać.

Teraz narastająca ociążałość okrętu stała się przyczyną kolejnego utrudnienia, bo nie zawsze dawał radę dźwignąć się na fali, która go zalewała, a więc do zęz dostawało się tym więcej wody, w jednej chwili niweczając długie minuty wysiłków obu pompiarzy.

Pa'tong obserwował z niepokojem ciężko harujących Skandian. Hal zastanawiał się, czy nie należałoby go również zaprząć do roboty, jednak Edvin i Torval radzili sobie znacznie lepiej. Pa'tong zabierał się do rzeczy

niezdarnie i nie był w stanie utrzymać odpowiedniego tempa, by dorównać któremukolwiek z tamtych dwóch.

Kluf dalej leżała pośrodku pokładu z pyskiem opartym o łapy, wciąż nie spuszczać z oczu Pa'tonga. Czujne spojrzenie psich oczu nadal niepokoiło temudżeińskiego wodza, który jednak chyba w końcu zrozumiał, że nic mu nie grozi, przynajmniej dopóki nie narazi się Halowi.

Tak więc „Czapla” parła przed siebie, choć z trudem i coraz wolniej. Teraz Hal był pewien, że widzi, jak powierzchnia pokładu zagina się na większych falach, zanim dziób opadł znowu w dół, a między jego deskami zaczęły tworzyć się coraz większe szpary. Skirl mógł tylko sobie wyobrazić, co się dzieje w dole, zwłaszcza poniżej linii zanurzenia. Nawet z jego miejsca u steru widać było, że tu i ówdzie obluzowują się nasączone smołą liny, które dotąd stanowiły skuteczne uszczelnienie przerw między deskami.

Torval, który właśnie odbył dziesięciminutowy dyżur przy pompie, udał się na pokład sterowy, by stamtąd popatrzeć, jak „Czapla” sobie radzi. Bywał już wcześniej gościem na jej pokładzie i doskonale zdawał sobie sprawę, że ze szczętem utraciła swoją zwykłą lekkość.

– Sądysz, że dopłyniemy? – spytał Hala.

Hal z uporem zacisnął szczęki.

– Musimy. Jesteśmy już zaledwie parę kilometrów od Hallasholm.

Torval przybrał raczej sceptyczny wyraz twarzy. Powiedział sobie w duchu, że pobożne życzenia jeszcze nikogo nie utrzymały na powierzchni morza.

Po kilku chwilach Hal ustąpił.

– Dobra, lepiej przygotuj kilka co mniejszych antałów, żeby wykorzystać je jako boje ratunkowe – powiedział. – Tak na wszelki wypadek.

Torval skinął głową i przeszedł na dziób. Znajdowały się tam umocowane za pomocą lin beczułki z zapasem wody pitnej. Odbił denka i wylał zawartość za burtę. W pobliżu znalazł zwój cienkiej liny. Odciął kilka dwumetrowych odcinków, przywiązał je do antałów, żeby było jak je trzymać. Puste i na powrót zamknięte beczułki ustawił w pobliżu sha'shana.

Edvin spojrział na niego pytająco.

– To pomysł Hala – wyjaśnił Torval. – Na wypadek gdyby statek jednak zatonął.

Edvin umiał pływać, tak samo jak wszyscy inni z drużyny „Czapli”, nie był jednak szczególnie wytrawnym pływakiem, ponadto miał pewność, że Torval poszedłby na dno jak kamień – mało który ze skandyjskich marynarzy posiadał tę, wydawałoby się, niezbędną żeglarzowi umiejętność. Pa'tong też by z pewnością utonął. Co innego Hal. Edvin wiedział, że skirl pływa jak ryba. Na znak Torvala przekazał mu uchwyt pompy. Woda nadal tryskała za burtę równym strumieniem, ale obaj zdawali sobie sprawę, że „Czapla” zanurza się coraz głębiej.

Kluf dźwignęła się, otrzepała, po czym pobiegła na dziób. Stała na tylnych łapach, przednie opierając o barierę. Zaczęła głośno szczekać.

Edvin zwrócił w tamtą stronę znużone spojrzenie. Serce zabiło mu szybciej, gdy ujrzał zarys budynków Hallasholm – niskie chaty z bali i smugi dymu wznoszące się z kominów. Brakowało już tylko pół kilometra do bezpiecznego schronienia; ujrzał bramę w murze otaczającym zatokę i za nią jasną smugę plaży.

Odwrócił się, żeby przekazać Halowi radosną wiadomość, ale skirl machnął ręką.

– Widzę, widzę – mruknął.

Widok macierzystego portu dodał Edwinowi sił. Odebrał uchwyt pompy Torvalowi i ze zdwojoną energią zabrał się do dzieła. Spieniona woda trysnęła ze wzmożoną siłą. Po chwili Torval go zastąpił, utrzymując mordercze tempo, potem znów pompował Edvin.

Przyptyw energii, która pojawiła się wraz z nadzieją, nie poszedł na marne. Nawet Pa'tong zdołał już się zorientować, że okręt płynie coraz wolniej, a teraz spostrzegł, że „Czapla” jakby przynajmniej do pewnego stopnia odzyskuje swoją dawną lekkość i swobodniej reaguje na ster, łatwiej dając się nieść wiatrowi.

– Wkrótce przejdziemy do zwrotu, żeby wpłynąć do zatoki! – zawołał Hal. – Kiedy skręcimy, rozepnij całkowicie żagiel. Popłyniemy z wiatrem wiejącym prosto od rufy.

Edvin przyjął rozkaz. Wiedział, że po wpłynięciu przez bramę do zatoki trzeba będzie wykonać jeszcze jeden zwrot na bakburtę, powinno im jednak starczyć rozpędu, by dopłynąć do plaży. Torval wyprostował się, zdyszany; Edvin przejął od niego pompę. Na dziobie Kluf poszcze kiwała, widząc zbliżający się port.

Hal wyczuł odpowiednią chwilę i przesunął drzewce steru. „Czapla” skręciła w lewo, zmierzając ukośnie do ujścia zatoki.

– Teraz! – zawołał. – Rozepnij żagiel!

Edvin wykonał polecenie, żagiel wydał się na całej powierzchni. Gdy reja znalazła się pod kątem prostym do osi pokładu, umocował dolny róg. „Czapla” przyspieszyła, płynąc ku bramie portu.

Jednak w tej samej chwili, gdy zwiększyła prędkość, od rufy uderzyła w nią mocniejsza fala, zbijając z kursu i kierując prosto na kamienny falochron. Hal desperacko napał na ster, usiłując przywrócić właściwy kurs. Pod wpływem napięć powstałych od naporu wody, wiatru i wysiłków sternika uszkodzony kil wreszcie puścił. Minęli ze zdwojoną prędkością molo, wpłynęli do zatoki i tam dziób okrętu zaczął się zapadać. Tylko rozpędem „Czapla” trzymała się jeszcze na powierzchni. Hal skierował ją prosto na plażę. Czuł, jak pokład się pogrąża, jak roztrzaskany już zupełnie kil rozdziera kolejne deski poszycia, jak woda wlewa się do okaleczonego kadłuba.

Dziób uderzył o piasek właśnie wtedy, gdy „Czapla” straciła już siłę unoszącą ją na wodzie, kadłub opadł na dno. Obrócił się raz jeszcze. Rozległ się głośny trzask w jego trzewiach, po czym „Czapla” pękła w pół. Jej dziobowa część przewróciła się na lewą burzę, tylna na sterburzę.

Łzy spływały po twarzy Hala, gdy ostatni raz poglądził drzewce steru.

– Dobra dziewczynka – rzekł cicho. – Jednak dowiozłaś nas do domu.



– Powiadasz, że zdołasz powstrzymać obecną napaść? – spytał Borsa, przyglądając się uważnie sha’shanowi. Borsa był hilfmanem Eraka, czyli doradcą i głównym zarządcą. Siwe włosy i broda świadczyły o tym, że całe swoje długie życie strawił na ocenianiu ludzi, rozpoznając, czy kłamią, czy mówią prawdę. W jego odczuciu słowem temudżeińskiego wodza można było wierzyć.

– Jedyne pod warunkiem że odwieziecie mnie na Lodową Rzekę jak najszybciej, najlepiej jeszcze dziś – odparł Pa’tong bezbarwnym głosem. – Niech potrwa to choćby trochę dłużej, a ci, którzy chcą mnie zastąpić, zdołają przekonać lud, że mnie zabiliście. Rządy obejmie nowy sha’shan i nie będzie już mowy o żadnym traktacie.

– Ale skąd mam wiedzieć, że mogę ci zaufać? – spytał napastliwym tonem Erak. Wciąż uważał, że ponosi ogromne ryzyko, pozwalając

powrócić sha'shanowi do swoich pobratymców.

Pa'tong zwrócił spojrzenie na krzepkiego oberjarla. Nie czuł się urażony tym pytaniem, na jego miejscu zadałby takie samo.

– Złożę przysięgę na czaszkę wielkiego końskiego boga Moriego – odpowiedział.

Erak uniósł brwi. Często klął się na skandyjskich bogów i równie często ich przeklinał. Wiedział, że takie przysięgi niewiele są warte, wiążą nie mocniej niż zwykłe obiecanki.

Borsa jednak od lat badał wierzenia Temudżeinów, podobnie zresztą jak obyczaje wszystkich innych potencjalnych wrogów.

– Żaden z nich nie złamałby takiej przysięgi – powiedział oberjarlowi. – U nich to odpowiednik naszej przysięgi na Walhallę.

Erak przechylił głowę. Przysięga na Walhallę to było coś całkiem innego od zwykłych zaklęć i zaklinań. Tego, kto by jej nie dotrzymał, w ciągu siedmiu dni spotkałaby niechybna śmierć. Była to przysięga o takiej mocy, że Erak niechętnie o niej nawet mówił. Gdy tylko się dało, pomijał ją milczeniem. Zerknął na hilfmana.

– Pewien jesteś?

Borsa zdecydowanie skinął głową.

– Jak najbardziej.

Hal w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie. Teraz już nie do niego należały decyzje. Wiele się wydarzyło w czasie kilku godzin od chwili, gdy doprowadził do brzegu to, co pozostało z „Czapli”. Szczątki okrętu zostały wyciągnięte ponad linię wody. Erak i Svengal wyszli na plażę, tam Hal wytłumaczył im, że Pa'tong gotów jest podpisać pokojowy traktat. Opowiedział też w krótkich słowach, jak pilna to sprawa i co dzieje się w przesmyku na Rzece Lodowej, gdzie drużyna „Czapli” i załoga „Wilczego Pędu” odpierają ataki Temudżeinów. Erak natychmiast posłał kolejny wilczy okręt z posiłkami, a Pa'tong i Hal zostali zaprowadzeni do wielkiego dworu Eraka, gdzie zasiedli u sosnowego stołu, by omówić szczegóły traktatu.

– Zatem zapewniasz tym samym, że nie podejmiesz żadnych działań ofensywnych wobec Skandii, ani przez Lodową Rzekę, ani przy forcie Ragnak? – odezwał się Erak.

Sha'shan skinął głową.

– Przysięgam to uroczyście.

– Przez najbliższe pięć lat? – dodał Erak.

Teraz Pa'tong uniósł brwi.

– Trzy lata – poprawił oberjarla i pokazał palcem zapis w leżącym na stole traktacie. – Tak jak tu odnotował twój hilfman.

– Tak, tak. Trzy lata – zgodził się Erak. Podejrzewał, że ta sztuczka się nie uda, ale zawsze warto było spróbować.

Zerknął na pergamin, który zapisał Borsa, wyszczególniając punkty zawartej umowy. Była prosta i jasna: przez umówiony czas żadnych wrogich działań z obu stron, żadnych prób naruszenia terytoriów. Erak był zwolennikiem prostoty oraz jasnych sformułowań. Dzięki temu nie pozostawiało się miejsca na wątpliwości czy gdybania, na prawne kruczki, które pozwoliłyby tej czy drugiej stronie uzyskać pretekst, aby złamać zapisy traktatu. Odkaszlnął, zerknął najpierw w stronę Borsy, potem na Hala, dając im do zrozumienia, że chce z nimi pomówić na osobności. Wstał od stołu.

– Wybacz nam, sha'shanie – powiedział Borsa, wstając również. Pa'tong rozłożył ręce w geście zgody. Hal podążył za oberjarlem i jego doradcą. Oddalili się na tyle, żeby sha'shan nie słyszał ich rozmowy.

– I co powiecie? – spytał Erak ochryplym szeptem. Mówienie przyciszonym głosem nie leżało w jego naturze. Zadając to pytanie, patrzył na Hala.

Młody skirl odpowiedział:

– Sądzę, że więcej nie uda nam się osiągnąć. Zyskujemy trzy lata spokoju, podczas których nie musimy obawiać się napaści ze strony Temudżeinów.

Erak parsknął gniewnie.

– Za to dajemy im trzy lata, żeby mogli porządnie się przygotować do tej napaści.

– Już są przygotowani. Zgromadzili wszystkie siły. Co więcej mogą zrobić? – zauważył Hal. – Za to my mamy całe trzy lata, żeby porządnie umocnić nasze pozycje w dolinie Lodowej Rzeki.

– On ma rację, Eraku – wtrącił Borsa. – O ile Hal dokładnie opisał ukształtowanie terenu... – Tu rzucił Halowi pytające spojrzenie.

Hal stanowczo skinął głową.

– Jak najdokładniej.

Borsa podjął:

– Przez trzy lata możemy zadbać, żeby ta przeprawa stała się nie do zdobycia.



Erak ściągnął wargi, zastanowił się jeszcze przez chwilę, a potem, jak to on, błyskawicznie podjął decyzję.

– Macie słusność – orzekł. Odwrócił się do Pa'tonga i rzekł już głośno:  
– Niech tak będzie, sha'shanie. Podpiszmy ten traktat. A potem mój „Wilczy Wicher” odwiezie cię do twojego ludu.

Sha'shan w milczeniu skłonił głowę.

Borsa zasiadł przy stole, by dopisać na dokumencie jeszcze kilka poprawek, Erak wziął tymczasem Hala za ramię i odprowadził go na bok. Widział wrak „Czapli” zaraz po lądowaniu na plaży, osobiście kazał wyciągnąć resztki okrętu na brzeg. Jak wszyscy Skandianie, Erak rozumiał głęboką więź łączącą skirla z jego okrętem i okrutny smutek po jego utracie.

– Doskonale sobie poradziłeś, Hala – powiedział. – I wiem, jak wiele cię to kosztowało.



## Rozdział 39



**D**ziałania wojenne nad Lodową Rzeką ustały. Wojska jednej i drugiej strony stały naprzeciw siebie. Od przybycia „Wilczego Pędu” i trzydziestu ludzi Rollonda umocnienia w wąwozie okazały się przeszkodą nie do pokonania. Gdy przyplłynął przysłany przez Erika drugi wilczy okręt, obrońcy zyskali rezerwy aż nadto wystarczające, by odeprzeć wszelkie próby napaści. Temudżeini szybko to pojęli, więc zaprzestali dalszych działań zbrojnych.

Od czasu do czasu ich łucznicy wypuszczali jedną lub kilka strzał, mierząc w ziemny wał i mur zbudowany z tarcz – wzmocniony teraz jeszcze tarczami załogi „Wilczego Pędu”. Obrońcy musieli więc zachować ostrożność, zbudowali też kryte przejścia, by móc się przemieszczać za zaporą, nie ryzykując jednocześnie trafienia przypadkową strzałą.

Wkrótce Temudżeini wpadli na pomysł, by strzelać dalej, tak obliczając trajektorię strzał, aby spadały w dobrej odległości od barykady. Skandianie przewidzieli to jednak, budując schrony o dachach z grubych belek, które zapewniały im całkowite bezpieczeństwo.

Wobec tej patowej sytuacji w wąwozie Lodowej Rzeki zapanował względny spokój.

Thorn i Rollond, przyczajeni za murem z tarcz, obserwowali odległe o osiemdziesiąt metrów pozycje wrogich jeźdźców. Każdego dnia siły Temudżeinów wzmacniały się, teraz za drzewami na brzegu kryły się już setki namiotów. Jednak niezależnie od tego, ilu wojowników liczyłaby wroga armia, w ciasnym przesmyku mogliby nacierać tylko po ośmiu czy

dziesięciu naraz. Tym samym Skandianie byli w stanie bez trudu odeprzeć każdą próbę ataku.

Po dłuższej chwili pokazało się trzech łuczników. Wyszli przed temudżeińską linię, podnieśli łuki.

– Strzały! – zawołał Thorn, na co wszyscy Skandianie poruszający się po otwartej przestrzeni za umocnieniami natychmiast się pochowali. W następnej chwili kilka grotów spadło na ich obozowisko, ale wszyscy obrońcy znajdowali się już pod osłoną, więc groty zabębniły tylko o dachy i ściany, nie czyniąc najmniejszej szkody.

– Żałuję, że nie ma tu z nami kilku Aralueńczyków – mruknął Rollond. – Miło by było odpłacić Temudżeinom pięknym za nadobne.

Thorn zgodził się z nim.

– Wiedzą, że nie mamy żadnej broni miotającej – przyznał – więc są pewni siebie i paradują po otwartej przestrzeni. Są przekonani, że nic im nie grozi.

– Okręt! To nasi!

Okrzyk dobiegł z tyłu, gdzie pełniły wartę skandyjskie czujki.

Thorn i Rollond odwrócili się. Ujrzeni kolejny wilczy okręt płynący w górę rzeki na wiosłach, które unosiły się miarowo niczym skrzydła ptaka.

Thorn rozejrzał się szybko. Na razie Temudżeini nie mogli dostrzec nowo przybyłych. Jeżeli dobiją do brzegu za „Wilczym Pędem”, jak najwyraźniej zamierzali, pozostaną niezauważeni.

– To „Wilczy Wicher” – rzekł. – Okręt Eraka.

„Wilczy Wicher” wylądował na brzegu za okrętem Rollonda. Jak zauważył Thorn, krzywizna wąwozu sprawiała, że znajdujący się w odległości osiemdziesięciu metrów Temudżeini nie mogli okrętu widzieć. Kiedy zaś patrzył, kto wyskakuje na brzeg, poczuł, że ogarnia go upajająca wprost radość. Wśród przybyłych znajdowało się dziesięciu aralueńskich łuczników, cały oddział wyposażony w długie łuki, z kołczanami pełnymi strzał u pasa.

– Stig! – ryknął Thorn.

Zastępca Hala szedł już, by przywitać przybyszy, odwrócił głowę na dźwięk swojego imienia.

Thorn pomachał do niego ręką, potem skinął głową w stronę barykady.

– Przyrowadź mi tu co prędzej tych Aralueńczyków!

Stig powiedział kilka słów, po czym w towarzystwie dziesięciu łuczników ruszył rażnym krokiem ku barykadzie, przez cały czas podążając

zadaszonym przejściem. Wkrótce strzelcy znaleźli się tuż za umocnieniami i rozglądali się ciekawie. Thorn zwrócił się do ich dowódcy:

– Jestem Thorn – przedstawił się. – Ty jesteś szefem łuczników?

Tamten skinął głową.

– Jestem Dean – odrzekł. – Słyszałem o tobie.

– Pewnie nic dobrego – wtrącił Stig, a stary morski wilk spiorunował go wzrokiem.

Thorn spojrział na Deana i pokazał mu wążutką szparę między tarczami.

– Zerknij no – powiedział.

Dowódca łuczników wyciągnął szyję, spojrział. Po krótkiej chwili odwrócił się do Thorn.

– Jacy pewni siebie – odparł. – Przechadzają się, jakby nigdy nic.

– Zgadza się. Wiedzą, że nie mamy tu łuczników – rzekł z widocznym ubolewaniem Thorn.

Dean zaśmiał się bezgłośnie.

– Może warto by wyprowadzić ich z błędu?

– A wiesz, to bardzo dobry pomysł – przyznał Thorn.

Dean w jednej chwili rozstawił swoich ludzi wzdłuż linii umocnień. Znaleźli się na ubitej ziemnej półce za ścianą, tak że kryły ich już tylko zamocowane na szczycie wału tarcze. Przykucnięci, wysłuchali poleceń Deana.

– Przyjrzyjcie się. Wybierzcie cel, potem wstać i szyć! Każdy po pięć strzał, to powinno wystarczyć. – Odczekał, aż jego ludzie zorientują się w sytuacji i wypatrzą dla siebie Temudżeinów przechadzających się bez troski pośród drzew. – Wszyscy gotowi? – spytał. Odpowiedział mu cichy, twierdzący pomruk. – Strzelać!

Dziwięciu łuczników wstało, teraz ich głowy i ramiona znalazły się ponad górną krawędzią tarcz. Jednocześnie naciągnęli cięciwy, wymierzyli i wystrzelili. Pierwsza salwa wciąż szybowała w powietrzu, kiedy strzelili powtórnie. Pierwsze dziewięć strzał doszło celów, Temudżeini padali, nie wydając głosu lub krzycząc z bólu. W następnej sekundzie spadła druga salwa, przyczyniając się do dalszych strat. Temudżeini rozbiegli się we wszystkie strony, próbując ukryć się za drzewami. Niektórzy sięgnęli po łuki, by posłać strzały w kierunku łuczników, którzy pojawili się tak nieoczekiwanie, ale aralueńska nawała sprawiła, że żaden z nich nie zdążył tego uczynić.

Thorn, obserwujący sytuację przez najbliższą szczelinę, skinął z satysfakcją głową.

– Od tygodnia nie mogłem się tego doczekać – powiedział. – Dzięki wam, panowie łucznicy.

– Na razie wystarczy, kryć się – rozkazał Dean. Wiedział, że wkrótce Temudżeini ochłoną i rozpoczną ostrzał ze swojej strony.

– Teraz będą chować te swoje kudłate łby – odezwał się Rollond. – Przez cały tydzień łazili i działali nam na nerwy. Dobrze, że dostali nauczkę. – I zwrócił się do Deana: – Daj odpocząć swoim ludziom po podróży. Wkrótce bardzo nam się przydadcie.

– Stać – rozległ się głos za ich plecami. – Przydadcie się tu i teraz.

Zajęci krwawą niespodzianką, a potem rozmową, nie dostrzegli, że do umocnień podszedł Svengal, skirl „Wilczego Wichru”. Towarzyszyła mu znajoma postać odziana w czerwoną wyszywaną kurtkę – teraz mocno już znoszoną.

– Proszę, proszę, kogo widzę! – zawołał Thorn. – Jego wysokość znowu nas zaszczyca. Czemuż to zawdzięczamy, wasza sha’shanowatość?

– Wielmożny sha’shan podpisał właśnie traktat z Erakiem – oznajmił Svengal. – Przybył tu, aby nakazać swoim ludziom odwrót i poprowadzić ich z powrotem na wyżyny.

Słowa te wywarły na Thornie odpowiednie wrażenie.

– Na śmierdzące pończochy Orloga! – zawołał. – A więc Hal zdołał jednak dopłynąć?

Sha’shan odpowiedział mu we wspólnej mowie:

– Wasz dowódca to niezwykle dzielny młody wojownik – przyznał. Dodał, zwracając się do Svengala: – Potrzeba nam gałęzi z zielonymi liśćmi. To na znak rozejmu – powiedział. – A może któryś z was zechce mnie odeskortować, gdy udam się do swoich ludzi?

– Pewnie, może ja i Stig – zaproponował Thorn, a Stig skinął głową.

– Chcę zobaczyć ich miny, kiedy usłyszą rozkaz do odwrotu – powiedział. Svengal tymczasem przywołał jednego ze skandyjskich wojowników i kazał mu wyciąć świeżą zieloną gałąź.



Po upływie dziesięciu minut byli już gotowi. Stig zamachał gałęzią dobrych kilka razy, aby zyskać pewność, że Temudżeini to zauważyli. Potem zza zasłony tarcz wyłonił się Pa'tong i przemówił do swoich poddanych. Pośród Temudżeinów zapanował gwar i zamęt, a potem odpowiedział pojedynczy, donośny głos.

Sha'shan zwrócił się do Stiga i Thornia:

– Rozpoznali mnie – rzekł. – Możemy iść.

Wyszli za palisady i zsunęli się po nasypie, ostrożnie wyminęli ostre pale zatknięte w rowie, po czym ruszyli wzdłuż brzegu rzeki. Obaj Skandianie dzierżyli tarcze, obaj byli uzbrojeni – Stig w topór, Thorn szedł z mieczem w lewej dłoni. Podążali pół kroku za sha'shanem, zerkając uważnie, wypatrując jakiejkolwiek oznaki zdrady. Na nasypie za ich plecami czuwał Dean i jego ludzie z łukami gotowymi do strzału. Dalej czekało dwudziestu włóczników.

Gdy zmierzali w stronę obozowiska Temudżeinów, towarzyszyła im cisza po obu stronach. Potem nagle ruszył ku nim biegiem jeden z temudżeińskich wojowników. Padł na kolana przed sha'shanem.

– Panie! – zawołał. – A jednak wróciłeś!

Pa'tong uśmiechnął się łaskawie. Dał znak przybyszowi, żeby wstał.

– Ga'tan – powitał go. – Dobrze cię widzieć. Rozmawiajmy we wspólnej mowie, abyśmy wszyscy się rozumieli – przedstawił Ga'tana eskortującym go wojownikom: – To jeden z moich zaufanych dowódców.

Stig i Thorn powitali Temudżeina skinieniem głów. Obaj znacznie przewyższali go wzrostem.

Ga'tan spoglądał z prawdziwym nabożeństwem na Pa'tonga, nie mogąc nadziwić się widokowi sha'shana.

– Generał Ho'mat zapewniał, że już nie żyjesz, że barbarzyńcy cię uśmiercili.

Uśmiech Pa'tonga jakby zbladł.

– Zapewne. Zapewne zapewniał. Warto, żebym zamienił z nim słówko – odezwał się do Stiga i Thornia: – Dziękuję za waszą pomoc. Bezzwłocznie wyruszymy ku wyżynom. Wy możecie już wrócić do waszych towarzyszy. Ga'tan zapewni mi bezpieczeństwo.

Dał znak swojemu podwładnemu, by ruszył przodem, i obaj skierowali się w stronę temudżeińskiego obozowiska. Skandianie pozostali jeszcze przez chwilę na miejscu, patrząc, jak coraz liczniejsi stepowi wojownicy

pojawiają się, by powitać swojego wodza, jak wykrzykują słowa powitania i machają czapkami, a potem go otaczają, podnosząc prawdziwy rwetes.

Thorn rzucił półgębkiem do Stiga:

– Ciekawe, jakie słówko nasz przyjaciel powie temu Ho’matowi.

Stig zaśmiał się cicho.

– Założę się, że Ho’mat usłyszy nawet kilka słów, i to raczej przykrych – powiedział. Potem zaś odwrócił się w stronę obozowiska Skandian i zdecydował: – Pora wracać do domu.



## Epilog



**P**rzygnębiony Hal siedział na plaży opodal wraku swojego okrętu, gdy „Wilczy Wicher” wpłynął majestatycznie przez bramę portu, a następnie zacumował przy molu. Okręt wypłynął po południu poprzedniego dnia, niosąc na swoim pokładzie sha’shana. Teraz powrócił, więc kiedy pierwsi wojownicy zaczęli schodzić po trapie, Hal wstał, ruszył pospiesznym krokiem przez plażę i na molo, żeby powitać przybywających. Na przedzie szli Stig i Thorn. Padli sobie w ramiona.

– Jak dobrze, że ci się udało! – ryknął tubalnie Thorn. Rozejrzał się, po czym spochmurniał, widząc wrak zalegający na brzegu. – Już po niej, co?

– Dowiozła nas, zanim umarła – odparł Hal.

– Dobry to był okręt – rzekł Stig. Na jego twarzy malował się ból.

Hal był w stanie tylko skinąć głową. Brakło mu słów, żeby wyrazić żalobę. Potem jednak, gdy spojrział w stronę „Wilczego Wichru”, przestał myśleć o stracie, bo ujrzał, jak towarzysze troskliwie prowadzą po trapie Stefana, Wulfa i Ingvara. Ulf podtrzymywał brata. Jesper prowadził Stefana, a Ingvarem, rzecz jasna, zaopiekowała się Lydia. Hal chciał natychmiast pójść ku nim, ale Thorn go zatrzymał.

– Nic im nie będzie – powiedział. – Stefan oberwał strzałą w łydkę, a Wulf ma ciętą ranę uda. Poza tym wszystko w porządku.

Minął ich biegiem Edvin, który usłyszał o przybyciu „Wilczego Wichru” i spieszył na spotkanie swoich towarzyszy.



– Co więcej, skoro jest już Edvin, tym bardziej nic im nie grozi – dodał z uśmiechem Stig. Edvin cieszył się sławą najlepszego uzdrowiciela w Hallasholm.

– Dobrze, ale co się stało Ingvarowi? – zapytał Hal z niepokojem w głosie. Nie wyobrażał sobie, że coś mogło się przytrafić temu poczciwemu olbrzymowi. Hal wciąż nie mógł się wyzbyć poczucia winy, bo przecież porzucił swoich przyjaciół w obliczu grożącego niebezpieczeństwa.

Stig klepnął go w ramię.

– Nic mu nie jest. Stłukli mu patrzaki, nic więcej. Najbardziej mu dolega złość, bo na oślepie nie mógł już gromić Temudżeinów.

– Dobrze, ale co z wami? – spytał Hal. Stig nosił w kilku miejscach opatrunki, a czoło Thorną przesłaniała szmata splamiona krwią.

Stary wilk morski zaśmiał się.

– Z nami? Nic. Oberwałem w łeb, ale to akurat najtwardsza część mojego ciała.

Przygnębiony Hal pokręcił głową.

– Nie mogę sobie wybaczyć, że was zostawiłem samych – przyznał. – Ogromnie mi przykro.

Thorn tylko ponownie go uściskał.

– Doskonale zrobiłeś. Gdyby nie ty, kto by nam przysłał z pomocą Rollonda? Serce rosło, gdy zobaczyłem, jaką niespodziankę sprawił Temudżeinom. Myśleli, że jest nas kilkoro, a tu proszę. Nie mówiąc o tym, że ryzykowałeś życie, płynąc uszkodzonym okrętem z sha'shanem na pokładzie. Gdybyś tego nie dokonał, dalej toczylibyśmy zmagania nad Lodową Rzeką. Uwierz mi, nie masz powodu, żeby się zamartwiać.

– Czyli co, sha'shan zdołał przekonać swoich ludzi do odwrotu? – spytał Hal.

Stig przytaknął.

– Tak jest, wojna skończona. Powrócili na wyżyny. Razem z Thornem odprowadziliśmy go jeszcze kawałek jako pokojowi wysłannicy i tak dalej. Tamci nawet ucieszyli się na jego widok... – urwał i dodał z uśmiechem: – Chociaż ten i ów starszy rangą dowódca ucieszył się trochę mniej.

Kolejni załoganci „Czapli” gromadzili się wokół, by powitać skirła przed udaniem się do domów. Gdy odbijał od brzegu Lodowej Rzeki na ciężko uszkodzonej „Czapli”, musieli wbrew nadziei dopuścić do siebie myśl, że więcej już go nie zobaczą – że albo oni zginą pod naporem przeważającego

wroga, albo on na zawsze przepadnie w odmętach. Stefan i Wulf powitali go, uśmiechnięci od ucha do ucha. Gdy spytał ich, jak się mają, usłyszał:

– E tam – burknął Wulf. – Za tydzień będzie po wszystkim. – Stefan bez słowa wskazał na niego, co miało znaczyć, że nie ma nic do dodania.

Jesper spoglądał na wrak ich okrętu.

– Rozumiem, że już po niej?

Wśród członków załogi zapanowało milczenie, spoglądali na pęknięty kadłub.

Hal mógł tylko potwierdzić:

– Już nie popłynie – rzekł cicho. – Uratowałem z niej wszystko, co może się jeszcze przydać.

Na piasku plaży spoczywały równo ułożone zwoje lin, poskładany żagiel i reja, ster oraz inne części, oprócz tego worki z wyposażeniem załogi. Sporo miejsca zajmował Zadymiarz, przykryty płachtą impregnowanego płótna.

– Wasze osobiste rzeczy są bezpieczne – powiedział. – Możecie zabrać je teraz albo później. Myślę, że na razie najlepiej wam zrobi coś ciepłego i dobra kolacja. Bliscy z pewnością na was czekają.

Żegnali się kolejno i odchodzili, zapowiadając, że wkrótce znowu się zobaczą. W końcu na brzegu oprócz Hala pozostali tylko Thorn i Stig. We trzech ruszyli na plażę, gdzie spoczywały szczątki „Czapli”.

– Zaraz, mówiłeś, że to i owo da się jeszcze wykorzystać, tak? – spytał Stig, a w jego głosie pobrzmiwała nutka nadziei.

Hal odpowiedział:

– Jasne, chcę zbudować nowy okręt. Mam już pomysł na kilka ulepszeń.

Thorn uśmiechnął się, słysząc w głosie skirla determinację zamiast rozpacz, której się obawiał.

– Tylko za dużo nie zmieniaj, bo to był dobry okręt.

– Może kadłub powinien być nieco smuklejszy, może trochę dłuższy – powiedział z namysłem Hal. – A za to węższy. Wtedy byłaby jeszcze szybsza...

Stali w milczeniu. Stig podszedł do potrzaskanego kadłuba, schylił się, by coś podnieść. Potem wrócił ku swoim dwóm towarzyszom.

– No to kiedy zaczynamy? Jutro?

Hal spojrzał na niego z uniesionymi brwiami.

– My?

Stig skinął głową.

– My. Drużyna. „Czaple” budowaliśmy razem, no nie? To co, drugi okręt chcesz zrobić sam? Tak bez nas? A jak coś spieprzysz?

Twarz Hala rozjaśnił uśmiech. Pierwszy raz od bolesnego lądowania na plaży w Hallasholm poczuł przypływ radości. To prawda, stracił ukochany okręt, ale wciąż miał u boku wiernych przyjaciół, gotowych wytrwać przy nim i stawić czoło przyszłym wyzwaniom.

– Mogłem tylko mieć nadzieję... – zaczął, ale po chwili zamilkł.

– Pewnie, że mogłeś – dokończył za niego Thorn. – A jak nazwiemy nasz nowy okręt?

Hal rozłożył bezradnie ręce.

– Nie wiem, nawet się nad tym nie zastanawiałem – wyznał.

Stig zaśmiał się, wręczył mu przedmiot, który właśnie wydobył spod dziobu. Był to przepięknie wyrzeźbiony, wypolerowany galion przedstawiający morskiego ptaka z długą, wyciągniętą szyją i wyzywająco rozwartym dziobem.

– Może „Czapla”?



## O autorze

Książki Johna Flanagana z cyklu *Zwiadowcy* oraz *Drużyna* czyta na całym świecie ponad piętnaście milionów czytelników. Obie serie dostępne są w ponad stu krajach, regularnie pojawiają się na listach bestsellerów „New York Timesa”, zdobyły liczne nagrody w Australii oraz innych krajach. John, były copywriter i autor tekstów telewizyjnych, mieszka razem z żoną nad brzegiem morza w pobliżu Sydney.

